



KRZYSZTOF BONK

# MAIL

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

**Nail**

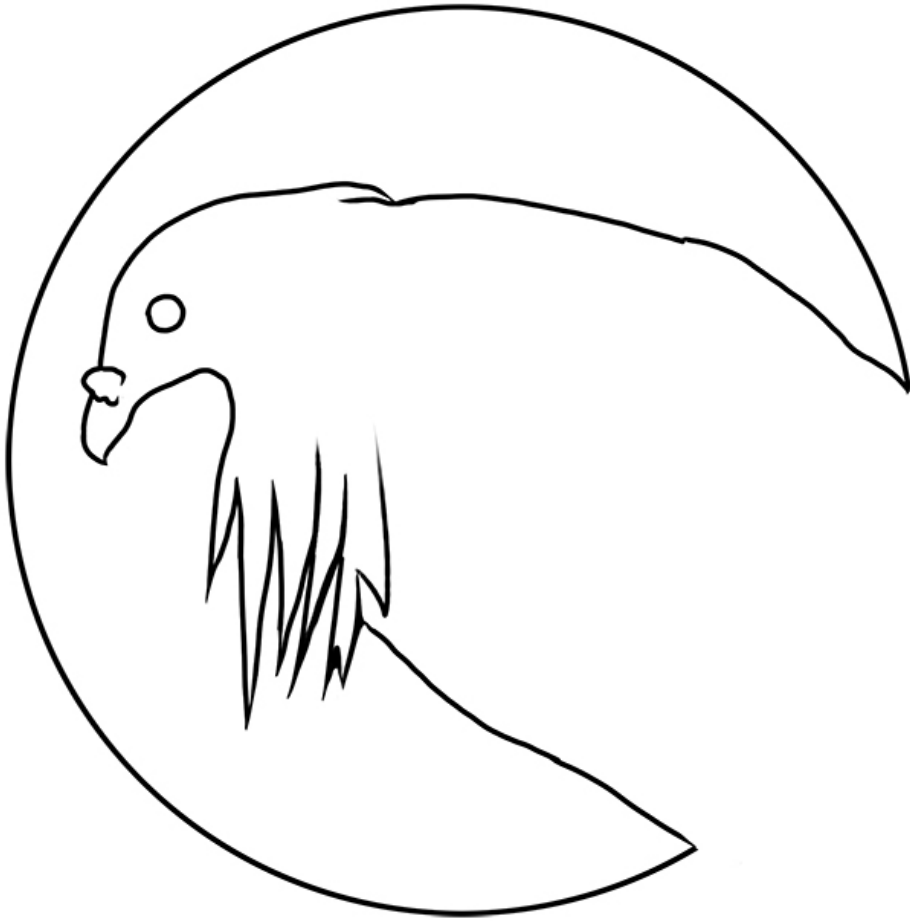
Cykl Pendorum X

© Copyright by Krzysztof Bonk  
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski  
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-992-0  
Wydawnictwo: self-publishing  
e-wydanie pierwsze 2018  
Kontakt: [bookbonk@gmail.com](mailto:bookbonk@gmail.com)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





# PROLOG

## NAIL I NELORUM

Pradawna legenda głosi, że niegdyś u zarania dziejów Nail oraz Nelorum byli jednością, po czym jako boskie istoty spontanicznie wyłonili się z samego serca wielkiego kontynentu. Tak powstała światła Bogini z symbolem słońca na prawej skroni i jej srebrzysty kochanek z wizerunkiem księżycy po drugiej stronie swej głowy. Odtąd zwani byli także Słońce oraz Księżyc i wspierali, jak również chronili ze wszystkich sił zamieszkujące na kontynencie czujące istoty. Kochali każdego wokół tą samą, czystą miłością, jaką darzyli siebie nawzajem. Niektórzy wręcz byli skłonni twierdzić, iż sami byli oni emanacją miłości, albowiem nikt nigdy nie słyszał, aby Nail czy Nelorum dopuścili się choćby najmniejszego występku przeciw komukolwiek innemu.

Aż pewnego dnia, czy też może raczej mrocznej nocy, do bram kontynentu zwanego Nelorum zapukali inni, niebiańscy przybysze. Przedstawili się, jako zupełnie nowa rasa Bogów, którzy przynoszą w ziemski oraz boski wymiar dekalog. Mianowicie był to zapis dziesięciu ciężkich grzechów, których od tej pory absolutnie nie wolno było popełniać i to zarówno Bogom, półbogom, jak i zwykłym śmiertelnikom. Zaś karą za brak posłuchu miało być odradzanie się w cierpieniu w ciele naznaczonym ułomnością.

Jednak zwykli śmiertelnicy na kontynencie jednoznacznie wyrazili swój sprzeciw wobec podporządkowania się nowemu jarzmu. Dlatego zarówno Nail, jak i Nelorum przychyliłi się do ich opinii i zajęli nieprzejednane stanowisko, że bezwzględne karanie nie stanowi skutecznej drogi ani do naprawy, ani tym bardziej doskonałości. Słowem odrzucili postulaty obcych Bogów i zatrzasnęli przed nimi bramy do swego świata. Lecz ci nie dali się tak łatwo odprawić i już niebawem przygotowali drastyczną karę.

Otóż zebrali się w jednym miejscu i rozpoczęli przygotowania, aby wspólnie wyemanować z siebie wszech niszczyielski promień. Miał on być do tego stopnia naznaczony destrukcyjną siłą, by spalił sobą zarówno cały kontynent, jak i wszystkie zamieszkujące go istoty.

Wtedy Nail uległa żeńskiemu pierwiastkowi współczucia i nakłaniała usilnie Nelorum, aby ten poddał się woli obcych przybyszy, bo tylko to mogło uratować kontynent oraz ich samych. Z kolei w Nelorum obudził się męski pierwiastek walki i nie chciał iść na kompromis, zapragnął konfrontacji, mimo że w osamotnieniu skazany był na porażkę.

Jednakże Słońce i Księżyc z powodu różnicy zdań bynajmniej nie poróżnili się razem. Wkrótce zawarli ze sobą konsensus i ukorzyli się przed bezwzględnyimi przybyszami. W akcie ich łaski Nail oraz Nelorum mieli ocaleć, aby wieczną służbą zmywać swą winę, jaką była pierwotna krnąbrność. Natomiast ich kontynent miała czekać definitywna zagłada.

Tą drogą boska para po raz ostatni przekroczyła bramę swego świata, tym razem na zewnątrz i pozostawiając ją otwartą, wstąpiła w szeregi obcych Bogów. Wówczas ci wyemanowali z siebie wspomnianą absolutnie destrukcyjną moc i czerwono-czarny promień został skierowany wprost w otwartą bramę ku nieuchronnej zgubie tysięcy istnień.

Aczkolwiek wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Gdy tylko promień dotarł do bramy, gwałtownie zmienił kierunek. Powrócił on wprost do swych twórców i w efekcie, zamiast spalić kontynent, unicestwił swą śmiertcioną siłą większość okrutnych Bogów, jak i Nail oraz Nelorum.

Dlaczego tak się stało? Otóż w tajemnicy przed wszystkimi, opuszczając swój dawny świat, boska para pozostawiła w bramie olbrzymie lustro i to ono sprawiło, że niszczyielski promień został skutecznie odbity. Wszak ocalenie śmiertelników dokonało się kosztem wielu boskich istnień w tym Nail oraz Nelorum.

Po długim czasie rozbite pierwiastki nieśmiertelnych Bogów zaczęły się scalać ze sobą w poszczególne esencje. Systematycznie odzyskiwali oni swą postać oraz moc, choć już nie tak wielką, jak wcześniej.

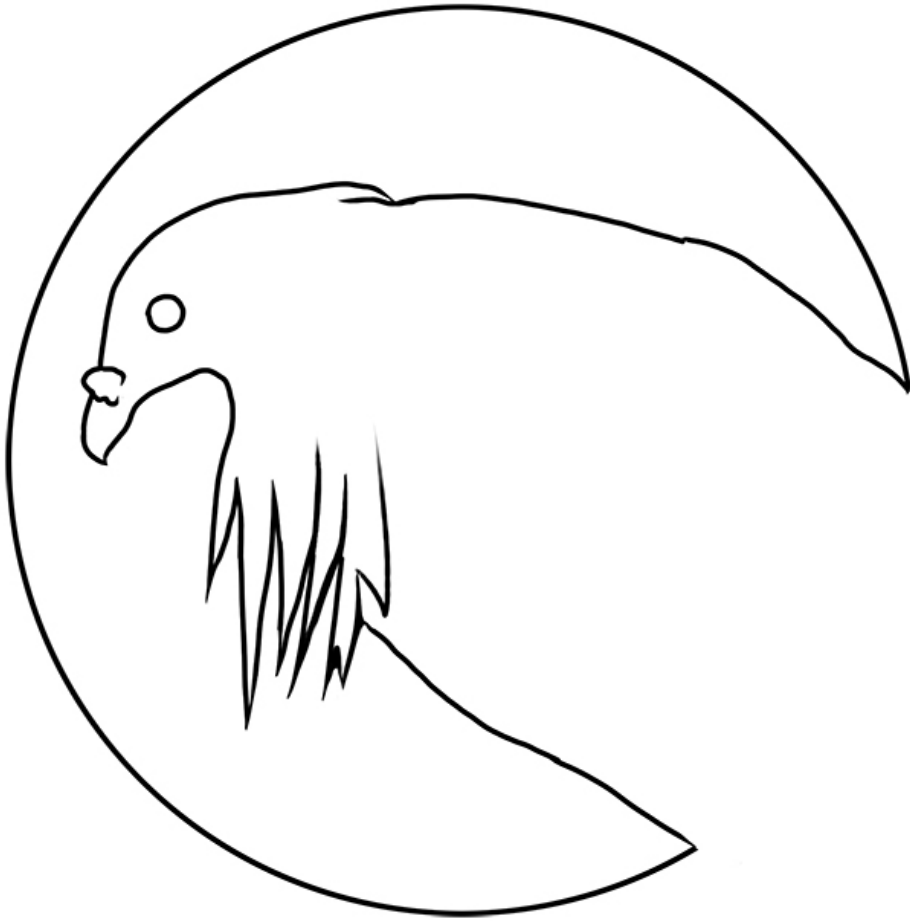
Przetrzebieni i osłabieni obcy Bogowie schwytali jednak Nail, kiedy i ona odzyskała świadomość w boskim wymiarze. Następnie w akcie kary odarli ją z boskości i za jej kłamstwo wobec nich wysłali w ułomnym ciele

w przekłętą przyszłość. Uczynili to, by zaznała cierpienia zwykłych śmiertelników i tak jak oni umarła, po czym trwale rozplynęła się w nicości. Taką przewidzieli jej karę.

Z kolei w ostatnim czasie, aby zniewolić własną, dominującą władzę i dziesięcioma przykazaniem kontynent, który wymknął im się z rąk, wysłali tam armię najeźdźców z nową, destrukcyjną bronią, która wraz z hukiem i zapachem spalanego prochu niosła gwałtowną śmierć. Od tamtej pory trwa nieprzerwana inwazja i kolejne władztwa kontynentu Nelorum ulegają potężnym najeźdźcom.

Wszak istnieje jeszcze nadzieja, a jest nią przepały bez wieści partner Nail – Nelorum – i związana z nim przepowiednia. Mianowicie podania z pradawnych czasów głoszą, że kiedyś odnajdzie się on w boskim wymiarze. W tym niezwykłym czasie narodzi się na kontynencie dziecko ze znamieniem księżycy na skroni i za jego sprawą nastąpi wyzwolenie z obcego jarzma, zaś obcym ciemnościom przyniesiona zostanie straszna śmierć.





# I. PRZYGOTOWANIA

– Dziękuję ci, droga Akiszo – zwracam się uprzejmie do pałacowej służki. – Wybacz mi, proszę, że po raz kolejny nakłoniłam cię do opowiadania tej samej legendy, ale... Nail oraz Nelorum... Mam do nich pewną słabość...

– Pani... – Kłania się służąca i zamiatając długą, żółtą suknią zdobną posadzkę, opuszcza balkon.

Sama odwracam wzrok od służebnej kobiety. Kieruję go hen daleko na drogę wiodącą z serca kontynentu Nelorum do tego oto pałacu, gdzie się znajduję, a usytuowanego w nadbrzeżnej krainie zwanej Wyspą Czarnego Piasku.

Uśmiecham się do siebie na wspomnienie tej nazwy. Niektórzy uważają, że pochodzi ona od nietypowych nadmorskich plaż, gdzie piasek nie jest złocisty, a czarny, choć nikt nie zna tego przyczyny. Z kolei inną głoszą, iż nazwa Wyspa Czarnego Piasku nawiązuje do niezwyklej płodności tutejszych kobiet. Ponoć w odniesieniu do innych krain jest nas tutaj, ludzi o ciemnym kolorcyce skóry, tak dużo niczym ziarenek piasku na plaży.

Ja jednak, jedyne dziecko tutejszej pary władców, wiem, że niegdyś nie stanowiliśmy na tym kontynencie wyspy czy też enklawy – wspominam legendę o Nail oraz Nelorum. Trudno mi się domyślać ile dokładnie we wspomnianej opowieści zawiera się ziaren prawdy. W końcu skąd miałabym to wiedzieć, nawet ja, sama księżniczka Anrea. Jednakże powszechnie wiadome jest, że kiedyś ludzie o ciemnej karnacji zajmowali cały ten kontynent. Potem przybyli tu inni, biali przybysze, z którymi po części tocząc krwawe wojny, się w wielu regionach zasymilowaliśmy.

Lecz z czasem przybywają tu kolejni, biali najeźdźcy, ludzie z nową religią i niespotykaną dotąd bronią, za których sprawą systematycznie podporządkowują sobie wszystkie władztwa. Są oni wszechpotężni i

niezwykle liczni, przez co niepodbitych krain na kontynencie pozostaje już bardzo mało. I są one niczym wyspy na oceanie wszechwładzy dominium Akros.

Doprawdy nie sposób się ochronić przed dominium, a gniew ich przedstawicieli bywa zaiste straszny, niosąc ze sobą niechybną śmierć i prześladowania. Dlatego moi rodzice wybierają inną drogę. Mianowicie nie pragną robić sobie z najeźdźców śmiertelnych wrogów, którzy obrócą nasze królestwo w zgliszcza, a mieszkańców zniewolą lub zamordują. Zamiast tego moi rodziciele wybierają kierunek poddaństwa. Pertraktują z dominium, aby zachować dla siebie niewielkie przywileje i uratować życie swych poddanych. Zamierzają uzyskać to za stały, wysoki trybut, wsparcie militarne, jak również przyjęcie, jako jedynej panującej, obcej religii bazującej na dekalogu dziesięciu przykazań – zabronionych grzechów.

Wszak obcy władcy domagają się jeszcze jednego podarku, wobec którego mnie samą ogarnia spora niepewność. Żądają oni bowiem mnie samej, jako żony dla jednego ze swych komendantów. Tak nazywają swych ludzi u władzy w strukturach armii.

Dlatego też z premedytacją raz po raz wysłuchuję legendy właśnie o Nail oraz Nelorum. Ponieważ w moim mniemaniu jest to opowieść przede wszystkim o poświęceniu i o miłości do ludzi, za których się odpowiada i dla których trzeba się swego czasu poświęcić. I sama, jako księżniczka Wyspy Czarnego Piasku, muszę być na to gotowa.

Tak oto z pałacowego balkonu wyglądam niepewnie nadciągających przybyszy. Ponieważ posłaniec przynosi odpowiednio wcześniej wieści, że już nadciągają. Na szczęście jako pierwsza ma dotrzeć do mnie ma ukochana, zaufana służka, Lakszi. Dopiero jakiś czas za nią przybędzie do pałacu orszak weselny mego przyszłego męża. Człowieka, którego nigdy nie widziałam na oczy, a nawet nie słyszałam na jego temat ani słowa, a z którym będę miała założyć rodzinę i spędzę z nim resztę swego życia.

Wtem na jasnej, bitej drodze wijące się zygzakiem, a wiodącej do pałacu dostrzegam samotnie gnającego jeźdźca. Zdobí go błękitna peleryna i częściowo odwinięta, granatowa chusta na głowie, przez co niczym ślubny welon faluje ona na wietrze. Na ten widok uśmiecham się szczerze, bo już wiem, że oto pędzi na białym rumaku wprost do mnie moja Lakszi.

Mija ona soczyście zieloną trawę, pośród której kwitnie niezliczona ilość gatunków urokliwych kwiatów. Poza ożywczym otoczeniem w postaci wielobarwnych łąk pałac okalają też rozległe parki z misternie przyszyżonymi drzewkami, których zadaniem jest nieść ulgę swym cieniem spacerowiczom w najbardziej upalne dni. Znajdują się tu również stawy z kolorowymi rybami. Zaś całość przeplatana jest niemal niewidocznymi kanalikami, za których sprawą doprowadzona jest tu życiodajna woda z pobliskiej rzeki.

Sam pałac zbudowany jest na planie serca i zawiera pięć kondygnacji, gdzie mieści się przeszło dziewięć dziesiątek komnat. Większość z nich to pokoje rekreacyjne, w których można słuchać muzyki w otoczeniu licznych instrumentów. Gdzie indziej znajdują się biblioteki, parkiety do tańca oraz baseny czy miejsca do masażu. Lecz na tym różnorodność tutejszych pomieszczeń się bynajmniej nie kończy. Mamy tu nawet pokoje dla wędrownych wróżbitów, jak i specjalne miejsca dla kochanków, gdzie ściany i podłogi na przemian znaczą lustra i malunki miłosnych par w intymnych pozach.

Ten pałac znam bardzo dobrze i żadne z tutejszych pomieszczeń nie jest mi obce. Wszak rodzę się tutaj i wychowuję. Aż do tej pory, czyli moich osiemnastych urodzin, spędzam tu nieomal całe życie. I muszę przyznać, że jest to ze wszech miar dobre życie, szczęśliwe i prowadzone w otoczeniu niezwykle życzliwych mi osób. Doprawdy nie spotykam jeszcze na swej drodze nikogo, kogo z jakichś względów mogłabym darzyć niechęcią. Dlatego mimo pewnych oporów przed rychłym zamążpójściem, powtarzam sobie nieustannie, iż ludzie są z natury dobrzy, więc taki też zapewne będzie mój przyszły małżonek, a może już wkrótce nawet prawdziwy ukochany?

Wtem na pałacowy balkon wpada zziębiona Lakszi i od razu rzuca mi się w objęcia. Nie widziałyśmy w sumie kilkanaście dni, niby niezbyt długo, lecz jak na nas same, które znamy się od zawsze i ciągle przebywamy we własnym towarzystwie, to doprawdy całe wieki!

Przytulam mocno do siebie dwudziestoletnią dziewczynę o ciemnym kolorze skóry jak mój, jak wszystkich rdzennych mieszkańców kontynentu Nelorum. Jednak moja niezwykle szczupła sylwetka wyraźnie dominuje nad służką. Nie, ona nie jest niska, to ja jestem wyjątkowo wysoka i swoim wzrostem przewyższam nawet większość mężczyzn.

Teraz natomiast, gnana narastającą ciekawością, rozplatom z pleców Lakszi me smukłe ramiona i długie palce w licznych, złotych pierścieniach. Następnie lekko odpycham od siebie służkę i spoglądając na nią z zadziornym uśmiechem, malującym mi się na pociągłej twarzy, z wielką nadzieją zapytuję:

– Jaki on jest...? Powiedz, no już, nie daj się prosić...

– Ależ kto taki...? – Lakszi w jednej chwili przybiera minę niewiniątka. Doprawdy niezawodna z niej aktorka i osoba, która nie raz umiejętnie wciela się w różne role, aby mnie rozbawić. Zresztą przecież wiem, że ta postać wręcz uwielbia się droczyć i nie sprzeda mi tak łatwo pozyskanych wieści. Dlatego też z góry jestem na to przygotowana i energicznie klaszczę w dłonie. W odpowiedzi na balkonowy taras wkraczają inne służące, by zaprezentować delikatne, złociste szaty.

– To dla mnie...? – Lakszi robi wielkie, okrągłe oczy, które swą czernią naraz niemal całkiem zakrywają jej śnieżne białka oczu.

– Dla ciebie... jeżeli tylko... – Mierzę służkę wzrokiem, to przenoszę go taksująco na lśniące w słońcu ubranie z gładkiego sukna. – No, jaki on jest?! – rzucam dla odmiany prawie drapieźnie i zniecierpliwiona znowu się uśmiecham.

W tym momencie Lakszi powinna się szczerze roześmiać, jak to tylko ona potrafi, po czym zalać mnie wręcz fontanną kwiecistych słów, wychwalając mądrość, urodę oraz inne przymioty mego przyszłego małżonka. Lecz o dziwo nic takiego nie następuje. Zamiast tego dziewczyna zagryza surowo wargi i odwraca ode mnie wzrok. Chwyta się za balustradę balkonu i mocno wychyla do przodu, wyglądając gdzieś daleko przed siebie.

– Lakszi...? – Podchodzę do niej raptem z pewną bojaźnią i odgarniam jej czarny kosmyk kręconych włosów z twarzy, którym targa niesfornie ciepły wiatr. Z kolei dziewczyna, jakby pogrąża się w lekkiej zadumie i wskazuje mi ręką nisko przycięty żywopłot. Dłuższą chwilę zastanawiam się, co tym samym służka chce mi przekazać, aż niepewnie dukam: – Niski... Czy mój przyszły małżonek jest niski...? To masz na myśli...? – W reakcji na me słowa Lakszi pokazuje na trawę przy żywopłocie. – Jest niższy... jeszcze niższy, no tak... – Odczytuję markotnie sugestię

dziewczyny i niemal z trwogą zapytuje: – A jak jest z jego urodą...? – Dziewczyna nic nie mówi, tylko przesuwając palec w kierunku oczka wodnego. – Chodzi ci o lustro wody...? Czyli lustro...? Więc mój przyszły mąż zapewne wygląda tak, jakbym przeglądała się we własnym odbiciu, słowem jest piękny! – piszczę ucieszenie i składam razem dłonie z radosnym przykłaśnięciem. Jednak zaraz rzędnie mi mina, kiedy Lakszi dźga wskazującym palcem krawędź stawu, gdzie skrzeczą donośnie żaby. – Chcesz zasugerować, że raczej nie chodzi o lustro wody, a rechoczące płazy...? Zatem mój adorator wyglądem przypomina... ropuchę...? – mówię zdruzgotana, a służka rozkłada wymownie ramiona, w tym sensie, że na szpetotę wspomnianego mężczyzny nic nie może poradzić. Wobec takich wieści zwieszam markotnie głowę i chyba nic więcej na temat przyszłego małżonka nie chcę już wiedzieć. Ale przecież muszę. Bowiem lepiej poznać jego wizerunek jak najlepiej teraz, aby oszczędzić sobie przykrych niespodzianek. Myślę tak i skonfundowana rzucam w powietrze: – Pewnie jest również zgrzybiały i stary, nieprawdaż...? – W odpowiedzi wzrok Lakszi wędruje na drzewa w parku. – Dopiero wzrasta, jak drzewo, więc to młodzieniec...? – wyrażam nieśmiałą nadzieję po ostatnich rozczarowaniach i razem z nią podążam za wzrokiem służki. Aczkolwiek ten, niestety, ostatecznie zatrzymuje się na najbardziej spróchniałym drzewie w okolicy, którego z litości zabraniam ścinać ogrodnikom. W reakcji na te rewelacje chwytam się tylko za głowę. Z kolei służka spogląda w milczeniu i ze śmiertelną powagą na moje bujne, rude włosy, po czym wymownie wskazuje palcem plac do krykieta, gdzie trawa została wytarta do gołej ziemi. – No tak, przyszły mąż i ojciec moich dzieci jest na dodatek łysy, czego ja się mogłam spodziewać... – oznajmiam obrażonym tonem i w tym momencie ze złości aż tupię nogą, żeby dać upust narastającej frustracji. Jednakże pomna mego majestatu staram się zaraz opanować, co jest naprawdę trudne. Zaś po dłuższej chwili przypominam sobie, że pouczana byłam zawsze przez mych rodziców, by nie oceniać ludzi po wyglądzie, tylko przede wszystkim spoglądać w ich serca oraz dusze. Zatem idąc za tym wskazaniem, z nową energią zapytuje: – Czy mój przyszły mąż to dobry człowiek? Taki, który szanuje ludzi, a mnie, swoją małżonkę obdarzy prawdziwą, szczerą miłością...? – Zastygam w napięciu i w nim skupiona wiodę za przemieszczającym się w przestrzeni palcem Lakszi. Ten na koniec zatrzymuje się, nie inaczej, tylko na scenie, gdzie

ogrodnik zawzięcie odcina liściaste konary całkiem zdrowego drzewa. – Jest jak... piła... jak piła, która rani to, co piękne i młode... – pojękuję naprawdę zdegustowana. I nagle dzień, który równie dobrze mógłby być tym najwspanialszym w moim życiu, urasta do rangi prawdziwego koszmaru.

Przeto odchodzę od Lakszi i ocieram z oka łzę, która raptem się tam pojawia, potem drugą oraz trzecią. I już prawie wybucham gorzkim płaczem, nie mogąc powstrzymać spazmów, gdy moja wierna służka odwraca się do mnie przodem z przewrotnym uśmiechem na twarzy i ucieszenie krzyczy:

– Żartowałam! Ja żartowałam, ha!

– Eee... ale... – Spoglądam kompletnie osłupiała na swoje drżące dłonie. Natomiast Lakszi już diametralnie zmienia swój wisielczy nastrój i radośnie kontynuuje:

– Hrabia Grost, którego poślubisz, moja najdroższa, to młodzieniec wręcz doskonały, zaręczam! Jest wyższy nawet od ciebie, co zaiste wielką i pożądaną jest już niezwykłością. Do tego żadne tam z niego chucherko, a gdzie tam. Mężczyzna to postawny i na schwał, ale szczupły, zdecydowanie zadbany. Zaś urodą przebija samego legendarnego Nelorum! I te jego gołębie, choć męzne serce! Ach, cóż powiedzieć... Toż to najwspanialszy kandydat na męża, wręcz stworzony do miłości, jakiego kobieta tylko może sobie wymarzyć!

– Lakszi... – Tym razem wybucham płaczem, ale ze szczerego wzruszenia. Ocieram z twarzy morze łez i śmiejąc się, to płacząc, mówię: – Uduśzę cię, po prostu uduśzę, ty podła dziewucho... i oddam krokodyłom na pożarcie... – A zaraz już promienieję prawdziwym szczęściem i wskazując na Lakszi, krzyczę do innych służek: – Dajcie jej więcej zdobnych sukni i piękne sandały, zasłużyła, tak, zasłuży na to! – I ponownie toniemy z przybyłą do mnie dziewczyną w objęciach. Aż kiedy się w końcu uspokajam, jeszcze podejrzliwie podpytuję: – Więc... kogo wcześniej miałaś na myśli... opisując tamtą odrażającą postać...?

W odpowiedzi służka wywraca oczy do góry i wypala:

– Wspomniany przyjemniaczek to ojciec, senior, naszego męznego, młodego Grosta, juniora. Będzie na ceremonii ślubnej i mam nadzieję, że

jej nie popsuje swym odpychający wyglądem, jak i nie mniej podłym charakterem. Potem zaś liczę, iż więcej nie dane nam będzie ranić sobie oczu jego widokiem. I naprawdę pociesz się, że jego wspaniały syn wdał się najwyraźniej w ciemnoskórą matkę, która to biedaczka niestety już wyzionęła ducha. Ale przy takim mężulku jak senior Grost...? To się wcale a wcale biednej kobiecie nie dziwię... – kończy zarozumiale Lakszi, zadzierając wysoko głowę.

– Rozumiem... – szepczę uspokojona i z prawdziwym ukojeniem składam dłonie na sercu. – Dziękuję ci, moja ty gołębico, przynosisz dobre wieści, naprawdę dziękuję... – powtarzam ciepło.

Wieczorem przed zachodem słońca, jak zresztą zwykle o tej porze, udaję się do komnaty, gdzie zawsze otwarte są wszystkie okna, a podłogę wyściela jasna, niezbyt gruba mata. Tutaj tradycyjnie spędzam dłuższy czas na statycznych ćwiczeniach. Wyginam me ciało w różnorodne pozy i utrzymuję je, oddychając miarowo i głęboko zarazem. W ten sposób nie tylko trenuję elastyczność i siłę mięśni oraz ścięgien, ale także udrażniam przepływ subtelnej energii w kanałach ciała. Tak przynajmniej głoszą moi nauczyciele. Niemniej nie mogę zaprzeczyć, że wykonywanie długich sekwencji ćwiczeń nasycza mnie zarówno wielką błogością, jak i odczuciem zrównoważenia i siły. Potem dłuższy czas, również w celu harmonizacji ciała i umysłu wykonuję trening zatrzymywania oddechu. Na koniec siedzę w pozycji lotosu, koncentrując uwagę na nadym przedmiocie. W moim wypadku zawsze wybieram ten sam. Jest to figurka Nail oraz Nelorum w miłosnym zespoleniu jab-jum – w pozycji lotosu – co symbolizuje zjednoczenie męskich i żeńskich energii w naturalnym stanie.

Teraz zgodnie z rytuałem mego dnia powinnam iść na spoczynek. Lecz zdaję sobie sprawę, że tym razem nie udaje mi się całkiem oczyścić i uspokoić umysłu. Nieustannie wdziera się do niego myśl o jutrzejszym dniu, kiedy to mam zostać wydana za mąż za tajemniczego mężczyznę imieniem Grost. Co prawda, wychwalając jego rozliczne przymioty Lakszi znacząco mnie uspokaja, jednak czuję, iż niedostatecznie. Przecież już jutro mam stanąć na ślubnym kobiercu z człowiekiem, któremu dam dzieci i prawdopodobnie spędzę przy nim resztę swego życia, a nigdy nie widziałam go jeszcze na oczy!



Dlatego gnana takimi rozmyślaniami, po opuszczeniu sali ćwiczeń, idę nie do swej sypialnej komnaty, a do zachodniego skrzydła pałacu, gdzie goszczeni są regularnie przybywający tu asceci. Jeden z nich imieniem Mitrea, przybył tu właśnie dziś, a słyszałam już doprawdy niezwykle opowieści o przenikliwości jego umysłu, którym potrafi ponoć spoglądać zarówno w odległą przeszłość istot, jak i w ich przyszłość.

Drobień małymi kroczkami w miękkich sandałach przez szereg zdobnych korytarzy zanurzonych w półmroku i w kolorze złota oraz różnych odcieniach czerwieni, aż docieram do pożądaných drzwi. Te zastaję uchylone, zupełnie jakby zapraszały mnie one, abym przekroczyła ich próg. Zatem czynię to ostrożnie. Uchylam szerzej wrota, które nie wydają najmniejszego nawet skrzypnięcia i niczym duch zakradam się do środka.

W niewielkim pomieszczeniu pozbawionemu wszelakich wygód zastaję postać w siadzie skrzyżnym na macie. Wpatruje się ona w zapalony płomień wysokiej świecy. Bez słowa zajmuję miejsce po drugiej stronie bladej poświaty ognia w analogicznej pozycji i czekając, aż osoba przede mną powie cokolwiek, z zaciekawieniem się jej przyglądam.

Jest to już prawie starzec w bardzo zwyczajnym odzieniu, w jakim chodzą najczęściej wieśniacy. To workowate, wielobarwne szaty z pospolitego materiału okrywające praktycznie całą postać, aby chronić przed słońcem. Ponadto mężczyzna ten ma niezwykle poważne, wręcz dostojne rysy twarzy, a głębokie zmarszczki dodają mu jeszcze majestatu. Włosy zdobią go siwe i pozaplatane w grube frędzle, z których ułożony ma jakby turban na głowie. Lecz najbardziej przyciągające posiada spojrzenie. Otóż od dłuższego czasu obserwuję go, jak wparuje się nie we mnie, a w płomień świecy i zauważam, że mężczyzna wcale nie mruga, nie czyni tego ani razu. A zdając sobie sprawę z owej niezwykłości, naraz sama się przełamuję i kamienny wyraz mej twarzy ozdabiam lekkim uśmiechem. Zaś z tego powodu, że nie wiem, czy tak wypada przy wielkim mędrцу, przysłaniam dyskretnie swe usta dłonią. Na co mężczyzna imieniem Mitrea po raz pierwszy zabiera głos:

– Dlaczego próbujesz zasłonić piękno swego uśmiechu? Wszak takich cudowności właśnie nam trzeba w obliczu świata, który często bynajmniej nie skłania do radości. – W odpowiedzi na ten komplement odrywam rękę od ust, ukazując mój szeroki uśmiech w pełnej krasie i równe, śnieżnobiałe

zęby. Następnie sięgam do kieszeni w mej eleganckiej, pomarańczowej szacie i wyciągam posążek Nail oraz Nelorum w zjednoczeniu. Ten sam, na który spoglądam od lat podczas mych ćwiczeń koncentracji w bezruchu. I ów tak cenny dla mnie przedmiot ofiarowuję mędrcowi, kładąc go tuż przed nim. – Piękna rzecz do kompletu z pięknym uśmiechem – oświadcza na to swobodnie Mitrea, po czym wyciąga ku mej twarzy dłoń. Nie cofam się, choć nagle poważnieję. Natomiast mężczyzna chwyta mój kosmyk rudych włosów i tylko sobie znanym sposobem odrywa pukiel. Ogląda go dokładniej pod światłem świecy i wkłada do jej ognia. Włosy spalają się w mgnieniu oka, dając o dziwo bardzo intensywny, rdzawy dym. Sama odruchowo składam dłonie na sercu, gdy mam wrażenie, że w spowitej dymem przestrzeni dostrzegam jakieś obrazy, jak stada słońi, kroczące po polach nieprzeliczone armie żołnierzy, czy wielkie flotylle morskich okrętów. Zauważam też, że i Mitrea wpatruje się w rdzawą mgiełkę. A zaraz ponownie przemawia: – Przychodzisz tu gnana niepokojem i pytaniem o dzień jutrzejszy, co takiego ci on przyniesie; szczęście w małżeństwie czy raczej płynącą z niego gorycz oraz niedolę. Lecz wiedz, że patrząc w ten sposób na swe życie, czynisz to w bardzo ograniczony sposób. Jutrzejszy dzień bowiem jest niczym wobec tego, co już przeżyłaś i tego, co przyjdzie ci jeszcze przetrwać na drodze swego istnienia. – Mitrea ponownie chwyta mój kosmyk włosów i kolejny rudy pukiel wędruje do ognia świecy. Tym razem dym wydaje się błękitny niczym jasne niebiosa i spoglądając w jego głębię, mędrzec ciągnie dalej: – Nie bez powodu zostałaś nazwana Anreą, imieniem mitycznej Bogini z odległego kontynentu. I nie bez przyczyny darujesz mi posążek Nail oraz Nelorum, strąconych z piedestału patronów tego oto świata. Ponieważ wiedz, że nic ważnego nie dzieje się bez swej pierwotnej przyczyny. Rzeczy nie mają swego początku ani końca, lecz w wielkim kołowym cyklu świata wydarzają się, jako konsekwencje tego, co już zasiane. – Jeszcze jeden mój kosmyk ląduje w płomieniach. Ja zaś przewrotnie myślę, że aby poznać całość wiedzy mędrca oraz jego niezwykle słowa o mnie, jestem gotowa wyjść z tej komnaty nawet łyśa! – Z kolei Mitrea, zupełnie jakby czytał w mych figlarnych myślach, uśmiecha się do mnie nieco kąśliwie, spoglądając na moje niezwykle długie, bujne i rude włosy, kolor niespotykany na całym kontynencie Nelorum. Następnie razem z mężczyzną wpatruję się w ogień, który przybiera krwisto czerwoną barwę. Naraz odczuwam pewien

niepokój, a mędrzec wyjaśnia: – Twoją niezmierzoną przeszłość znaczy krew, cały ocean przelanej krwi, a przyszłość będzie dla ciebie nie mniej przesycona przemocą. Nie chciałaś tego, nie wybierałaś, ale twym przeznaczeniem i drugą naturą ostatecznie jest zawsze walka, gdzie tylko dane ci się jest objawić. Dlatego nie patrz na przelewane podczas uczty weselnej wino, nie miarkuj, czy przyniesie ono weselnikom, w tym tobie, radość i szczęście. Albowiem zgodnie ze swym przeznaczeniem tradycyjnie spoglądać będziesz na lejącą się krew. Tak po prostu musi być i zaiste lepiej jak najszybciej pogódź się z tym. I jako istota z nieśmiertelnym duchem Bogini nie szukaj odkupienia w poddaństwie, ale walcz honorowo o swoje, jak lwica. Nie idź na kompromisy, a pokonuj przeszkody niczym rozjuszony, niewyciężony niedźwiedź. Na nieprzyjaciół ujadaj zajadle, zupełnie jak pełen odwagi wściekły pies. Jednakże w swych działaniach zachowaj powagę i świętość Bogini, spoglądając na ludzkie sprawy z góry niczym ptak z niebios. Wreszcie kieruj się również sercem, roztaczaj wokół siebie aurę opieki, jak troskliwa łania nad swym potomstwem, bo tylko miłość pomoże ci ostatecznie przetrwać oraz odróżnić przyjaciół od wrogów i skierować oręż we właściwą stronę. I zaprawdę powiadam, nie pomył się, bo jeżeli poczynisz błąd w swych działaniach, w konsekwencji ściągniesz zgubę nie tylko na siebie i bliskie ci osoby, ale na cały kontynent Nelorum oraz inne światy, zapamiętaj to. – Po tym złowrogim podsumowaniu Mitrea dwoma palcami gasi płomień świecy i nagle osacza nas absolutny mrok.

Przez pewien czas siedzę jeszcze nieruchomo naprawdę przejęta tym, co zasłyszałam od mędrca, aż bez słowa po omacku próbuję wyjść z komnaty. Czynię to w kierunku mglistego światła dobiegającego z korytarza i już zaraz jestem na zewnątrz, idąc do mej sypialni.

Jednak w drodze do niej, jak i już na sypialnej macie coraz intensywniej rozmyślam. Ponieważ nie mogę powiedzieć, aby słowa Mitrei wpłynęły w jakikolwiek sposób na uspokojenie mego umysłu. Owszem, dzieje się wręcz przeciwnie i z niepokojem wspominam sugerowaną krew oraz przemoc w mym życiu, a także ponoć doniosłe posłannictwo mego istnienia. I jako kogo, samej nieśmiertelnej Bogini?

Doprawdy nie sposób w to uwierzyć i przez to nie wiem, co ostatecznie myśleć o przekazie mędrca. W związku z tym staram się po prostu

przerwać męczący mnie strumień myśli. Czynię to wizualizując w umyśle oddany mędrcomi posążek Nail oraz Nelorum i modląc się do tych Bóstw żarliwie. Tak oto, skupiwszy swój umysł, wreszcie zaznaję wyglądanego ukojenia i wkrótce zapadam w sen.

\*

Jadę na białym koniu i przyglądam się sobie oraz otoczeniu z żywym zaciekawieniem. Mojego smukłego rumaka cechuje niezwykle zdobna uprząż. Ja sama przywdziewam lekką, srebrzystą zbroję z połyskliwego metalu. Przy pasie mam dwa miecze i trzymam dumnie wzniesioną włócznię. Zaczესuję na twarz kosmyk włosów i dostrzegam, że są ciemnorude, wręcz rdzawe, jak krew. Ponadto w ciele doświadczam niezwyklej lekkości. I już zaraz wiem, co jest tego przyczyną. Spoglądam przez ramię i zauważa, iż posiadam śnieżnobiałe, rozłożyste skrzydła wyrastające z mych pleców i wychodzące przez otwory w zbroi. Następnie dostrzegam za sobą całą nieprzebraną rzeszę niezwyklej istot – żołnierzy.

Właśnie wjeżdżamy na wysoką, zaśnieżoną górę, więc mogę podziwiać za mną całą armię, a wzrok mam zaiste doskonały. Widzę więc jakby czarne, skrzydlate demony na opancerzonych rumakach, towarzyszące im konne amazonki w lekkich napierśnikach oraz jeźdźców w brązowych, śliskich pancerzach. Nadto zauważam pieszych wojowników odzianych w futra oraz nieprzeliczoną ilość pokracznych pokurczy z prymitywnymi dzidami. I nagle uświadamiam sobie, że to ja sama przewodzę tę niespotykaną armię. Ja, czyli właściwie kto taki?

Niebawem jestem już na płaskim, zaśnieżonym szczycie wzniesienia i w obliczu tego, co zastaję, wstrzymuję wierzchowca. Moi żołnierze rozstawiają się po dwóch stronach mojej osoby, w wydawałoby się niemający końca szereg. Ja zaś obserwuję naprzeciw najwyraźniej naszego wroga, z którym to mamy się zmierzyć. To o wiele mniej liczne konne i piesze jednostki ludzi w biało-zielonych pancerzach. Stoją nieco poniżej nas na lekko pagórkowatym terenie, a ja na ich widok doświadczam całej gamy sprzecznych uczuć. Jest tutaj miłość i trwoga, lecz także doznana uraza, gniew, jak i pragnienie wypełnienia danej komuś obietnicy.

Nie do końca rozumiem, o co ma się toczyć nadchodząca walka i bynajmniej nie chcę tej konfrontacji. Na myśl o potencjalnej masakrze z

moim udziałem wręcz czuję w sercu przeszywający ból niczym po trafieniu w nie strzałą.

Z tą chwilą decyduję się zawrócić mą armię i nie dopuścić do wielkiej bitwy. Odbieram całą sobą, że jest to jedyne właściwe rozwiązanie. I już wznoszę rękę, aby dać sygnał do odwrotu, kiedy nagle zostaje skądś, nie wiadomo skąd i przez kogo, wystrzelona strzałą. Przeszywa ona moją uniesioną dłoń i w niej pozostaje.

Nie opuszczam ręki, tylko spoglądam na nią do góry, na skapującą z niej prosto na moją twarz czerwoną krew. Wąska strużka spływa mi po szyi na pierś wprost na me serce. Wtedy ono twardnieje, a wraz z nim wszelkie moje uczucia i w konsekwencji diametralnie zmieniam swe rozbudzone uprzednio, pokojowe nastawienie. Czynię gniewny wyraz na twarzy i zranioną ręką daję znak moim żołnierzom do frontalnego ataku!

Nie mija chwila, a dziesiątki tysięcy mych demonicznych wojowników, a ja razem z nimi, gnamy w istnym szaleństwie wprost na naszego przeciwnika. Ten zasypuje nas gęstymi salwami strzał i także rusza do bezpardonowego szturmu.

Za moment jestem już w samym centrum absolutnej śmierci i zniszczenia. Sama zabijam i czynię to doprawdy bez opamiętania tak, że moja jasna zbroja szybko pokrywa się niemal w całości czerwoną krwią. Zdaję się głucha na jęki konających i rannych oraz ślepa na ich koszarne okaleczenia. Nie wiem, kim jestem i po co istnieję, ale bez reszty porywa mnie całkowity szal zabijania i to z nim staję się jednością.

Aż ścieram się w walce z jedyną napotkaną postacią, która też posiada skrzydła. To mężczyzna na karym koniu w biało-zielonej zbroi. Wciąż zasiadając na swym rumaku, wymierzam skrzydlatemu przeciwnikowi całą serię wściekłych ciosów krótkimi ostrzami, gdzie on sam prowadzi obronę długim mieczem.

Gdy raptem skrzydlaty mężczyzna zamaszystym ciosem odcina łeb mego rumaka. W prawdziwe fontannie krwi upadam wraz z końskimi zwłokami na ziemię, która gęsta jest już od trupów przeróżnych istot, ich oręża oraz zbroi. Sama staję do pionu i podwójnym uderzeniem odcinam nogi powyżej końskich kolan przede mną. Tym sposobem mój skrzydlaty wróg również traci swego wierzchowca, a ja zajadle rzucam się na

przeciwnika. Doznaję przebłysku, że odczuwam wobec niego zarówno miłość, jak i nienawiść. Lecz w tym momencie te drugie uczucie zdecydowanie zwycięża.

Walczymy, aż mój wróg za sprawą swych skrzydeł wzlatuje ponad pole bitwy. Wtedy czynię dokładnie to samo. Dopadam do niego w powietrzu, po czym zderzamy się ze sobą i wirowym uchem unosimy coraz wyżej w przestrzeń. Jednocześnie ostrza swych mieczy trzymam głęboko zanurzone w gardle i brzuchu mej obecnej ofiary. Jednakże sama krztuszę się własną krwią, która wypływa mi obficie z ust na skutek mego przebitego mieczem serca oraz płuc.

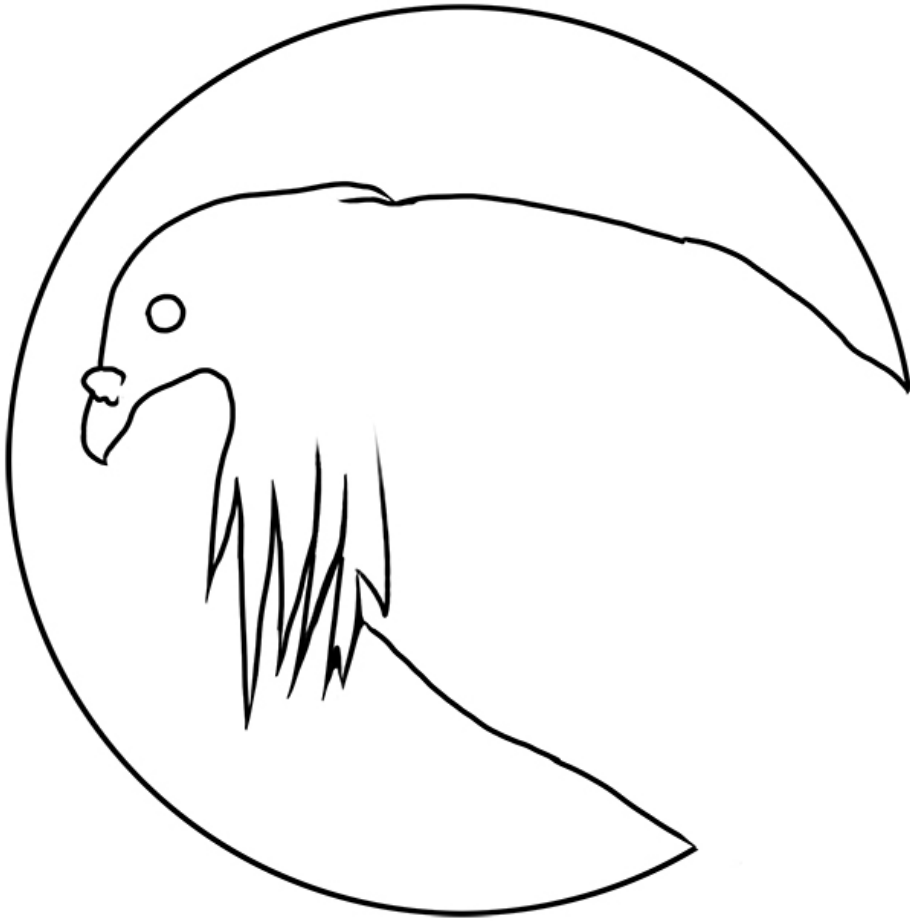
Naraz wytracamy prędkość wznoszenia się i zastygamy razem w pustej przestrzeni. Pod nami ciągle toczy się mordercza, wyniszczająca bitwa. Lecz my swoją potyczkę właśnie kończymy, ponieważ oto w swoje objęcia bierze nas śmierć. Spoglądamy sobie jakiś czas w oczy, ale w naszym spojrzeniu nie ma już nienawiści, tym bardziej miłości. Jest to puste spojrzenie, zupełnie pozbawione emocji i wyrazu. Jest to spojrzenia pary przegranych Bogów, która właśnie traci coś więcej niż tylko życie.

Następnie z naszych skrzydeł gęsto sypią się pióra, aż same, postrzępione skrzydła odzepiają się nam od pleców. Opadając, wyglądamy za niebem, do którego tak pragnęlibyśmy się wznieść, ale zmierzamy wprost ku ziemi.

W końcu osiągamy twarde gruntu cały usłany upiorną mozaiką z trupów. Wśród nich jesteśmy teraz i my, już całkiem martwi. Aczkolwiek wiem, że jeszcze przyjdzie się nam na tej krwawej ziemi odrodzić, aby nie raz skrzyżować ze sobą oręż.

Wtem budzę się w pałacowej komnacie z sennego koszmaru z gwałtownym biciem serca i cała złana potem. Tej nocy nie jestem już w stanie zmrużyć oka, o niczym też nie rozmyślam. Ogarnia mnie dziwny stan, w którym nie potrafię określić, kim tak naprawdę jestem. Mam jednak usilne wrażenie, że od tego dnia i nocy wszystko będzie już inne.

Nagle w mej sypialnej komnacie zapada całkowity mrok. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że moje oczy właśnie przestają lśnić.



## II. ZAŚLUBINY

Po trudnej dla mnie nocy nowy dzień pragnę powitać z nowymi nadziejami. Biorę długą, ożywczą kąpiel w chłodnej wodzie nasączonej różanymi olejkami. Ubieram się w jedną ze swych eleganckich, luźnych i wielobarwnych szat, po czym po skromnym śniadaniu z soczystych owoców idę na pałacowy balkon, aby ukradkiem podziwiać z niego ślubny orszak mojego przyszłego męża oraz rzecz jasna jego samego.

I oto są. Wyteżam wzrok, choć wychylając się daleko z balkonu, ze względu na swój wzrost, nie muszę się wspinać na palcach. Z dość długiej kolumny na początek wyławiam przodującą parę jeźdźców w granatowych mundurach. Chociaż z tej odległości nie sposób odczytać rysów twarzy, to rozpoznaję, że jeden z nich jest starszy, pulchny i niski, a drugi młodszy, wysoki oraz postawny. Zatem to niewątpliwie ojciec i syn opisywani przez moją Lakszi, gdzie ten ostatni ma być przeznaczonym mi małżonkiem.

Obaj mężczyźni znikają już wkrótce w pałacowej bramie, a ja podziwiam resztę przybyszy. To spory oddział pieszych żołnierzy w szarych mundurach, w sumie trzydziestu ludzi ze słynną na kontynencie Nelorum bronią na plecach, a mianowicie śmiercionośnymi rusznicami.

Za nimi z kolei mój wzrok ogniskuje się na parze jadących konno duchownych z odległego kontynentu. Mają oni długie, jednolicie czarne szaty oraz wysokie nakrycia głowy w tym samym kolorze. Ponadto za nimi kroczy dziesięciu męczenników. To ludzie naznaczeni ułomnością swych ciał za przewiny z ich poprzedniego żywota. Wśród nich widzę karła oraz osobę bez rąk. Inna jest niezmiernie wychudzona i zdaje się drżeć z zimna, mimo że jest gorący dzień. Kolejna ma twarz pokrytą czerwonymi bąblami, zaś następna usta zamknięte żelazną klamrą, co ma obrazować jej niezdolność do wypowiedzania głośno słów.



Przyglądając się tak końcowi pochodu, wspominam naturę obcych przybyszy i to, co ze sobą przywożą na kontynent Nelorum. Mianowicie wojnę w imię swych praw i religii, której szpony dosięgają ludzi nie tylko za życia, ale także po śmierci.

Mnie samej moi rodzice nakazują zaakceptować nowe zasady po prostu z racji tego, że wprowadza je ktoś silniejszy, zatem muszą być respektowane. Ja jednak w skrytości ducha nie do końca ufam tym nowym prawom. Z jednej strony rzeczywiście wydają się one mieć w sobie słuszość – niosą nieodzowną karę za niegodziwość i nikt nie może temu umknąć. Z drugiej strony od tysięcy lat żyliśmy na kontynencie Nelorum bez tych zasad. Posiadaliśmy własnych Bogów, mędrców oraz wierzenia, jak również tradycję i nie był to zły świat, a już na pewno nie gorszy od obecnego – myślę tak, odprowadzając wzrokiem osobę przywiązaną za szyję sznurem do konia jednego z kapłanów. Ta postać zachowuje się w niezrównoważony sposób, ponieważ cierpi na pomieszanie zmysłów, co jest karą za dokonaną zdradę w poprzednim życiu.

– Smutny widok, nieprawdaż...? – Naraz słyszę zza pleców męski głos, gdzie troska miesza się z gniewem. Rozpoznaję po brzmieniu padających słów Dajusa, jako ich autora. To jeden z moich dalekich krewniaków, który zostaje zaproszony przez mych rodziców na ślub. Nie znam tego młodzieńca zbyt dobrze, ale dostatecznie, by znać jego poglądy i to, iż obcych przybyszy darzy on szczerą niechęcią, a nawet więcej, jawną wrogością. Sama, jako osoba już wkrótce wżeniona w obcy ród z za morza nie mogę sobie pozwolić na takie stanowisko i swobodne wypowiedzianie własnych myśli. Dlatego nie odwracając się, kurtuazyjnie oznajmiam:

– Jakże może zasmucać cię, Dajusie, widok orszaku weselnego mojego przyszłego małżonka? Wszak w taki dzień, jedyny w życiu kobiety, nie pozostaje nic innego, jak się cieszyć i wznosić dziękczynnie ręce, nie zaś smucić.

– Zachowaj te wyuczone, sztuczne mowy dla obcych kapłanów i oficerów. Bowiem jeż niebawem na dobre możesz pożegnać się z prawdą na swych ustach. A wtedy używaj ich jak najmniej, o ile zgodnie z wolą twych nowych panów nie chcesz powrócić na ten świat, ale jako niema osoba za wierutne kłamstwa.

– Jak śmiesz... – posyknę i odwracam się równocześnie do mego bezczelnego rozmówcy.

– Właśnie, że śmiem i oto mówię prawdę. Czyżby raniła ona, pani, twe zdobne w złote kolczyki uszy?

– Nie bądź zgorzkniały. – Łagodzę ton i próbując zejść z niezręcznego tematu, dodaję: – Przybysze wprowadzają do naszego świata wiele nowości i to prawda, że czasem budzą kontrowersje. Jednak niewątpliwie też wiele dobrego możemy się od nich nauczyć. Sam natomiast, aby spojrzeć na życie łaskawszym okiem, powinienś poszukać sobie żony. – Zerkam niedyskretnie na stojącą za plecami Dajusa, opierającą się o ścianę moją służkę, Lakszi. Ta chyba słyszy me dość głośno wypowiedane słowa, bo puszcza mi ucieszenie całusa. Odwzajemniam jej uśmiech i w tym momencie męska postać pomiędzy nami wydaje się coraz bardziej zawadzać. Lecz Dajus, niezrażony, smętnie kontynuuje:

– Nie wezmę sobie żony po to, aby za jej sprawą sprowadzać na ten świat dzieci, które mogą być potem dotknięte klątwą ułomnego życia za swe domniemane winy.

– Czemuż to domniemane?! – zirytowana naraz podnoszę głos. I wskazując na ślad po królewskim orszaku, który w całości już zagłębia się w pałacowej bramie, z pretensją z siebie wyrzucam: – Tamci ludzie, których dotyka przekleństwo, grzeszyli swoim poprzednim życiem, czyniąc świat wokół nich gorszym. Inni, widząc ich teraz w takim stanie, dwa razy się zastanowią, zanim kogoś zdradzą, okradną, posłużą się zemstą w swych czynach, czy też bezczelnie okłamią.

– Nail oraz Nelorum – odpowiada na to nad wyraz spokojnie ciemnoskóry młodzieniec.

– Co, Nail oraz Nelorum? – pytam cierpko.

– Oni okazali się zarówno zdrajcami ja i kłamcami, wyprowadzając obcych Bogów w pole. Lecz tym samym uczynili oni świat wokół siebie tylko lepszym i kocham ich za to całym sercem.

– Ja... ja także ich kocham... – spuszczałam raptem z tonu. Natomiast Dajus wbija mi kolejną szpilę.

– Obcy przybysze to hipokryci, a jest to największy znany mi w świecie grzech. Ich bowiem nie dotyka przekleństwo drugiego żywota poczynione za grzechy. Taki zawarli ponoć układ z własnymi Bogami, iż rozpropagują na świecie ich religię, ale nie za darmo.

– To tylko plotka... – mówię niepewnie.

– Plotka... – powtarza z politowaniem Dajus. – Więc wyjaśnij mi, dlaczego wśród obcych przybyszy o białej skórze i płowych włosach nie uświadczysz nigdy żadnych ułomnych ludzi? Zresztą sama byłaś świadkiem. Wszyscy naznaczeni dziesięcioma grzechami, przed chwilą tu przez nas oglądani, posiadali ciemny kolor skóry, jak my.

– To niczego nie dowodzi... – stwierdzam, ale bez przekonania.

– Dla ciebie być może nie – odpowiada młodzieniec i głęboko wzdycha, po czym na odchodne za smutkiem oznajmia: – Zatem żyj księżniczko w swym błogim śnie tak długo, aż z przykrością przejrzysz na oczy. Ale zanim wyjdiesz za mąż za obcego przybysza, jest jednak jeszcze dla nas nadzieja. Albowiem jesteś przyszlą władczynią jednego z dwóch ostatnich, wolnych władztw na kontynencie Nelorum. Dlatego składam ci pokłon i wiedz, że będę cię chronił nawet wbrew twojej woli.

Wkrótce pozostaję na pałacowym balkonie sama w towarzystwie Lakszi oraz moich smętnych myśli. Te jednak, uśmiechając się na siłę, staram jak najszybciej od siebie odgonić. I dalej tylko poszerzam swój przyklejony do twarzy uśmiech, prowadząc z ulubioną służką trywialną rozmowę o nowych strojach, w jakich prezentują się przybywający od rana do pałacu goście. Aż w końcu nastaje wieczór i zgodnie z życzeniem obcych przybyszy czas na skromną ceremonię ślubną w całości przeprowadzaną w zamorskim obrządku.

\*

Rozstępują się podwójne wrota do największej sali w pałacu, całej udekorowanej bogato kwiatami oraz zdobnymi tkaninami i oto ukazuje się przede mną widok mego ślubu. Prowadzona pod rękę przez własnego ojca mimowolnie się uśmiecham, a jest to delikatny grymas twarzy dyktowany szczerym wzruszeniem. Wszak wszyscy zebrani goście w liczbie kilkunastu dziesiątek, głównie moi dalecy oraz bliscy krewni, są tutaj właśnie dla mnie! Choć również z tego powodu, co za sprawą mego ożenku ma się

ostatecznie dokonać. Mianowicie pokojowej asymilacji przez wielkie i wszechpotężne dominium naszego niewielkiego, ale ludnego królestwa.

I tak stawiam w jednej linii drobne kroki w zdobnych sandałach, pomarańczowych z haftami złotą nicią. Suknię posiadam czerwono-złotą, długą i ciągnącą się za mną po zdobnej posadzce. Związane włosy mam dokładnie zakryte pomarańczową chustą. Zaś całość uroczystego ubioru znaczą liczne wszywki złotych oraz diamentowych elementów biżuterii, które lśnią na mnie odbijając światło zapalonych pochodni okalających całą komnatę.

Pomiędzy dwoma szpalerami ubranych w luźne, wielobarwne szaty gości; mężczyzn i kobiet, podchodzę z królem przed miejsce zwane ołtarzem. Tuż koło prawicy mam swego przyszłego małżonka, którego twarzy jeszcze nie dane mi było oglądać. Natomiast przed sobą wiedzę obcego przybysza z zachodu będącego kapłanem w czerni, powiernika między światem ludzi i Bogów.

Przez dłuższą chwilę, zwracając oczy wysoko do góry i rozkładając szeroko ramiona, mówi on coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Aż składa razem dłonie, jak do modlitwy i pochyla nisko głowę. Następnie rozsuwa ręce i jedną z nich wskazuje na mnie, a drugą na mężczyznę, z którym wchodzę w małżeński związek.

Wcześniej zostaję pouczona, jak powinnam traktować poszczególne gesty kapłana, dlatego wiem, że krótka ceremonia ślubna jest już niemal dopełniona. Zaś teraz pozostaje mi oraz mężczyźnie przy moim prawym ramieniu jedynie wymienić wspólnie złote obrączki.

Nagle serce zaczyna mi jeszcze żywiej bić, bowiem od dłuższego czasu gna ono już przyspieszonym rytmem. Teraz porywa się wręcz niczym uwięziony w klatce, trzepoczący skrzydłami gołąb, bo oto po raz pierwszy spojrzę w oczy mego mężczyzny, który za moment zostanie moim mężem. Przeto z wielkim wrażeniem okręcam się ku niemu, ściskając w dłoni podarowaną od ojca obrączkę.

I oto jest, on, ktoś z kim zapewne dane mi będzie spędzić resztę swego życia i założyć, mam nadzieję, liczną, szczęśliwą rodzinę. Z niewypowiedzianą ulgą odczytuję całkiem przystojne, a jednocześnie dość łagodne rysy twarzy młodzieńca, sugerujące miłe usposobienie. Włosy ma

krótko obcięte i płowe jak wszyscy obcy przybysze. Nos wąski, nieco orli, garbaty, ale tylko trochę. Oczy kaprawe, zaczerwienione, jednak to pewnie od nadmiaru ostrych promieni słońca. Wąskie, proste usta upstrzone są wokół mozaiką brązowych pieprzyków, co wygląda nader sympatycznie.

Tak, jego wizerunek jest zupełnie inny niż znanych mi z widzenia otaczający mnie do tej pory ciemnoskórych mężczyzn. Lecz sama posiadam wiarę, że w tej inności i swoistej egzotyce odnajdę jeszcze prawdziwe zamiłowanie. Dlatego wyciągając przed siebie palce rozczapierzonej dłoni, ozdabiam swą twarz zachęcającym uśmiechem. Z zadowoleniem widzę, że zarazem nim mężczyznę naprzeciw. On delikatnie ujmuje moją dłoń i powolnym ruchem zakłada mi na serdeczny palec obrączkę. Ja sama analogiczny przedmiot przymierzam do palca młodzieńca, ale tuż przed jego paznokciem zastygam na moment. Pragnę bowiem, abym tę absolutnie wyjątkową dla mnie chwilę w życiu zapamiętała na zawsze i jak najwyraźniej, żeby w przyszłości odtwarzać ją po wielokroć w swoim umyśle, wspominając ją z ciepłym uczuciem na sercu. Aż w końcu jestem już gotowa. Biorę jeszcze jeden płytki, przyśpieszony oddech, gdy nagle młodzieniec pochyła ku mnie głowę i rozchyła usta, zupełnie jak do pocałunku.

Tak, zaiste, będzie to niezwykle piękna chwila, kiedy wsunięcie obrączek na palce zwieńczymy delikatnym zbliżeniem naszych ust, dowodem przyszłej, wielkiej miłości. Przeto jak natchniona sama wydymam lekko me ciemne wargi. Ale naraz pomiędzy ustami mężczyzny zauważam ślad czerwieni. Najpierw jest to jedynie kropka, lecz zaraz już spływa cała czerwona strużka, aż raptem osoba naprzeciw parska na moją twarz własną krwią! Jednocześnie przestrzeń wokół rozdziera gniewny krzyk Dajusa:

– Za kontynent Nalorum! Za czystość księżniczki Anrei! Za Ostatniego z Walczących, za Murana! Śmierć! Śmierć nikczemnym najeźdźcom zza morza! Śmierć!

Następnie mój niedoszły małżonek z nożem w plecach pada umierający pod moje nogi. W tym czasie w sali rozlegają się w paniczne, donośne wrzaski weselnym gości. Zaś autor zamachu jest szlachtowany szablami przez żołnierzy w szarych mundurach.

Za moment po niedawnym hałasie i poruszeniu nie ma już w sali ani śladu. Zapanowuje absolutna, martwa cisza, pośród której osuwam się bezradnie na kolana i ze łzami w oczach spoglądam na ciało uśmierconego, obcego przybysza, to zabitego Dajusa, sprawcę zamachu. Obaj mężczyźni leżą w kałużach krwi i spoglądają martwym wzrokiem w sklepienie komnaty.

Aż naraz rozlegają się wściekle wypowiedane słowa ojca mego niedoszłego małżonka:

– Cóż to za całkowita głupota i bezmyślność waszego ciemnego ludu! Banda nieokrzesanych dzikusów, których sam wyrznię z radością za doznany afront oraz zniewagę! Wszyscy, rozumiecie? Wszyscy, jak tu stoicie, zginiecie i posmakujecie w ten sposób stosownej kary! Wy wszyscy oraz wasi poddani! Ja wam to zapowiadam, komendant Grost! – Niski i gruby mężczyzna coraz bardziej się zaciętrzewia. Aż do mnie, tej, która podchodzi do niego na kolanach i całuje go po dłoniach, ochryple rzuca: – Czego, nędzna kobiecino?! – Na co odrywam usta od jego skóry na rękach i z żalobnym lamentem w głosie oświadczam:

– Stała się, zaiste, rzecz straszna, wręcz niewypowiedziana tragedia. Ale błagam pana, zaklinam, nie każ całej krainy. Otóż spłacimy, wszyscy jak tu jesteśmy, spłacimy nasze winy z nawiązką i płacić będziemy już zawsze. Jednakże oszczędź nas w swym miłosierdziu... – Głos mi się załamuje, lecz zbieram się w sobie i przez łzy dodaję: – Słyszałam, że jesteś, o panie, wdowcem... Zatem... zatem... Weź mnie za swą małżonkę. Będę usłużna i posłuszna, a jeżeli nie dość zadowolająca, to uczynisz ze mnie swą niewolnicę, tylko, zaklinam, oszczędź krainę...

– Żona... niewolnica powiadasz... – Mężczyzna nieco łagodzi swój porywczy ton, przyglądając mi się uważniej, po czym przenosi wzrok na wstrząśniętego zamachem kapłana, który uciekł na drugi koniec sali. Duchowny w pośpiesznym geście kiwa głową na zgodę. Na co komendant rozgląda się z dezaprobatą po zgromadzonych i dumnie przemawia:

– Na szczęście mam jeszcze wielu synów. Natomiast waszym jedynym możliwym odkupieniem za zabicie jednego z nich, może być to, że z kobietą od was spłodzę kolejnych potomków. Dlatego najbliższą noc spędzę z waszą księżniczką i jeżeli okaże się ona dobrym materiałem na

żonę, to ją poślubię. Nie zapomnę wam jednak tym samym w całości popełnionych win. Co to, to nie, na to bynajmniej nie liczcie... – Grozi surowo palcem. – Aczkolwiek za stosowne trybuty część z was przetrwa, podobnie jak określona ilość waszych poddanych. Innych wcielimy do wojska lub pozbawimy wolności. – Robi krótką pauzę i ze zgrozą w głosie podsumowuje: – Zatem ku chwale dominium Akros postanowione!

Niedługi czas potem odprawiam od siebie wszystkie osoby, nawet mych wielce stroskanych ojca oraz matkę. Ale w tej przerażającej chwili nie potrafię być długo sama i przyzywam Lakszi. Przychodzi ona do mej komnaty ze śmiertelnie poważną miną i kiedy zasiadam na podłodze, służka pada na nią i tuli głowę do mych kolan. Bezwiednie przeczesuję jej czarne, kręcone włosy i słucham płaczliwie wypowiedzanych słów. Wskazań o tym, abym w najbliższą noc po prostu zamknęła oczy i była niczym martwa, zaś podczas miłości z obcym przybyszem uciekła myślami jak najdalej stąd.

Lecz moje myśli kotwiczą niezmiennie właśnie tu, w tym pałacu, przy tragicznym zdarzeniu, jakie miało tu miejsce. Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, iż cały mój umysł staje się tonącym statkiem, którego nic już nie będzie zdolne utrzymać na powierzchni. Albowiem w najlepszym razie przeznaczone mi zostanie być żoną okrutnego, obcego starca i służyć mu swym ciałem, mieć z nim dzieci. Jeżeli zaś nie przypadnę mu do gustu... O tym nawet nie chcę myśleć. O łańcuchach na mych nadgarstkach i kostkach oraz obroży na szyi. Czy zostanę sprzedana, jak rzecz na targu niewolników, ja, księżniczka z Wyspy Czarnego Piasku? To niedorzeczne, ale w obecnie zarysowujących się okolicznościach niestety ze wszech miar możliwe.

Snując takie koszarne rozważania, jednocześnie gdzieś w tle przewija mi się wspomnienie słów mędrca Mitrei o tym, że moim przeznaczeniem jest przelewana krew, a nie weselne wino. Więc wychodzi na to, iż mam już tych prorocत्व z gubny początek. Co więc będzie ze mną dalej, na przepowiedzianej mi krwawej drodze? Może jako niewolnica zostanę nawet sprzedana do walk na arenę? W niektórych krainach ludzie ponoć lubują się w oglądaniu takich odstręczających spektakli.

Naraz w porywie złości zmieszanej z rozpaczą zaciskam dłonie w pięści i słyszę rozpaczliwe jęknięcie. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że już nie przeczesuję włosów Lakszi, tylko bezwiednie ciągnę za nie, sprawiając

dziewczyźnie dotkliwy ból. Dlatego luzuję uchwyt, ale z moich ust nie padają słowa przeprosin. Wszystkim, co się wokół mnie dzieje, jestem zbyt przejęta i przerażona. Nagle w ogóle język więźnie mi w gardle, zupełnie jakbym traciła zdolność wypowiedzania głośno słów. A już za moment serce nieomal podskakuje mi do gardła, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

A więc już czas, już czas...

To będzie moja noc przedślubna, bądź, jeżeli się nie sprawdzę, moja ostatnia, jako wolnej osoby i oto za mą krainę przyjdzie mi zostać niewolnicą. Ale złowrogiego kierunku losu nie da się już odwrócić w żadną inną stronę, wiem to. W związku z tym się poddaję i wstaję, aby wydarzyło się to, co mi przeznaczone.

Wychodzę z komnaty ze spuszczoną nisko głową, aby nikomu z mijanych dworzan nie spoglądać w oczy. Tak docieram do mej sypialni. Tutaj zakładam jedynie skromną, białą szatę, jak zdażył nakazać komendant. Ponadto zgodnie z jego wskazaniem zdejmuję z ciała wszystkie ozdoby, co do jednej i zaplatam w warkocz moje długie, rude włosy.

Tak przygotowana zasiadam na skraju przyniesionego tu, zasłanego łóżka, przedmiotu, na którym zwykli sypiać obcy przybysze i czekam. Tylko na kogo? Mego przysłego męża, oprawcę, właściciela? Odganiam od siebie te męczące mnie myśli niczym natrętne insekty. Aż bez zaproszenia ktoś zdecydowanie otwiera drzwi. Przechodzi mnie lodowaty dreszcz i wręcz się wzdrygam na widok Grosta seniora. Pospiesznie wstaję i wbijam wzrok w podłogę, by nie krzyżować spojrzenia z mężczyzną. I wsłuchuję się w jego z wolna stawiane ku mnie kroki, które są nad wyraz głośne od wysokich, wojskowych butów podkutych metalem. Następnie czubki owych butów ukazują mi się w zasięgu wzroku, ponieważ wyżej cały czas nie śmiem podnieść oczu. Z kolei komendant niespiesznie obchodzi mnie dookoła, po czym przed moje oczy wysuwa bicz i z wyższością w głosie oznajmia:

– Przypatrz się dobrze, co cię czeka tej nocy i już zawsze, jeżeli mnie tylko rozczarujesz, rozumiesz? – Na potwierdzenie dygam lekko. – Dobrze... – oświadcza na to zgrzytliwie łysy, otyły mężczyzna i raz jeszcze obchodzi mnie wokół, zupełnie jakby szacował moją wartość na targu i równocześnie przesuwając bicz po moim ciele. Czuję go najpierw na łonie,



potem na piersiach, następnie na plecach i zjeżdża on do mych pośladków. Zaś zatrzymuje się na kroczu. Z tą chwilą mężczyzna, który znowu jest przede mną, powarkuje: – Boisz się mnie? – Kiwam twierdząco głową. – Dobrze... to bardzo dobrze, kobieta powinna czuć respekt – pomrukuje, a w jego głosie słychać nutę satysfakcji. – Rozbierz się do naga: – rzuca naraz zdecydowanie, zupełnie jakby wymierzał mi ciosy biczem. Aby w rzeczywistości nie dosięgły one mej ciemnej skóry, wykonuję polecenie. Ściągam sobie z ramiona białą suknię i zdejmuję ją do końca. Czuję strach zmieszany ze wstydem, bowiem żaden mężczyzna nie oglądał jeszcze mej nagości. Dlatego teraz nie dość, że utrzymuję nisko pochyloną głowę, to jeszcze zaciskam powieki, zamykając oczy. Wiem, to dziecinne, ale kiedy sama na siebie nie spoglądam, jest mi w jakiś sposób łatwiej znieść na mnie wzrok obcego mężczyzny. Ten jednak nie dość, że niewątpliwie na mnie patrzy i ocenia, to ponownie wodzi biczem po moim nagim już ciele. Aż w końcu wzgardliwie z siebie wyrzuca: – Jesteś niedopuszczalnie chuda, jak jakaś chabeta! Odpychająco płaska i to z każdej strony. Swoimi kształtami sprzeciwiasz się kobiecej naturze, przez co szczerze wątpię w twą płodność, jak i inne zalety, którymi możesz zadowolić mężczyznę. – Nastaje dłuższa chwila milczenia, po czym komendant z ciężkością w głosie dodaje: – Jednakże wspaniałomyślnie dam ci szansę się wykazać, choć tylko jedną. I dobrze radzę, się postaraj... Na kolana: – kończy rozkazująco. – Nie zwlekając, wykonuję polecenie, a wtedy pada następne: – Spójrz na mnie: – W końcu podnoszę powieki i zadzieram nieśmiało głowę. W pozycji na klęczkach widzę dominującą nad sobą sylwetkę skąd inąd naprawdę niskiego mężczyzny. Ten uśmiecha się w niesmaczny sposób, mlaskając przy tym językiem. Wyjmuje z kieszeni kolistę ciastko i mówi: – To przysmak z moich rodzinnych stron, który zwiększa kobiecą płodność. Zjedz to. – W odpowiedzi wyciągam po smakołyk rękę, ale nagle gwałtownie ją cofam, gdy otrzymuję w nią mocne uderzenie biczem. Posyknę z bólu i spoglądam pytająco na mężczyznę. On uśmiech się tym razem triumfująco. Gładzi mnie ręką z biczem po włosach i wyjaśnia: – Nigdy więcej nie wyciągaj ku mnie dłoni, masz je trzymać za plecami i jeść mi z ręki ustami, rozumiesz...? – Potakuję skinięciem głowy, bojąc się ciągle odezwać. Natomiast komendant Grost kontynuuje: – Zanim uraczę cię wspomnianym smakołykiem, musisz ponieść stosowną karę. Chcesz ją ponieść, nieprawdaż? – Na znak zgody, bowiem nie wyobrażam sobie

sprzeciwu, zamykam i podnoszę powieki. Zaś mężczyzna wyjmując z pasa kajdany i prezentując je przede mną, mówi: – Zakuję ci tylko górne kończyny. W ten sposób pozwolę ci się zarazem lepiej odnaleźć w twojej obecnej, jak i przyszłej sytuacji, nieważne żony czy niewolnicy. – Coraz mocniej zbiera mi się na płacz, ale powstrzymuję spazmy i daję zakuć sobie ręce. Potem ostrożnie wysuwam do przodu głowę i chwytam ustami z dłoni Grosta prezentowany mi smakołyk. Połykam go, jest słodki, wręcz mdlący, przez co z trudem przechodzi mi przez gardło. Staram się, aby go nie zwrócić, a nad sobą słyszę miły, wręcz ojcowski głos: – Dobrze, o to właśnie chodzi. Lekcję posłuszeństwa mamy zatem za sobą i może się jednak jakoś dogadamy. Tylko koniecznie musisz sporo przytyć i dawać mi potomka, najlepiej męskiego, nie rzadziej niż co roku. Na szczęście jesteś młoda. Ponadto, tak jak teraz, nigdy nie odzywaj się do mnie bez pozwolenia. Męczy mnie piskliwy, kobiecy głos. Także kiedy będziemy współżyć, nie wydawaj z siebie żadnych żalonych westchnień, drażni mnie to. A skoro dochodzimy do kwestii współżycia, to czas skonsumować nasz związek. Postaraj się, a jutro zostaniesz moją żoną. – Mężczyzna spogląda na łóżko. Ja z kolei czuję raptem straszne mdłości, drżą mi ręce, a zaraz cała trzęsę się jak w malignie. Aż w końcu po policzkach skapują mi perliste łzy. Dłużej doprawdy nie jestem ich w stanie powstrzymać. – Dobrze, już dobrze... – mówi troskliwie komendant. – Zaraz się tobą zaopiekuję, lubię u kobiet taką niewinność... – dodaje Grost, aczkolwiek rozdygotana widzę, że jego uwagę raptem przykuwa coś innego niż moja osoba. Sięga on po dzwoneczek na stoliku koło łóżka. Podnosi ów dzwoneczek i potrząsa nim zdecydowanie. Rozlega się dobrze mi znane, donośne brzęczenie. I nie mija wiele czasu, a w komnacie pojawia się Lakszi. Bowiem komendant wzywa akurat tę osobę do mej sypialni.

Moja wierna służka, widząc mnie na klęczkach, w żelaznych kajdanach i zapłakaną, najpierw zastyga w prawdziwym przerażeniu. Potem podbiega do mnie i sama klęka, obejmując mnie mocno. Osobiście tulę się do niej z całych sił i tylko cudem powstrzymuję prawdziwy wybuch płaczu. A zaraz znowu rozlega się nade mną pełen pretensji męski, zgrzytliwy głos:

– Co to ma znaczyć...? Władcy tej krainy zapewniali mnie, że oddają mi cię za żonę, jako dziewicę i tylko dlatego nie brzydzę się ciebie tknąć. Ale jaka z dobrze prowadzących się dam, ma w swej sypialnej komnacie

dzwonek na zawołanie frywolnej służki na noc? Co wy tu razem robiłyście, obrażając Bogów, odpowiadać?! – grzmi na całe gardło komendant.

Ja sama, kompletnie rozdygotana, nie jestem w stanie przemówić ani słowem. Wyręcza mnie Lakszi, pokornie, ale i w pośpiechu, mówiąc:

– Choć naszą najgłębszą relacją jest pani oraz jej służka, to znamy się od dziecka i jesteśmy sobie przyjaciółkami. Zawieramy sobie sekrety i prowadzimy długie rozmowy. Także w nocy raczymy się opowieściami, nic więcej... – zaklina się Lakszi, składając dłonie na sercu. Z kolei komendant w gniewie chrypi:

– Nie wierzę wam! Teraz jeszcze wierutne kłamstewka? Nie drwicie ze mnie! A ty wstań! – grzmi do Lakszi. – Ta wykonuje polecenie. Wtedy mężczyzna nieoczekiwanie wręcza jej bat i dumnie oświadcza: – Musicie ponieść należyłą karę za obrzydliwe, plugawe związki cielesne między wami. Już ja wiem, jak się tu razem zabawiałyście kobiecymi pieszczotami. Nie urodziłem się wczoraj i dobrze znam zwyczaje takim ciemnych, niewyżytych suk, jak wy, a co myślałyście?! Zatem jedna drugiej, dla zmniejszenia chuci, wymierzy po dziesięć batów, tylko siarczystych. Ty pierwsza! – krzyczy do Lakszi. – Ty zaś pochyl plecy! – wrzeszczy do mnie.

W odpowiedzi wykonuję polecenie, zginając się w pozycji na kolanach do przodu. Roztrzęsiona oczekuję w napięciu bicia na moim ciele, zaciskam drżące pięści zakuty w kajdany ręk, a na mozaikę na parkiecie skapują jedna za drugą moje łzy.

– Pani...? – słyszę trwożne zapytanie Lakszi.

– Nie odzywaj się więcej! – dobiega mnie wściekłe pokrzykiwanie komendanta: – Uderzaj albo zaraz obie was zakuję w kajdany i wyślę na targ niewolników, a wasze żałosne królestwo zrównam z ziemią, spalę!

Po tej złowroziej zapowiedzi nagle przechodzi mnie bolesne drżenie, kiedy mych pleców dosięga silne uderzenie biczem. Cała kulę się w sobie, czekając na zapowiedziane, kolejne dziewięć razów. Choć tak naprawdę nie miałabym nic przeciwko jeszcze jednej dziesiątce, gdyby tylko odwiodło mnie to od koszmaru fizycznej miłości z tym odstręczającym typem koło mnie. Ten ponownie zdziera gardło do Lakszi:

– Mocniej!

Wtem w komnacie sypialnej rozlega się plaśnięcie skórzanych rzemieni o gołą skórę. Lecz co znamienne nie jest ono połączone z moim bólem, a panicznym wręcz wrzaskiem Grosta. Spoglądam na niego z ukosa, zadzierając głowę i na jego twarzy dostrzegam czerwoną pręgę. Natomiast przed nim widzę gwałtownie oddychającą, wzburzoną i przejętą moją służkę.

Dalej obserwuję, jak komendant w akcie zemsty wściekle uderza Lakszi pięścią w twarz raz i drugi. Ta pada bez życia na łóżko, a mężczyzna siada na niej i zaczyna ją z pasją dusić. Słyszę charczenie dziewczyny, a nad nią gniewnie wykrzykiwane przekleństwa. W tym te o nienawiści do całej ciemnej rasy i jej przeklętych Bogów; Nail oraz Nelorum.

Wtedy, zupełnie nie wiem dlaczego, coś we mnie pęka. Wstaję z kolan, prostując plecy, po czym rzucam się jak w amoku na Grosta! Krzycząc, zarzucam mu łańcuch z moich kajdan na szyję i z całych sił ciągnę do tyłu, krzyżując ręce. Mężczyzna łapie rękoma za łańcuch na swym gardle i z trudem bulgocze, a jednocześnie stara się dosięgnąć mnie łokciami. Jeden z jego wymachów rozkwasza mi nos, drugi wybija zęb.

Jednak raptem zupełnie siebie nie poznaję, jestem niczym inna osoba i doznawane razy tylko podsycają mój wściekły gniew, przez co walczę jeszcze zajadlej! Kotłuję się naga z komendantem po łóżku, dając z siebie wszystko i coraz mocniej zaciskam łańcuch na męskim gardle. Niech ten nikkzemnik sam posmakuje brutalnej przemocy i wszystkiego, co z nią związane!

Aż zdaję sobie sprawę, że Grost wiotczeje w moim uścisku i to ostatni moment, aby zluzować uchwyt i nie pozbawiać go życia. Gniew raptem ze mnie wyparowuje i się waham, ale tylko przez chwilę. Nagle bowiem już nie tyle się czuję, a naprawdę jestem kimś innym, prawdziwą wojowniczką. To niezwykle ożywcze odczucie, a idąc za nim, czynię wzdorczywy wyraz twarzy i w wyrachowany sposób doprowadzam sprawę do końca. Zaciskam, jak tylko mogę łańcuch na szyi przeklętego mężczyzny i do ostatnich jego chwil iście lodowatym wzrokiem spoglądam w wytrzeszczone, przekrwione, męskie oczy. Kiedy raptem stają się one mętne, co jest znakiem, że wyparowuje z nich właśnie dusza, która rozplynie się w nicości.

Mija czas, doprawdy nie wiem, jak długi. Aż otrzymuję niezbyt silne uderzenie drżącą dłonią w twarz.

– Coś ty zrobiła, moja słodczy...? – skamle płaczliwie Lakszi, wskazując na trupa na łóżku. A zaraz dodaje: – Jesteś wspaniała, Anreo, i przeklęta zarazem. Ocalasz mnie i już zawsze będę cię za to wychwalać. Ale jednocześnie nas wszystkich prowadzisz do zguby...

\*

Nazajutrz dopiero co przybyły z dominium oddział żołnierzy opuszcza w pośpiechu pałac i już bez swych dowódców wyrusza w drogę powrotną. Jednak nie sam, a w towarzystwie moich rodziców; króla oraz królowej Wyspy Czarnego Piasku. Taki jest ich wybór, aby po serii tragicznych incydentów błagać na kolanach innych komendantów o przebaczenie w zamian za wierną służbę i wielki okup. Zaś chodzą słuchy, że moi rodzice zamierzają oddać też moje życie. Ponoć przez zabicie Grosta seniora jestem teraz przeklęta i mam zostać publicznie spalona na stosie.

Cóż mogę powiedzieć. Po tym, czego dokonuję i jak z kretesem zawodzę, jako córka, nie zdziwi mnie to, jeżeli moi rodziciele sami złożą mnie w ofierze, aby ratować swe inne dzieci w postaci ludności Wyspy Czarnego Piasku. I jest to ze wszech miar prawdopodobne, ponieważ przed odjazdem jedyne, co uzyskuję od ojca i matki, to słowa wzgardy dla mej osoby i bolesne policzki w twarz.

Jednakże osobiście odnajduję w sobie coś nowego, co nie pozwala mi dalej tak po prostu klękać i zginać pleców. Jest to jakiś dotąd uspiiony we mnie rodzaj pragnienia walki. Choć wspominając słowa mędrca Mitrei o mojej krwawej przeszłości, jak i przyszłości, wciąż nie mam do końca rozeznania w tym, o co tak naprawdę toczy się walka w szerszej skali. Dlatego, aby to wyjaśnić w nocy ponownie odwiedzam mędrca.

Tak jak za pierwszym razem zasiadam w mrocznym pokoju na ciemnej macie i jedynie płomień zapalanej świecy oddziela mnie oraz starszego mężczyznę w turbanie z własnych włosów. Moje własne włosy są za to rozpuszczone. Spodziewam się bowiem, że ponownie zostaną użyte do przepowiedni. I się nie mylę.

Mitrea bez słowa ujmuje mój pukiel i umieszcza go w ogniu. Obecnie daje on biały dym, od którego odchodzi srebrzysta poświata. Wewnątrz

dostrzegam, jakby mgliste zarysy skrzydlatych postaci. Niektóre z nich to mężczyźni, a inni kobiety, choć widzę również skrzydlate osoby z głowami zwierząt, jak też kobiecą postać z dodatkową parą rąk oraz męską z węzowym ciałem. Następnie padają spokojnie wypowiedane słowa mędrca:

– Nic nie powstaje z nicości. Z kolei to, co już jest, nieustannie się zmienia. Jednakże, jaki przybierze kształt i kierunek, to już zależy od tych, którzy wyznaczają dziejowy prąd. To przede wszystkim powstali niegdyś Bogowie, którzy są jednak bardziej ułomni i śmiertelni niż chcieliby to przed sobą przyznać. Lecz to oni głównie swą mocą decydują, jaki ostateczny los przydzielony zostanie wszystkim innym istotom oraz im samym. – Mitrea spala kolejny kosmyk mych włosów i kontynuuje: – W obecnych czasach Bogowie żyją w szczęściu w boskim wymiarze i wedle swego upodobania mogą rodzić się na ziemi ze świadomością swego istnienia. Ich dzieci spłodzone ze śmiertelnikami, półbogowie, również szczycą się nieśmiertelną duszą. Jednak odradzają się wyłącznie w ziemskim wymiarze najczęściej bez świadomości tego, kim byli uprzednio. Pozostają jeszcze zwykli śmiertelnicy, których dalszy los jest zaiste bez większej głębi. Oni przychodzą na świat w cielesnej powłoce z duszami tak ulotnymi niczym wiosenne pajęczyny unoszone i rozwiewane przez wiatr. Przez to po swej śmierci te istoty przestają jednoznacznie istnieć, o ile w ich unicestwieniu nie przeszkodzą boskie interwencje. I ostatnimi czasy toczy się walka części Bogów właśnie o to, aby spętać ludzi ich grzeszną karmą i jeżeli zawinili, to powoływać ich na powrót do życia na ciężką pokutę. To właśnie realizują Bogowie między innymi za pośrednictwem dominium Akros. – Mędrzec robi dłuższą pauzę i ciągnie dalej: – Lecz zapytasz się mnie, Anreo, gdzie w tym wszystkim jest twoje miejsce. W przepowiedzianych ci krwawych żywotach z kim i co masz walczyć, aby podążać słuszną drogą? Otóż jak każda istota musisz sama znaleźć na to odpowiedź zgodną ze sobą. Jednakże to jeszcze nie wszystko: – mówiąc to, mędrzec spala część własnych włosów. Wtedy dym przeplata się nawzajem czernią oraz bielą i padają znamienne słowa Mitrei: – Żyjemy w czasach, kiedy to dotychczasowe gierki Bogów coraz silniej splatają się z losami ludzi, a ci ostatni są w stanie kreować również boski los. Stare odchodzi i nadchodzi zupełnie nowe. Wkrótce powstanie przesilenie zarówno w świecie ludzkim, jak i boskim. Wszystko się zmieni i nic już nie będzie

takie samo. Kto zaś zdecyduje o ostatecznym rozrachunku? Domniemam, że wśród tych istot będzie właśnie ty, Anreo.

Po tej mowie mędrzec Mitrea gasi pomiędzy nami płomień świecy. Nastaje mrok, ale dla mnie tym razem niecałkowity. Mam nieprzeparte wrażenie, że mimo braku ognia pozostaje w pomieszczeniu jego ciepło, jak też delikatne światło niczym ponadczasowa idea, która nigdy całkiem nie zamiera, nawet jeżeli wygasły już jej drugorzędne przyczyny.

Przeto doprawdy w przedziwnym stanie umysłu powracam do swej sypialnej komnaty. Na różne sposoby rozważam słowa Mitrei i staram się sama w nich odnaleźć. Ja, czyli właściwie kto taki? Wyrodna córka króla i królowej Wyspy Czarnego Piasku? A może jednak mityczna Bogini, Anrea, której prawdziwą powinnością jest stanąć po właściwej stronie w narastającym ponoć konflikcie? Tylko jaka to strona i czego dokładnie dotyczy się ów konflikt? Tego niestety ciągle do końca nie dane mi jest się dowiedzieć.

\*

– Przybyli wysłannicy dominium – oznajmia mi, kłaniając się uniznienie dowódca pałacowej straży. Jest to starszy już mężczyzna w bordowym uniformie z turbanem oraz gęstą, czarną brodą i wąsami, kapitan Sakkan.

– Przybyli sami? – zapytuję ostrożnie, zasiadając na macie w sali gościnnej, gdzie żegnam ostatnich krewnych, powracających do swych domostw po mym niedoszłym ślubie. Z kolei kapitan uściśla wypowiedź:

– Obcy przybysze pozostawili przed bramami pałacu dwie skrzynie i powiedzieli, że w ciągu dziesięciu dni mamy je odesłać wypełnione złotem. Potem odjechali.

– Podali jakieś dodatkowe warunki?

– Nie, pani.

– A moi rodzice ciągle nie powrócili i nie ma od nich żadnych wieści?

– Tak właśnie się sprawy mają – potwierdza Sakkan.

– Duże są... te skrzynie...? – dopytuję po chwili namysłu, zastanawiając się, czy dostatecznie szybko zdołam je wypełnić kosztownościami.

– Dość duże – stwierdza kapitan.

– Dobrze zatem... Chodźmy im się przyjrzeć z bliska. – Po tych słowach wstaję. Całuję w oba policzki mojego wuja i ciotkę, żegnając się z nimi, jako ostatnimi z gości. Następnie w towarzystwie kapitana Sakkana i nieodstępującej mnie na krok Lakszi, idę przed pałacową bramę.

Na miejscu napotykam dwie prostokątne skrzynie zbite z pospolitego drewna. Zafrasowana oceniam ich wielkość, jako znaczącą, gdy naraz coś budzi mój niepokój.

– Czy otwieraliście już te pojemniki? – mówię do kapitana. Ten kręci przecząco głową, wobec czego wydaję zdecydowane polecenie: – Otwórzcie, natychmiast.

Mój rozkaz zostaje szybko wykonany i kapitan wspólnie ze strażnikami zdejmują prostokątne nakrywy ze skrzyń. Z tą chwilą Lakszi wydiera ze swej piersi żałobny, stłumiony krzyk i tuli się do mnie. Ja sama mocno przyciskam ją do siebie.

My obie, jak i zgromadzeni przed pałacem wojskowi, właśnie oglądamy dwa poćwiartowane ciała moich rodziców, króla oraz królowej. To odcięte głowy, a także kończyny, do tego z rzeźniczą precyzją rozczłonkowane korpusy. Zaś wszystko to tonie we krwi i wydziela przykry zapach wczesnego rozkładu.

Zapada martwa cisza, aż w końcu przerywa ją nieśmiało kapitan Sakkan, zwracając się do mnie już nowym, należnym mi teraz tytułem:

– Jakie rozkazy... królowo...?

Po krótkiej chwili, jakby wyrwana z transu, surowo oświadczam:

– Spalić, wszystko spalić, zarówno skrzynie, jak i zwłoki. Uczynicie to natychmiast.

– A ceremonia żałobna...? – zapytuje jękliwie, szlochająca Lakszi. – A napełnienie skrzyń kosztownościami...?

– Nic z tego. – Zaciskam dłonie w pięści. – Rozkazuję zebrać armię i ogłosić mobilizację w całym królestwie. Ponadto przyszykujcie mi konia i przydzielcie dziesięciu jeźdźców.

– Wyjeżdżasz, moja słodczy, w tak gorzki dzień? Dokąd...? – Ma wierna służka ociera z oczu łzy i pochlipując, dodaje: – Nie uciekniesz przed gniewem dominium, nigdy i nigdzie się przed nim nie skryjesz...



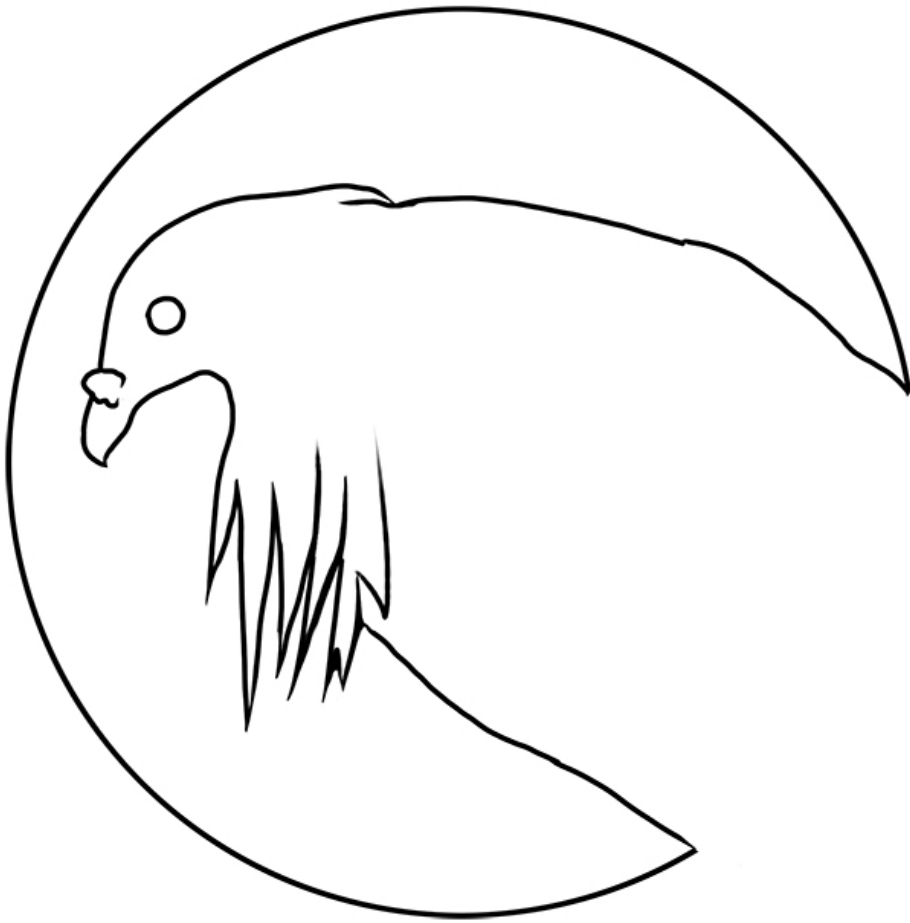
– Nie zamierzam uciekać, zamierzam walczyć. Wyruszam na północ w ważnej dla królestwa sprawie.

– Na północ? – pyta zdumiona Lakszi.

– Tak. Zaproponuję małżeństwo i sojusz Ostatniemu z Walczących.

– Muranowi?!

– Nie inaczej. Bowiem czy nam się to podoba, czy nie, wiedzcie, że już wstąpiliśmy na jego drogę. – Pokazuję chłodno na ciała mych rodziców, samej sobie się dziwiąc, iż mówię z odwagą, a nie klęczę przy zwłokach, zalewając się łzami. Następnie ciągnę dalej: – Koło nieuchronnie ziszczającego się losu zostało właśnie poruszone. My zaś w nadchodzącej walce znamy już swoje miejsce, jak i cel. Wykonać. – Po tej deklaracji zarzucam sobie pomarańczową chustę na głowę i idę się przebrać w żałobne, białe szaty. Jednak w tych bynajmniej nie zabawię zbyt długo, ponieważ już niebawem przywdzieję zbroję, a w mych dłoniach znajdzie się pomsty miecz.



### III. PÓŁWYSEP CZARNEGO PIASKU

Historia władztwa na naszej północnej granicy jest nierozdzielnie związana z burzliwymi wydarzeniami ostatnich wieków na kontynencie Nelorum. Otóż po rozpoczęciu się inwazji dominium na tutejszy kontynent potężna armia z Akros pierwotnie podporządkowuje sobie państwa białych ludzi przybyłych tu już naprawdę dawno temu. I tak pod władzą dominium znajdują się kolejno zachodnie, północne i południowe krainy: Viglum, Orienum, Aglum, Sławum oraz Romulum. Jednak nie wszyscy mieszkańcy podbitych władztw składają całkowicie broń i ostatecznie poddają się najeźdźcy. Wielu z nich dalej pragnie prowadzić walkę, mimo że wydaje się ona całkiem straceniczą.

Lecz początkowo nie posiadają oni żadnego azylu, gdzie mogliby zebrać siły i sprzeciwić się wspólnemu wrogowi. Tak jest do czasu, gdy w łonie mej własnej krainy nie zostaje wzniecony bunt przeciw ugodowej polityce z dominium Akros. Wówczas północna część naszego władztwa ogłasza separację. Tą drogą zamieszkujący tam nasi pobratymcy o ciemnym kolorze skóry inicjują powstanie Półwyspu Czarnego Piasku. Nazwa ta wyraźnie nawiązuje do jedności z całym podbitym kontynentem, do którego zapraszani są wszyscy, także biali wojownicy, pragnący kontynuować walkę z dominium. I trzeba przyznać, że na przestrzeni ostatnich setek lat to właśnie opór Półwyspu Czarnego Piasku sprawia, że cały kontynent nie znajduje się jeszcze pod całkowitym władaniem najeźdźców z Akros.

Jednakże w końcu dominium ściągają dostateczne posiłki zza oceanu i przy ich udziale doszczętnie rozbija w wielkiej bitwie połączone wojska północnego władztwa i ich sprzymierzeńców. W walce ginie król Półwyspu Czarnego Piasku, jak również większość jego najbliższych krewnych. I tak władza spoczywa nieoczekiwanie na barkach młodego chłopca imieniem Muran, którego matką jest kobietą o ciemnej skórze, zaś ojciec jest biały.

Mija kilkanaście lat, a chłopiec jest już mężczyzną i obecnie to on ma prowadzić ostatnią armię wolnych ludzi do boju. Dlatego też nazwany zostaje Ostatnim z Walczących, bowiem prawie nikt już nie wierzy, że po nim przyjdzie ktoś jeszcze, kto będzie się w stanie przeciwstawić bezwzględnemu najeźdźcy.

Aczkolwiek może on uzyskać nowego sojusznika w mojej osobie. I nie jest to bynajmniej jedynie mój własny wybór. Oto w objęcia Murana pchają mnie jego wrogowie, będący teraz także moimi, czyli zarówno nowi przybysze, jak i ich obcy Bogowie. Ci sami, których wątpliwą pomocą gardzą niegdyś Nail oraz Nelorum.

Tymczasem przemierzam z niewielkim orszakiem drogę wiodącą do warownej twierdzy na terenie Półwyspu Czarnego Piasku, gdzie rezyduje Muran. Ubity trakt wiedzie przez gęstą, zieloną dżunglę. Rosnące po dwóch stronach liściaste drzewa są mocno poplatane lianami i w dominującym skwarze rzucają na nas ożywczy cień. Do naszych uszu dochodzą melodyjne śpiewy ptasich trel i krzykliwe pohukiwania skaczących po drzewach małp. Czasem coś spłoszy te dwunożne istoty i z wysoko umieszczonych konarów szybują one ponad nami, zrzucając na drogę liście i niedojedzone owoce. Przez to kilkudniowa podróż w dojmującym gorącu oraz wilgoci jest nam co raz urozmaicana i nie cechuje się ona monotonią. Również wtedy, kiedy przekraczamy drewniane mosty, a w dole możemy podziwiać przesuwające się w wodnej toni krokodyle cielska. Bywa też, że widzimy olbrzymie hipopotamy.

W końcu wychodzimy z zielonej dżungli, co kładzie kres podziwianiu jej nieprzebranych bogactw; zwierząt i roślin. Z tą chwilą ukazane nam zostają mury niezdobytej do tej pory twierdzy Manakisz. Nie raz opiera się już ona obcym przybyszom, a zbliżając się do niej, już rozumiem dlaczego.

Same mury w kolorze czerni, jakby osmolone, są niebotycznie wysokie na jakichś dwudziestu ludzi, a podobno są też niezwykle grube. Otaczają je trzy koliste fosy pełne drapieżnych ryb i krokodyli. Pomędzy fosami, wśród zaostrzonych pali, hodowane są na otwartej przestrzeni jadowite skorpiony, pająki i węże. Zatem, aby dostać się do samych murów bronionych przez zaprawionych w bojach żołnierzy, trzeba się najpierw zmierzyć ze śmiertelnie niebezpieczną naturą, a ta nie zwykła brać jeńców

Naszczenie osobiście przybywam tu w pokojowych intencjach. A że wysyłam przodem gońca, aby zaznajomił Murana z celem mej wizyty, zastaję potężne, żelazne bramy otwarte przede mną na oścież. Pokonuję je konno i odnoszę wrażenie, zupełnie jakbym wkraczała do innego świata, a mianowicie wojny.

Wszędzie dostrzegam jedynie żołnierzy, tych ćwiczących walkę różnorodną bronią, jak i odpoczywających po trudach treningu. Na stojakach jawi mi się różnorodny oręż i w tym momencie przypominam sobie sen z ostatniej nocy, w którym przebywam w miejscu nieco przywodzącym na myśl właśnie to. Było ono zamknięte murami i znaczył je złocisty piasek, choć tu jest on czarny. Ponadto plac ze snu wypełniony był ćwiczącymi walkę ludźmi o białej skórze. Jednakże był tam przy mnie ktoś jeszcze, ktoś szczególnie mi bliski, niejaki Aves – wspominam to imię i nagle nie wiedzieć czemu czuję w sercu ukłucie.

Lecz już zaraz jestem przywrócona do rzeczywistości, kiedy proszona zostaję o zejście z konia i prowadzi się mnie do wewnętrznych zabudowań. W towarzystwie mej nielicznej świty mijam jasne korytarze bez zbędnych wystrojów, tak inne od zdobnych przestrzeni mego własnego pałacu, gdzie każdy zakątek zaadoptowany jest tak, by cieszył oczy i sycił radosnym widokiem.

Następnie trafiam do większej, prostej w wystroju sali w kształcie prostokąta, u której szczytu zauważam trzy skromne trony oraz trzy zasiadające na nich postacie. Po bokach to starsze, dostojne osoby; kobieta oraz mężczyzna z wielce poważnymi minami na twarzach. Natomiast pośrodku zasiada młodzieniec, zatem to niewątpliwie on, sławny w tej części świata Muran.

Ludzie powiadają, że skórę ma czarną w białe plamy, a nie jednolitą. Miałyby być łysy z dwiema wypustkami na czole na kształt demonicznych rogów. Zaś z ust wystają mu ponoć długie kły, które zwykł zatapiać w ciałach swych ofiar, by pić z nich krew.

Cóż mogę powiedzieć, prezentowany mi widok wielce daleki jest od tego, jakim mnie do tej pory straszono. Oto mam przed sobą pięknego, postawnego młodzieńca. Jego skóra jest tylko nieco jaśniejsza niż moja, włosy ma krótkie, czarne i proste. Twarz z kolei w kształcie prostokąta,

bardzo poważną, ale budzącą sympatię. Do tego wyraźne brwi i prosty nos, pełne usta i kwadratowy podbródek.

Na taki wizerunek mimowolnie niemal się uśmiecham z ulgą. Jednak pomna swego majestatu, jak i powodu, dla którego tu jestem, zaraz przywołuję się do porządku. Ściągam usta i tuż przed skromnym zgromadzeniem w postaci trzech osób przede mną, kładę się na brzuchu krzyżem na chłodnej, szarej posadzce.

To akt podporządkowania z mej strony, ponieważ to ja przychodzę po prośbie w roli petentki i bynajmniej nie mam tu zamiaru odgrywać żadnych dyplomatycznych gier. Stawiam na szczerość i tego samego oczekuję w zamian, czekając, aż władca Półwyspu Czarnego Piasku przemówi. Jednak zamiast niego głos, jako pierwszy zabiera starszy mężczyzna:

– Witaj, księżniczko... to jest już królowo, Anreo, w naszych skromnych progach. Wiedz, że ugościmy cię tutaj najlepiej, jak tylko możemy, także twoją straż. Ponadto nasz władca, a my razem z nim, łączymy się z tobą w bólu po wielkiej stracie, jakiej doznało królestwo Wyspy Czarnego Piasku. I obiecujemy ci pomścić śmierć twych rodziców. – Mężczyzna kończy swoją mowę, po czym w równie zdecydowany sposób przemawia kobieta z drugiej strony Murana, oświadczając:

– Raczyłaś nas, pani, już powiadomić o celu twej wizyty. Zatem wiedz, że odbyliśmy w naszym gronie stosowną debatę, co też powinniśmy uczynić. Jednakże, aby sfinalizować małżeństwo i trwały sojusz między naszymi krainami, najpierw będziemy musieli poczynić wobec ciebie pewne kroki, jak i zadać ci odpowiednie pytania. Tak więc na początek powstań królowo południowego władztwa.

Na te słowa, które są zgodne z tymi, jakich tu oczekuję, powoli prostuję się do pionu. Na co zaraz z ust starszego mężczyzny słyszę lekką reprimendę:

– Powstań, ale tylko na klęczki, pani.

Przez chwilę mierzę wypowiedającą się postać wzrokiem, zastanawiając się, czy nie jest to przypadkiem początek czekającego mnie tutaj pasma upokorzeń. Jednak chowam głęboko dumę i zajmuję sugerowaną pozycję na obu kolanach.

Kiedy to czynię, starsi mężczyzna oraz kobieta opuszczają swe siedliska i podchodzą do mnie z dwóch stron, po czym chwytają mnie za dłonie. Następnie badają mi puls przy nadgarstku i jedno przez drugie zwracają się do Murana:

- Jest zdrowa.
- Pozostaje czysta, to dziewica.
- Jest prawdomówna.
- Można jej ufać.
- Jest silna swym duchem.
- Będzie wierna temu, w co zawierzy i kogo pokocha.

A zaraz dodają:

– Biada jej wrogom, bo potrafi rozproszyć swe miłosierdzie niczym białe obłoki na niebie, by zesłać z niego karzące błyskawice. Ta kobieta w gniewie nie zna litości.

– Biada też jej przyjaciółom, ponieważ poświęci ich w walce o większą sprawę.

Potem nadchodzi dłuższa cisza. Aż doradcy, spoglądając mi głęboko w oczy to na rude włosy, ze śmiertelną powagą kontynuują:

– To nie jest zwykła śmiertelniczka. To odrodzona, pradawna Bogini z odległego kontynentu, której należy się pokłon. – Kłaniają mi się nad wyraz nisko i dla odmiany wyniośle mówią: – Lecząc za ogrom cierpienia, jaki sprowadza dotąd na świat, należy jej się także zakucie w łańcuchy i bolesne męczarnie aż po kres jej dni w tym żywocie. – Na te z kolei słowa chcę odruchowo wyszarpnąć ręce z uścisków, ale te są zbyt silne. Następnie cała nasza trójka zgromadzona przed władcą wpatruje się właśnie w niego, oczekując na ostateczny werdykt.

Chwila ta się przedłuża, zaś władca północnej krainy ciągle nic nie mówi i pozostaje zupełnie bez ruchu. Aż raptem ku mojemu wielkiemu zdumieniu nie wypowiada on na głos słów, tylko umiejętnie gestykuje. Ja natomiast znam mowę gestów.

– „Nie czas na ocenianie kogokolwiek po przeszłych jego czynach. Ta kobieta przybywa tu, aby nas wesprzeć w słusznej sprawie i walczyć.

Zatem damy jej to, czego pragnie bez oglądania się na inne kwestie. Zawiążemy nasz sojusz najmocniejszym z istniejących węzłów, których nie rozerwą już nigdy ani ludzie, ani Bogowie. Udzielcie nam ślubu i uczynicie to nim zajdzie na niebie słońce”.

Tak więc zapada ostateczny wyrok odnośnie do mej przyszłości i to zarówno tej najbliższej, jak i odleglejszej, a być może nawet wyznaczającej całość mego życia. Mianowicie wstaję z klęczek, aby jako Ostatnia z Walczących stanąć dumnie u boku Ostatniego z Walczących, Murana, a do tego mego męża, mego jedyne.

Zanim jednak udzielona zostanie nam ceremonia ślubna, proszę o możliwość odświeżenia ciała i przywdziania stosownego stroju. Otrzymuję takowe pozwolenie i już niebawem zażywam ożywczej kąpieli w basenie, zmywając z siebie trudy podróży. Potem jestem poprowadzona do komnaty, która od tego czasu ma być moją.

To całkiem przestronny pokój, choć bez przesadnych upiększeń. Wszak znajduje się tutaj wszystko, co może być potrzebne dobrze urodzonej kobiecie. Są więc ozdobne, wielobarwne tkaniny zarówno na ścianach, jak i podłodze. Ona sama częściowo zakryta jest grubszą matą z poduszkami z przeznaczeniem na spoczynek. Oczywiście nie braknie tu luster oraz szaf na garderobę. I to w tych ostatnich rozwieszam przywiezione przeze mnie stroje.

Na ceremonię ślubną wybieram długą czerwono-pomarańczową suknię poprzesywaną bogato brokatem ze złotymi oraz srebrnymi nićmi. Lecz wcześniej na nagie ciało nakładam liczne drogocenne ozdoby wyłącznie ze złota – to zwiastuny pomyślności i bogactwa nadchodzącego związku. Tak więc zarówno na me kostki, jak i nadgarstki wędrują połyskujące bransolety z drobnej plecionki. Z takiego samego materiału drobny pas okala mą wąską talię. Zakładam gustowny, migotliwy naszyjnik, którego ciężar wyraźnie czuję na piersiach. Przypinam też liczne, złote kolczyki, umieszczając je w pępku, nosie, brwiach oraz uszach. Na koniec wplatom sobie złotą tkaninę w zaczesane do tyłu związane w grube warkocze włosy.

Tak przygotowana przeglądam się z zadowoleniem w lustrze, ponieważ tak, wiem, iż wyglądam olśniewająco, po prostu przepięknie. I już wkrótce prezentuję się w mym nowym szyku w komnacie, którą pierwotnie



opuszczam. Teraz zastaje ją udekorowaną licznymi kwiatami. I już oczekują mnie tutaj trzy osoby, te same, które napotykam tu pierwotnie. Z tą jedynie różnicą, iż również one zdążyły się przebrać w wykwintne szaty na mającą się odbyć wzniosłą uroczystość.

W ten sposób oboje w barwach płomiennej czerwieni i złota klękamy koło siebie ja oraz Muran. Z kolei przed nami stają starsi, znani mi już mężczyzna i kobieta. Ta pierwsza czyni mi pomiędzy brwiami wyraźny punkt z czerwonej farby. Taki sam wizerunek wędruje na czoło Murana za sprawą mężczyzny. Następnie postacie naprzeciw łączą nasze dłonie we wspólnym uścisku. My zaś zwracamy ku sobie głowy. Spoglądamy głęboko w nasze ciemne oczy, a w tym czasie starsi mężczyzna i kobieta wygłaszają na przemian ślubną mowę.

Wspominają najdoskonalszą miłość Nail oraz Nelorum i życzą nam, abyśmy w drodze ku naszemu wspólnemu szczęściu otrzymali ich święte błogosławieństwo. Aż na sam koniec składają nam ręce na głowach, symbolicznie tego błogosławieństwa udzielając. Wtedy pochylamy się ku sobie, aż dotykamy czołami miejsc, gdzie mamy wymalowane czerwone punkty. W ten sposób symbolicznie przekazujemy nawzajem najszczerzą wiedzę o nas samych i od tej chwili nie mamy prawa mieć przed sobą żadnych tajemnic. Z kolei, by otworzyć ku nam nasze serca, ceremonię ślubną wieńczy wzajemny delikatny pocałunek w usta.

To takie niezwykle po raz pierwszy smakować czyichś warg. Choć usta Lakszi miałam już nieraz na swoich policzkach, dłoniach, a czasem i na ramionach. Ach ta nieokrzesa dziewczyna, choć może już raczej kobieta? Lecz teraz jest zupełnie inaczej i ciężko jest to wyrazić w słowach czy myślach. Naprawdę gotowa byłabym przysiąc, iż wraz z tym pocałunkiem coś się we mnie na dobre zmienia, coś zostaje otworzone i to na oścież. I dlatego już wkrótce niemal zupełnie bez strachu stawiam drobne kroki, idąc z Muranem do naszej obecnie wspólnej, sypialnej komnaty.

Na miejscu ozdabiam twarz lekkim uśmiechem, bowiem to akurat miejsce jest pełne przepychu, jak chyba żadne w tej warownej twierdzy. To bowiem komnata godna każdej, miłosnej pary. Sufit i ściany pokryte są po części dużymi lustrami poprzedzielanymi misternymi malunkami, pozami nagich kochanków w zjednoczeniu. Podłoga wyściełana jest grubą,

czerwoną matą, na której piętrzą się liczne poduszki w ognistych kolorach. I to na nich, nam, nowym kochankom, przyjdzie niebawem spocząć.

Naraz czuję na plecach delikatny dotyk mężczyzny. Przeszywa mnie dreszcz i na części ciała odczuwam gęsią skórę, ale nie wykonuję żadnego ruchu, tylko dalej stoję wyprostowana. Natomiast mój mąż powoli zdejmuje ze mnie suknię. A kiedy czyni to do końca i jestem już przed nim całkiem naga, on sam się rozbiera.

Wtedy odwracam się i oto spoglądamy na siebie nawzajem, będąc zupełnie bez ubrania. Muran jest tego samego wzrostu, co ja, ale jego męskie ciało jest o wiele bardziej masywne. Zarówno nogi, jak i ramiona wydają się dwa razy szersze od moich, podobnie okazała ma klatkę piersiową, gdzie osobiście prezentuję dwie, płaskie, ledwo odznaczające się piersi.

I w tym momencie po raz pierwszy nachodzi mnie wątpliwość, czy bez wykwintnych strojów, a posiadając tak niezmiernie szczupłą sylwetkę, mogę się naprawdę podobać mężczyźnie przede mną. Lecz on szybko rozwiewa me wątpliwości, gdy gładzi mnie czule po ramieniu i okrasza swą przystojną twarz miłym uśmiechem, sugerującym pełne zadowolenie. Zatem i ja się uśmiecham, po czym wskazane mi zostaje, abym spoczęła na macie.

Czynię to. Kładę się na plecach i zamykam oczy, gotowa na to, co się teraz wydarzy. I raptem ponownie odczuwam dreszcze od męskiego dotyku na nagim ciele. Najpierw czuję palce Murana wokół złotych ozdób na kostkach. Delikatnie przesuwa on opuszki palców do kolan i dalej do ud, gdzie zatrzymuje się dłużej, gładząc mą skórę.

Ciągle nie otwieram oczu i spoczywam w zupełnym bezruchu, nie wydaję też z siebie żadnego dźwięku. Pomimo wszystko mam złączone razem nogi i nie chcę ich sama rozchyłać. A zaraz czuję dotyk Murana na moim wżgórku łonowym. To powoduje, że z emocji rozchyłam szerzej usta i biorę głębszy oddech, zasysając do płuc więcej powietrza, przez co i moja pierś się unosi.

Potem dłonie mężczyzny spoczywają łagodnie na moich wystających kościach biodrowych. Tak, ze względu na moją chudość łono mam wręcz zapadnięte i powyżej niego, po bokach, wyraźnie odznaczają się też moje

żebra. I już za moment pomiędzy nimi przesuują się niespiesznie palce mojego męża. To miłe uczucie, którego doznaję również, gdy męskie dłonie spoczywają na mych piersiach. Dotyk sutków wyzwala we mnie doprawdy niezwykle doznanie, podobnie jak lekkie ściskanie płaskiego biustu.

W tym momencie bezwiednie rozchyłam nogi. Ale Muran koncentruje się na gładzeniu mej szyi, następnie policzków, a już za chwilę mam jego usta na moich. Całujemy się, jest tak niezwykle. Trawa to dłuższą chwilę aż w końcu sama obejmuję dłońmi twarz kochanka i gładzę na niej miękką skórę pozbawioną zarostu.

Dalej Muran całuje mnie po czole, brwiach, policzkach i brodzie, a także szyi oraz piersiach. Aż delikatnie sprawia, że kładę się na prawym boku. Układa się za mną, po czym pieści wargami mój kark oraz ramiona, a dłońmi wodzi po plecach oraz pośladkach.

Uśmiecham się, tak, uśmiecham i coraz bardziej oddaję opanowującemu mnie niezwykłemu, miłosnemu odczuciu. Jestem już doprawdy gotowa na to, co powinno być zwieńczeniem nocy poślubnej pary kochanków i przez to oddycham coraz szybciej i płycej.

Jednak jednocześnie się orientuję, że dla odmiany ruchy Murana są coraz wolniejsze i lżejsze. Wreszcie mężczyzna za moimi plecami przylega do mnie całym ciałem i mocno przyciska do siebie, oplatając mą klatkę piersiową swymi ramionami. Z czasem ten nacisk maleje, a ja doświadczam na karku coraz bardziej miarowego oddechu mężczyzny. Wkrótce zdaję sobie sprawę, że mój małżonek zasypia. Zatem niebawem, już ponownie uspokojona, czynię to razem z nim.

\*

Po wspólnie spędzonej nocy, kiedy to śnię, że wspinam się po niebotycznej zaśnieżonej górze współ ze śnieżną istotą, budzę się w sypialni sama. Wychodzę na korytarz i zapytuję, gdzie podział się mój mąż, ale nikt nie jest w stanie udzielić mi odpowiedzi. Zatem na śniadanie idę do mej komnaty sama.

Na miejscu zasiadam na zdobnej macie razem z Lakszi, którą wzywam do siebie. Lecz tym razem w dość zde gustowany sposób spoglądam na zaprezentowane mi specjały, które zwykłam spożywać rano. Służka zauważa mój kwaśny wyraz twarzy i zdziwiona zapytuje:

– Nie masz apetytu, moja słodczy? Zapewniam, że sama dobrałam wszystkie owoce, są świeże i dorodne, ręcę za to.

– Wierzę, ale... – Wyciągam długą rękę po zwierciadło i umieszczam je na wysokości mej klatki piersiowej. Następnie, jakby z pewną dyskrecją mówię ściszym głosem do Lakszi: – Przynieś mi czarnej herbaty, ale... z masłem. Z dużą ilością masła.

– Na pewno...? – Służka czyni wielce zdumiony wyraz twarzy. A zaraz oglądając mnie od stóp do głów, z pewną zarozumiałością w głosie oznajmia: – Więc ten twój Muran powiedział ci, że jesteś za chuda...

– Nie, wcale nie, ale... – Czynię bezradną minę.

– Tak...?

– Wczoraj w naszej wspólnej sypialnej komnacie...

– Hm...?

– Zatrzymaliśmy się... w pół drogi z naszą miłością, no wiesz...

– To znaczy... Ciągłe jesteś dziewicą, moja miłości? – Lakszi wybałusza oczy i składa skrzyżowane ręce na sercu.

– Cóż... – stwierdzam markotnie. – Wszystko wydawało się zmierzać we właściwym kierunku, ale ostatecznie mój mążonek nagle...

– Taaak...?

– On zasnął – wypalam.

– Ojej. – Lakszi ponawia uprzedni gest z dłońmi na swym, dla odmiany, doprawdy obfitym biuście, na który spoglądam z pewną zazdrością. – Może był zmęczony...? – dodaje wyraźnie zakłopotana służka.

– Nie wiem... – wyrażam troskę. – A może po prostu jestem dla niego...

– Za chuda... – kończy Lakszi i jednocześnie wstaje. – Zatem wyruszam niezwłocznie z misją po tłustą herbatę – rzuca na odchodne.

W oczekiwaniu na bardziej sycące śniadanie zostaję sama i przez chwilę myślę, że obecnie to chyba dość niemądre zajmować się tak swoim wyglądem i pożyciem z kochankiem, który jest mi teraz mężem. W końcu nie powinnam zapominać przede wszystkim o tym, dlaczego tu tak naprawdę jestem. I na wspomnienie tego z trudem przełykam ślinę.

Albowiem zawieram to małżeństwo przecież tylko z jednego powodu, aby pomścić śmierć rodziców i godnie w walce zginąć.

Na tę niezbyt budującą myśl pożywiam się od niechcienia dojrzałym mango. Zjadam zaledwie kawałek i zupełnie tracę apetyt. Dalej zaś nie zamierzam wmuszać w siebie jedzenia. Odsuwam od siebie tacę z owocami, gdy naraz słyszę zza drzwi delikatne dzwonięcie. Klaszczę dwukrotnie w dłonie, co oznacza tradycyjne zaprosiny i już zaraz sługa Murana zaprasza mnie do niego samego na spotkanie.

Całkiem zadowolona z takiego obrotu sprawy nie czekam na powrót Lakszi, bo wcale nie przejawiam apetytu na tłustą herbatę i daję się poprowadzić słudze. Wychodzimy na obszerny dziedziniec, stanowiący zarazem plac ćwiczebny dla wojowników. Tutaj czeka już na mnie biały wierzchowiec. Koło niego siedzi na karym koniu Muran i uśmiechając się, czyni ku mnie lekki ukłon. Odwzajemniam przyjazny grymas twarzy, jak i powitanie, po czym daję się podsadzić słudze na wierzchowca. Lecz wobec tego ruchu mój mąż obrazuje na twarzy pewne niezadowolenie.

– „Powinnaś sama dosiadać rumaka. To ważna umiejętność szczególnie na polu walki” – gestykuje i rusza przodem.

Wkrótce mijamy konno bramę oraz zasieki przed warownymi murami. Potem puszczamy się ożywym galopem skrajem dżungli, podążając nieustannie w cieniu rozłożystych drzew. Po dłuższym czasie Muran zwalnia znacząco i czyni gesty:

– „Całkiem dobrze jeździsz konno, cieszy mnie to”.

– Dziękuję, ty także, panie... – odpowiadam kurtuazyjnie w wyuczony sposób. Na co Muran gestykuje:

– „Jesteśmy sobie równi, mężem i żoną z nadania Nail oraz Nelorum, naszych jedynych Bogów. Zatem zbędne tytuły pozostawmy tym, którzy pragną ich używać. My chyba możemy się bez nich obejść we własnym gronie, nie uważasz”?

– Będzie, jak sobie życzysz, mój mężu... – Puszczam mężczyźnie oko i wypuszczam z ulgą powietrze z płuc, utwierdziwszy się, że mój wybranek nie jest nadętym bufonem. On kontynuuje:

– „Poznaliśmy się raptem wczoraj i już jesteśmy małżeństwem. Ale w obecnych okolicznościach nie mamy zbyt wiele czasu, aby świętować nasz związek. Już niebawem czeka nas krwawa wojna, śmierć oraz ofiary. Zdajesz sobie z tego sprawę i jesteś na to gotowa”? – Z pewną podejrzliwością patrzy na mnie z ukosa.

– Oczywiście – potwierdzam z powagą. – Co prawda nie zostałam wychowana na wojowniczkę, a raczej na przykładną żonę i wdzięczną towarzyszkę pałacowych komnat. Przyznaję to otwarcie. Ale przewrotny los zakpił sobie z mego wychowania. Tak więc oddaję swoją osobę, jak i me królestwo oraz żołnierzy pod twoje władanie, czyli kogoś w sztuce wojennej znaczeni lepiej obeznanego.

– „Jesteś tego pewna”?

– Z każdą chwilą coraz bardziej. – Uśmiecham się zalotnie.

– „Niech więc tak się stanie” – gestykuluje mój małżonek i naraz nawraca swego rumaka, kierując go wprost ku dżungli. Jadę w ślad za nim i po przedarciu się przez gęste chaszczce trafiamy na wąską, ubitą drogę. Jedziemy nią dłuższy czas skryci w cieniu wielkich drzew, aż docieramy do warownego obozu otoczonego zaostrzonymi palami. U bram Muran wita się ze strażnikami i ci wpuszczają nas do środka. Również i tutaj, podobnie jak w warownym zamku zauważam ćwiczebny plac i pojedynkujących się ludzi. Mój małżonek czyni gest, abym zeszła z rumaka. Czynię to, a Muran prowadzi mnie do stojaka z różnorodnym orężem.

– „Czas uczynić z ciebie wojowniczkę, Anreo. Moi najbliżsi doradcy, których już poznałaś, twierdzą, że jako Bogini żyłaś niezliczoną ilość razy i stoczyłaś równie wiele walk. Zatem, proszę, wybierz godną siebie broń”.

W odpowiedzi ze szczerym zainteresowaniem wodzę dłońmi po ostrzach mieczy i szabli. Oglądam z zaciekawieniem łuki oraz kusze. Prześlizguję się wzrokiem oraz opuszkami palców po kolcach buławy i gładkiej powierzchni tarczy. Aż ostatecznie moje dłonie lądują na rękojeściach dwóch krótkich mieczy. Demonstruję Muranowi mój wybór. On uśmiecha się na ten widok, ale nieoczekiwanie odbiera mi ostrza i odkłada z powrotem. W ich miejsce wręcza mi dwa bitewny sierpy i wyjaśnia:

– „Spodziewałem się tego. Sama bowiem wybierasz oręż zapewne z twego poprzedniego życia. Ale nie możesz się teraz kierować

wspomnieniami. Musisz całą sobą związać się z tą oto ziemią, gdzie przelejesz krew zarówno swych wrogów, jak i przyjaciół, gdy zajdzie potrzeba. Dlatego powinnaś szkolić się w walce bronią Nail oraz Nelorum, patronów naszego kontynentu”.

– Ale... oni nie walczyli... Sierpy służyły im do pomocy ludziom w zbieraniu plonów... – stwierdzam nieco zmieszana.

– „To prawda” – przyznaje Muran. – „Ale gdy okoliczności uległy zmianie Nail, ucieleśnienie miłości, w imię niej samej zabiła całe zastępy Bogów w tym swego ukochanego, Nelorum, czyż nie”?

– Tak, to prawda...

– „Właśnie, zatem narzędzia, które niegdyś służyły nam w pokoju, obecnie musimy przekształcić w oręż zniszczenia po to, aby w zwycięskiej przyszłości znowu użyć ich w pokojowy sposób”.

– Rozumiem i... zgadzam się z tym... – mówię, obracając w dłoniach rękojeści dwóch, krótkich, bitewnych sierpów. Natomiast Muran uśmiecha się do mnie łagodnie i dodaje:

– „Chodź, pokażę ci coś”.

Idę zgodnie za mężem i mijamy wysoki drewniany płot. Gdy nagle zdecydowanie cofam się o krok wyraźnie przestraszona.

– To słonie! – wydaję z siebie krzyk.

– „Tak, ale nie zwyczajne słonie, tylko bitewne” – Muran wskazuje na umieszczone na grzbietach zwierząt obszerne kosze, gdzie akurat jeden z żołnierzy wiązuje razem oszczepy.

– Nie... nie wolno ci... To święte zwierzęta Nail oraz Nelorum... Nie można ich używać do zabijania.

– „Owszem, można, my możemy” – gestykuluje zdecydowanie mój małżonek. – „Już ci powiedziałem, użyjemy dobra, aby zwalczyć nim zło, by dobro znów mogło zakwitnąć dookoła, wyłącznie ono”. – Sama nie wiem, co o tym myśleć. Ale jednocześnie podchodzę z respektem do monstrualnych zwierząt i jedno z nich głaszczę po trąbie. Zaś Muren ciągnie dalej: – „Słonie to nasza tajna, niezwykła broń, za której sprawą odwrócimy losy, wydawałoby się, przegranej wojny. Dzięki niezwyciężonej sile świętych zwierząt Nail oraz Nelorum wyrwiemy cały kontynent z rąk

przeklętych najeźdźców. Ludzi i Bogów, którzy nie dość, że każą nam żyć według własnych reguł, to wedle nich musimy także umierać” – Pokazuje na swe nieme usta, a ja odczytuję w jego postawie wyraźną nutę gniewu, który aż mnie samą napawa trwogą. Lecz bynajmniej nie jest to jeszcze koniec przekazu mego małżonka, który jak widać, potrafi mieć też srogą naturę: – „Będziemy walczyć i wygramy, a nasze słonie pokonają obcych przybyszy zarówno pieszych, jak i jeźdźców. Dlatego będziesz się szkolić nie tylko w walce bitewnymi sierpami, Anreo. Nauczysz się dodatkowo ciskać śmiercionośnymi oszczepami z grzbietów słoni oraz nimi samymi powozić, rozumiesz”?

– Tak... – mówię, choć bez entuzjazmu ciągle jeszcze onieśmielona obecnością zwierzęcych olbrzymów. Z kolei Muran łagodni surowy wyraz twarzy. Składa swoją rękę na mojej i w ten sposób razem głaskamy po trąbie jedno ze wspaniałych, dostojnych zwierząt.

– „To słonica, którą nazwiemy Nail i będzie ona należeć do ciebie. Traktują ją, jako prezent ślubny ode mnie” – gestykułuje Muran i wskazując na zwierzę z boku, dodaje: – „Ten słoń będzie nazywany Nelorum i to ja będę go dosiadał. I zawsze będziemy u swego boku, ty i ja, Muran oraz Anrea, jak Nail oraz Nelorum, czy wojna i pokój”.

– Dobrze, niech tak będzie... – stwierdzam już przekonana i przytulam się mocno do mego małżonka, aby na myśl o krwawych bitwach zaznać w jego ramionach tak potrzebnej mi w tej chwili otuchy.

\*

Czynię szybki wymach specjalnie przytępionymi sierpami i jednym z zakrzywionych ostrzy łapię w półobręcz ramię Murana. Ten spogląda zaskoczony na swoją rękę i kłania mi się z podziwem. Odchodzi krok do tyłu z włącznią w dłoniach i robi zachęcający gest, zapraszając mnie do dalszej, próbnej walki, a ja nie daję się prosić, tylko zawzięcie atakuję! I muszę przyznać, że przez ostatnie tygodnie lubię atakować o wiele bardziej niż przeprowadzać obronę.

Ćwiczymy tak dzień w dzień niezależnie od panującego upału, a takich dni mijają już dziesiątki. Każdy z nich naznaczony jest ciężkim treningiem, po którym nawet nie mogę patrzeć na soczyste owoce, mój dotychczasowy przysmak. Zamiast tego spożywam łakomie daktyle, sezam, miąższ



kokosowy i popijam kokosowym mlekiem, jak również herbatą z dużym dodatkiem masła.

Czy dzięki temu nabieram więcej ciała? O dziwo niespecjalnie. Jedyne od cięższego treningu tu i ówdzie zarysowują mi się nieco bardziej linie mięśni, które i tak są dość mocno wyrzeźbione od moich dotychczasowych, statycznych ćwiczeń, podczas których rozwijam głównie gibkość ciała. Ta z kolei przydaje mi się znacząco w zwinności ruchów, które wespół z moimi długimi i smukłymi kończynami czynią ze mnie coraz groźniejszą wojowniczkę.

Ostatnio doświadcza tego na sobie nawet sam Muran, bardzo bliski mi już mężczyzna i to pod każdym możliwym względem, którego nie waham się nazwać swym ukochanym. Ponieważ spędzamy ze sobą naprawdę prawie cały czas i dogadujemy się ze sobą po prostu doskonale, rozumiejąc niemal bez słów czy też czynienia gestów. W ciągu aktywności za dnia jest nam razem naprawdę dobrze.

Dlatego również nocami, będąc sam na sam w sypialnej komnacie, pragnę oddać całą siebie memu mężczyźnie. I coraz bardziej frustruje mnie fakt, że nasze zbliżenia nieustannie kończymy jedynie na pieszczotach oraz pocałunkach, a ja wciąż pozostaję dziewicą. W związku z tym z czasem przestaję być tak bierna na posłaniu i już nie tylko spoczywam na nim na wznak z zamkniętymi oczyma.

Podobnie sytuacja przedstawia się właśnie teraz. Zdecydowanym ruchem przesuwam męża, aby to on spoczął na plecach. Sama wodzę ustami po jego szyi, torsie, ramionach. Tak schodzę z pocałunkami aż do brzucha, lecz mimo wszystko ciągle nie mam dość odwagi, by posunąć się dalej i powracam na górę męskiej klatki piersiowej.

Aż Muran balansem ciała sam ustawia mnie w pozycji leżącej. Odwzorowuje on drogę moich pocałunków od szyi przez piersi, które jak były tak pozostają płaskie. Dalej mój kochanek schodzi do mego łona, ale w tym momencie bynajmniej nie kieruje się z powrotem, jak ja, tylko naraz doświadczam jego ciepłych i miękkich warg na wzgórku łonowym i wewnętrznych stronach uda. Potem zaś...

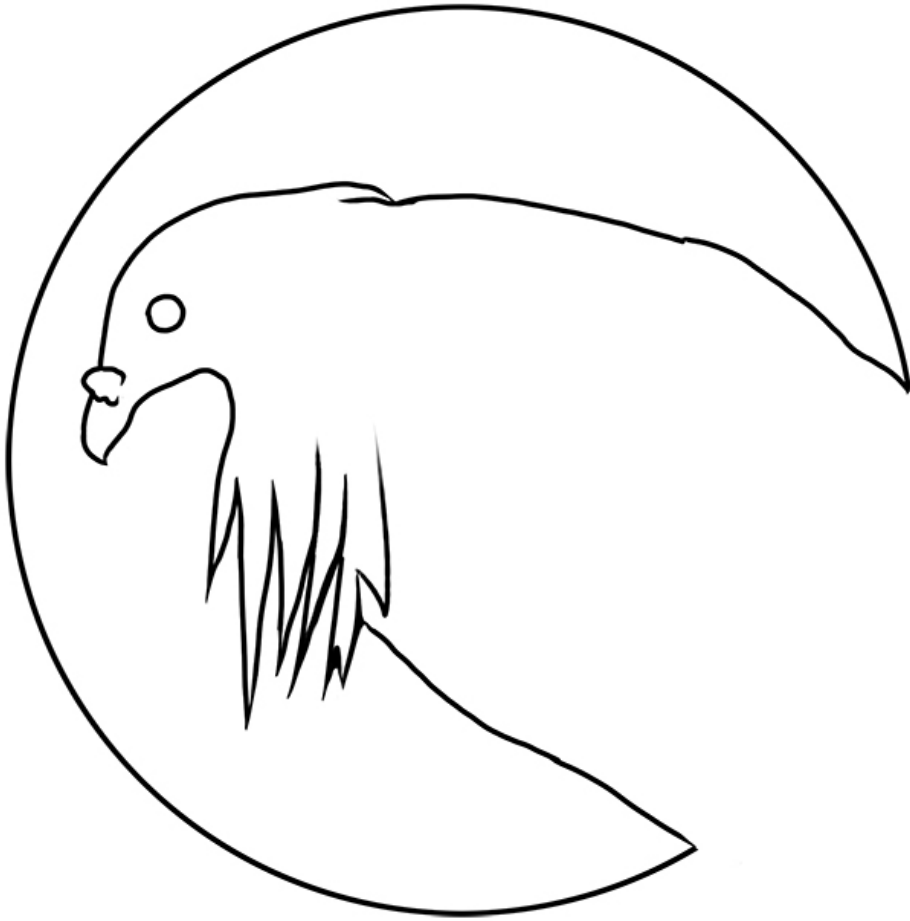
– Tak... – wydaję z siebie rozkoszne jęknięcie, kiedy mężczyzna dociera ze swymi pieszczotami do mego intymnego, kobiecego miejsca.

Zatrzymuje się tam dłużej, a ja doznaję takiego rodzaju przyjemności, o jakim do tej pory nie miałam pojęcia.

Wkrótce Muran wspina się na mnie i mocno przytula. Sama zaplatam wokół niego nogi i czekam na to, co między nami nieuniknione, co musi się wreszcie wydarzyć i czego naprawdę pragnę i to całą sobą. Lecz mój kochanek delikatnie zdejmuje z siebie me stopy, siada i je całuje. Potem ustawia mnie na boku i przyciska mocno do siebie.

Osobiście już wiem, co to oznacza z jego strony – koniec fizycznej miłości tej nocy. Choć sama jestem tak dziwnie rozpalona, że tym razem nie daję mężczyźnie tak po prostu spokojnie zasnąć. Ocieram się o niego i pojękuję, bo sprawia mi to przyjemność. Wtedy Muran odgradza się od moich poruszających się pośladków poduszką. Zrezygnowana daję za wygraną. I ciągle nie śmiąc zapytać, czemu nie łączy nas pełna, fizyczna miłość, staram się, jak mój małżonek, zasnąć.

Ale nie mogę, moje niewygaszone podniecenie tylko narasta i samo kieruje mą dłoń do mego krocza tam, gdzie pieścił mnie wcześniej kochanek. I dotykam się w tym miejscu tak długo, aż zagryzam z całych sił wargi, by nie wydać z siebie ekstatycznego krzyku. Tak oto sama ze sobą, z ręką pomiędzy własnymi udami, a drugą ściskającą mą pierś, dochodzę do pierwszej w życiu, pełnej, kobiecej rozkoszy.



## IV. OSTATNI Z WALCZĄCYCH

– Słyszałam, słyszałam! – krzyczy do mnie z wielkiego wrażenia Lakszi, która swoim zwyczajem wchodzi, a raczej wbiega do mej komnaty bez zaproszenia. Sama akurat otwieram jedną z szaf na stroje. Lecz co znamienne wyjmuję z niej mój zbrojny rynsztunek. Przywdziewam wysokie, skórzane buty i szaro-brązową, prostą suknię, w której nie będę się wyraźnie odznaczać w koszu na grzbiecie mej słońicy Nail. Z kolei ma wierna służka w uniesieniu z siebie wyrzuca: – Wielkie dominium Akros przekracza graniczną rzekę i w sile dziesięciu tysięcy szarych płaszczy zmierza wprost do serca twego królestwa, moja słodczy!

– Dzieje się to, co nieuniknione – odpowiadam ze spokojem, bowiem już od dawna oczekuję wieści o inwazji. Jednocześnie, już ubrana, spoglądam w lustro i zaplatam sobie gruby warkocz z mych włosów. W tym czasie Lakszi sama wyjmuje ze skrzyni moją ulubioną parę niezwykle ostrych sierpów i wciska mi je za gruby, szary pas okalający mą talię, po czym z przestrawem mówi:

– Tylko nie daj się zranić, nie daj się nawet zadrapać!

– Nie dam – stwierdzam z pewnością siebie, której w ten sądny dzień mam nad wyraz wiele, sama się tym zaskakując i dodając: – Ty natomiast nie daj się zdemaskować.

– Więc mam już wyruszyć na przespiegi, właśnie teraz...? – mówi markotnie służka i załamuje ręce.

– Tak – potwierdzam jednoznacznie. – I pamiętaj, co razem ustaliłyśmy.

– Oczywiście. – Lakszi wywraca oczy do góry. – Oto jam jest od tej pory podłą zdrajczynią narodu ciemnoskórych ludzi i szukam wsparcia w wielkim, zacnym i mądrym dominium, przynosząc tam ważne wieści o armii Królestwa Czarnego Piasku.

– Dokładnie. A że jesteś urodzoną aktorką, to wiem, że się spiszesz. Ale mimo wszystko... uważaj na siebie... – mówiąc to, odwracam się przodem do mej ulubionej służki, właściwie przyjaciółki i czule całuję ją w czoło. Ona niespodziewanie staje na palcach i wychylając głowę do góry, odwzajemnia pocałunek w me usta.

– Przepraszam – oznajmia lekko zmieszana. – Tak jakoś... – dodaje i już chce wyjść z komnaty, kiedy to mocno przytulam ją do siebie i szepczę do ucha:

– Nie przepraszaj. Wiedz, że bardzo cię kocham i nic tego nie zmieni. Obecnie zaś jedziesz na niebezpieczną misję do wroga i bardziej niż o swój los będę drzeć o ciebie. Zatem nie zawieź mnie i przede wszystkim wróć cała oraz zdrowa. To jest najważniejsze, rozumiesz? – Lakszi czyni krok do tyłu, kiwa głową na zgodę, a na jej całkiem ładnej twarzy rysuje się przewrotny uśmiech. Wówczas uszczypliwie dorzucam: – No uciekaj już, ty leśna małpko, bo wezmę cię na postronek i jednak zachowam przy sobie, nawet podczas morderczej bitwy, jako maskotkę na szczęście!

Na te słowa uśmiech służki wyraźnie się poszerza.

– Zatem podwijam kiecę i lecę! – krzyczy radośnie i w pośpiechu wybiega z komnaty. Wkrótce idę w ślad za nią i trafiam na wewnętrzny plac twierdzy, która przez ostatnie miesiące była mym domem. Tutaj czeka już na mnie Muran wraz z gwardzistami. Spoglądamy sobie z mężem porozumiewawczo w oczy i opuszczamy uzbrojeni warownię. Kierujemy się naprzeciw wojsk inwazyjnych, którym zamierzamy dać nadspodziewanie silny odpór. A mówiąc wprost, z błogosławieństwem Nail oraz Nelorum i przede wszystkim bojowymi słoniami w naszych szeregach, pragniemy bezwzględnie zwyciężyć i zniszczyć armię niepokonanego do tej pory wroga! Tak głoszą Ostatni z Walczących; Anrea oraz Muran, władcy już nie wyspy czy półwyspu, ale odtąd zjednoczonego Królestwa Czarnego Piasku!

\*

Na skraju gęstej dżungli stoi ukryte stado blisko stu słoni. Każdy z koszem, a w nim dwoma ludźmi. Tuż przed olbrzymimi zwierzętami ustawione są zasłony z grubych desek mające chronić przed ostrzałem z

rusznic. Zaś w uszach gigantów umiejscowione są zatyczki z wosku, aby nie spłoszył ich huk wystrzałów.

Z kolei przed dżunglą, na otwartej przestrzeni, Muran ustawia w kilku długich szeregach pięć tysięcy naszych najsłabszych żołnierzy z blisko czterdziestotysięcznej armii. To osoby w bordowych, długich szatach, zaopatrzone w łuki, a także włócznie i tarcze. Jednak większość naszych jednostek jest zapobiegawczo skryta w odwodzie tuż za potężnym słoniami i w cieniu drzew.

Tymczasem z grzbietu słonicy Nail towarzyszący mi w koszu kapitan Sakkan wskazuje na ciemną linię wyłaniającą się na słonecznym, zielonym horyzoncie, którym jest pole dopiero co wzrastających zbóż. Z czasem ciemny zarys się przybliży i nabiera wyraźniejszych kształtów, aż da się wychwycić niemal sylwetki poszczególnych żołnierzy w szarych mundurach zaopatrzonych w broń palną. Kroczą oni miarowym krokiem w dziesięciu szeregach po tysiąc piechurów.

Aż w pewnym momencie na krzykliwą komendę przystają. Dziewięć pierwszych szeregów przykłęka, zaś dziesiąty wymierza przed siebie śmiertcionośne lufy rusznic. Kiedy padnie pierwsza salwa, jej sprawcy przystąpią do ponownego nabijania swej borni, a w tym czasie powstanie dziewiąty szereg, aby oddać wystrzały. Potem to samo uczynią pozostałe linie wroga aż do pierwszej. I z tą chwilą znów odda salwę dziesiąty szereg.

To znana morderczo skuteczna taktyka dominium, której piechota na polu walki zapewnia sobie nieprzerwany ostrzał aż do całkowitego rozbicia przeciwnika. Nie ważne konno czy pieszo nie jest on zwykle w stanie dotrzeć do strzelców.

Z powodu swej niezwyklej innowacyjności oraz skuteczności w bitwach wojskowe zastępy dominium budzą powszechny strach już samym pojawieniem się na polu walki. Toteż nasze najsłabsze jednostki na widok znanej powszechnie formacji czynią zachowawczy krok do tyłu. Kiedy natomiast pada zaledwie trzecia salwa, rzucają się w panice do odwrotu.

Doprawdy jest to wielce żałosny widok patrzeć, jak nasi żołnierze porzucają oręż i w panice opuszczają swoje pozycje. Zaś wielu z nich pada martwych z kulami w plecach. Podczas gdy zastępy wroga w obłokach

szarego dymu z wystrzałów kroczą nieprzerwanie naprzód i co pewien czas zatrzymują się na rozkaz, aby oddać jeszcze jedną salwę.

Wkrótce pomiędzy słoniami w dżungli przebiegają niedobitkowie wysuniętego do walki z wrogiem naszego oddziału. Z tą chwilą drewniane zasłony sprzed zwierząt zostają zdjęte i w napięciu przygotowujemy się do drugiego, decydującego etapu bitwy, który ma kompletnie odwrócić jej przebieg.

Wrogowie zbliżają się do skaju liściastych drzew w karnym szyku i są już tuż przed nami. Wtedy nerwowo spoglądam w prawą stronę, gdzie w koszu na słoniu Nelorum zasiada Muran. Mój mąż obdarza mnie uspokajającym spojrzeniem, po czym nabiera do płuc powietrza i z całych sił dmie w bawoli róg, wydając niski, przytłaczający dźwięk.

Jest to sygnał do frontalnego ataku. Dlatego chwytam sznur przytwierdzony do kosza, który ma mi zapewnić stabilność i utrzymanie się w pionie. Natomiast w drugiej ręce ściskam oszczep. Tak, mam walczyć i zabijać, a kapitan Sakkan będzie kierował Nail za pomocą wydawanych jej kijem komend.

I nagle moja słonica, a wraz z nią i inne, pokrewne jej monstrualne zwierzęta, ruszają do morderczej szarży. Przy wtórze donośnego trąbienia wybiegają z dżungli. Pod nimi aż drży ziemia, a z naszych dłoni, ludzi w koszach, posyłana zostaje pierwsza fala stu oszczepów na kompletnie zdezorientowanego wroga. Jego szarych szeregów najpierw dosięgają groty drzewców, po czym wpadają w nie na pełnym biegu słonie bojowe, traktując bezlitośnie obcych przybyszy.

Masakra miażdżonych ludzkich ciał jest doprawdy straszliwa, a dodatkowo z góry co raz rzucamy oszczepami w chwilę rozbitego wroga. Ponadto z dżungli wybiegają nasze świeże jednostki piechoty z zadaniem dobijania przeciwników, którzy pozostają za tyłami słoni. Natomiast na flankach galopuje nasza konnica i osacza wojsko dominium, aby nikt nie wymknął się ze śmiertelnej pułapki.

Osobiście w ogóle nie poznaję dawnej siebie. Jestem teraz niczym dzikie zwierzę, które raptem zwietrzyło krew i obnażając wściekle zęby, uczyni wszystko, aby ostatecznie dopaść i zgładzić swą ofiarę. Przeto z prawdziwą furią rzucam celnie pierwszym tuzinem oszczepów. Zabijam i nie czuję

niczego poza zimną satysfakcją z pokonywania wrogów. Przeszywam grotami męskie oczy, to pozostawiam drzewce wbite w torsy, plecy czy gardła. Zaprawdę każdy mój gwałtowny wymach ramieniem oznacza dla kogoś innego śmierć. Wszak pod okiem Murana w sztuce zabijania ćwiczyłam się nad wyraz pilnie.

Gdy nagle biorę kolejny zamach, a ostrzelana z rusznic Nail gwałtownie rzuca swym masywnym łbem. W wyniku tego ruchu przytrzymujący mnie w koszu rzemień wyslizguje mi się z rąk i kompletnie tracę równowagę. Wypadam z pojemnika na grzbiecie zwierzęcia i jak kamień szybuję w dół, aż spadam na plecy w tłum wrogów.

Zaraz jestem już na ziemi. Podrywam się błyskawicznie na nogi i wyjmuję z pasa dwa niesamowicie ostre sierpy. I nawet nie wiem kiedy, a już wykonuję nimi zamaszyste ruchy, rozcinając wokół siebie obce szyje, kalecząc brutalnie twarze, ramiona i dłonie, to rozpruwając brzuchy, z których wylewają się krwawe wnętrzności. Obnażam wściekle zęby i krzyczę zajadle w walce, która porywa mnie bez reszty i wydaje się moją drugą naturą, której dotąd nie znałam!

A już zaraz tnę tylko plecy i karki w popłochu uciekającego wroga, który raptem jedynie przez moment próbował przeciwstawić się naszej nieokiełzanej furii upokarzanego ludu. Gnam zatem za plecami rozbitych jednostek dominium, a po drodze mam innych ciemnoskórych piechurów po bokach. Podczas gdy słonie rozbiegają się wszędzie wokół.

Niebawem w moim zasięgu znajduje się koń bez jeźdźca. Zatem podnoszę z ziemi zakrwawioną, porzuconą przez kogoś włócznię i dosiadam wierzchowca. Teraz to na nim galopuję do przodu i co raz umiejscawiam ostry grot w plecach któregoś z uciekających wrogów.

Nasze szeregi, jak i przeciwników, rozciągają się coraz bardziej i znaczy je już jedynie chaos. Całe pole wzrastających zbóż upstrzone jest trupami głównie w szarych płaszczach z czerwonymi plamami. Zaś ostatni mężczyźni z dominium ratują się ucieczką wpław przez średniej wielkości rzekę, gdzie nie omieszkają przetrzebić ich dodatkowo śmiertelnie groźne krokodyle.

Ja sama zapuszczam się aż nad wspomniany brzeg rzeki i tutaj napotykam klęczącego mężczyznę w szarym płaszczu. Jest ranny w nogę i



widzę, że ściska coś w dłoniach oraz szepcze w pośpiechu, zupełnie jakby się modlił.

Zeskakuję z rumaka i podchodzę do niego. Gdy mnie zauważy, łyzy bynajmniej nie przestają mu lecieć z oczu i nie rzuca się ze mną do walki. Za to pokazuje mi ściskaną przez siebie zmiętą kartkę papieru i żałośnie skamle:

– To list z krainy Viglum, list od żony... Urodziła się nam córeczka... A ja nigdy jej nie zobaczę, bo skonam na tej przeklętej ziemi pokrytej czarnym piaskiem... I moja żona, moja żona... – Łka coraz mocniej, wyciągając do mnie błagalnie ręce: – Co ona pocnie beze mnie i co z losem naszego dziecka...?

Nic nie odpowiadam, tylko wspominam poćwiartowanych mojego ojca i matkę. Jednak o dziwo nie znajduję w sobie pragnienia pomsty czy gniewu. Zamiast tego natrafiam w umyśle na czysty pragmatyzm i to on każe mi wyjąć zza pasa sierp i zamaszystym ruchem podciąć żołnierzowi gardło.

Przez moment słyszę w swym wnętrzu podszept o miłosierdzie, wybaczenie tym, którzy być może nie z własnej winy zostali wciągnięci w tę wojnę. Ale to za mało, abym świadomie ryzykowała sytuację, gdzie daruję życie, a obcy przybysze wrócą do swych siedzib, by potem powrócić tu i znowu strzelać do moich ludzi. Dociera do mnie, że my albo oni, dokładnie tak wygląda sytuacja. Dlatego tak naprawdę nie mam żadnego wyboru. Muszę bezwzględnie zabijać naszych przeklętych wrogów, którzy przybyli tu, aby niewolić zarówno nasze ciała, jak i dusze.

Następnie przyglądam się swej unurzanej we krwi sylwetce, swoim zakrwawionym dłoniom i chyba już wiem, co miał na myśli Muran, mówiąc, że jest czas wojny i czas pokoju. I nasze serca, których zwykle powinniśmy używać do dawania miłości, czasem trzeba utwardzić i uczynić je nieczułymi. Zaś ręce, które zwykły innym pomagać, teraz muszą odbierać życie. Tak właśnie trzeba uczynić, aby w wywalczonej, tej lepszej przyszłości móc znowu otworzyć swe serca i dłonie w geście dobroci. Lecz to nie jest ten czas, nie czas dobroci. Obecnie to czas krwawego boju.

\*

Skutecznie poluję nad rzeką na żołnierzy w szarych płaszczach, którzy ocaleli z pogromu i nie zostali dobici przez moich ludzi lub nie znaleźli

śmierci w płynącej wodzie z powodu krokodyli. W końcu wraz ze zmięszem odpuszczam i już wkrótce docieram konno do porzuconego przez wroga obozu. Tutaj granatowe i w kształcie kopuły namioty oficerów ustawione są w otoczeniu szarych, małych i trójkątnych namiotów szeregowych żołnierzy.

Zasięgając języka wśród zadomowionych tu już ciemnoskórych wojowników, dowiaduję się gdzie znaleźć Murana. Przeżył on walkę, oczywiście, musiał, nawet przez chwilę w to nie wątpiłam. I tak oto zastaję go samotnie w granatowym namiocie głównodowodzącego rozbitą armią dominium.

Stoi on przy stole i wydaje się intensywnie studiować rozłożone na blacie mapy. Jednak gdy tylko mnie zauważy, na twarzy rysuje mu się pełen ulgi wyraz, po czym podchodzi do mnie. I już otwiera ramiona, aby wziąć mnie w objęcia, ale raptem uginają się pod nim kolana. Klęka i obejmując mnie w pasie, przytula się mocno do mego łona.

Ja sama jestem cała w cudzej krwi i porwanym ubraniu. Dlatego czując się już całkiem bezpiecznie w obecności ukochanego mężczyzny, zdejmuję odzienie. Zaś czynię to także z tego powodu, iż pragnę się kochać. I po tym wielkim dniu nawet nie wyobrażam sobie, abyśmy mieli się w naszej miłości zatrzymać w pół drogi. Tym razem Muran musi mnie wziąć całą, do końca.

Przeto również obniżam swoje kolana, aż łapię kontakt z gruntem. Z pozycji na klęczkach mocno, długo i namiętnie całuję się z Muranem. Potem jego usta dosięgają mej szyi i ramion. Odwdzięczam mu się tym samym i zdejmuję z niego koszulę, to kąsam pocałunkami w tors. Aż gwałtownie popycham go na plecy i szybko ściągam z mężczyzny resztę ubrania.

Jesteśmy już oboje nadzy i kładę się na moim mężu, wijąc się na nim i pieścąc go dłońmi, to ustami. Następnie siadam na nim okrakiem i tak inicjujemy pełne, cielesne zbliżenie. Wreszcie naprawdę w całości się kochamy, a ja pragnę tej miłości więcej i mocniej, dlatego sama narzucam szybki rytm, poruszając obszernie biodrami.

W pewnym momencie Muran napiera na mnie mocniej, a ja się poddaję. W ten sposób przyjmujemy pozycję lotosu i w niej kontynuujemy naszą

miłość. Jest tak cudownie, coraz bardziej. Mój kochanek podtrzymuje dłońmi moje pośladki i unosi je, to upuszcza. Aż wtula swą głowę w moje piersi i drżąc, zastyga w bezruchu. Trwa to dłuższy czas, po czym zsuwa mnie z siebie. Widać, że jest oszołomiony i odpoczywa, jak po wielkim wysiłku.

Osobiście nie jestem pewna czy zaznaje on ze mną pełni rozkoszy. Zatem zgodnie z intymnymi wskazówkami Lakszi, kieruję dłoń na swoje krocze. Ale nie odnajduję tam męskiego nasienia. Dlatego nieco zafrasowana spoglądam pytająco na Murana. Ten zbiera się w sobie dłuższą chwilę i gestykułuje:

– „Kiedy podczas miłości w pozycji lotosu mężczyzna odpowiednio naciska piętą na swoje krocze, przeżywa rozkosz bez utraty nasienia. To właśnie miało miejsce. Było cudownie i dziękuję ci za to”. – Kłania mi się lekko. Jednak jego gesty bynajmniej mnie nie uspokajają, a wręcz przeciwnie. W związku z tym z pewnym wyrzutem zapytuję:

– Nie chcesz mieć ze mną dziecka? To dlatego tak długo wzbraniałeś się z pełną miłością między nami?

– „To nie tak”. – Muran jest naprawdę zakłopotany, jeszcze nie widziałam go w takiej sytuacji. I zaraz stara się on usilnie wyjaśnić: – „Kocham cię całym sercem, naprawdę. A moja miłość do ciebie rozkwitła gwałtownie i okazała niczym wielobarwny kwiat. I wierz mi, że pragnę ofiarować ci, co tylko mogę, daje mi to największą radość. Ale wspólnie żyjemy w okrutnym świecie, szczególnie teraz. Przez to nie chcę obecnie sprowadzać nowego życia na świat, naszego dziecka. Nie chcę, aby cierpiało, a ty razem z nim, jeżeli jednak”...

– Przegramy tę wojnę... – kończę chłodno.

– „Tak” – przyznaje z krzywym uśmiechem na twarzy mój małżonek. Ja z kolei naraz odwzajemniam wręcz szydrczy uśmiech i w pewnym uniesieniu, drwiąco oznajmiam:

– Pewien mój kuzyn prawił rzeczy w podobnym tonie... I wiesz, co potem zrobił? On zabił w zamachu mego niedoszłego męża z dominium. Uczynił to na naszym ślubie i młody komendant skonał w moich ramionach. Czy zatem coś was łączyło, ciebie i zamachowca...? Czy wiedziałeś o tym zamachu...?

– „Sam go przygotowałem”.

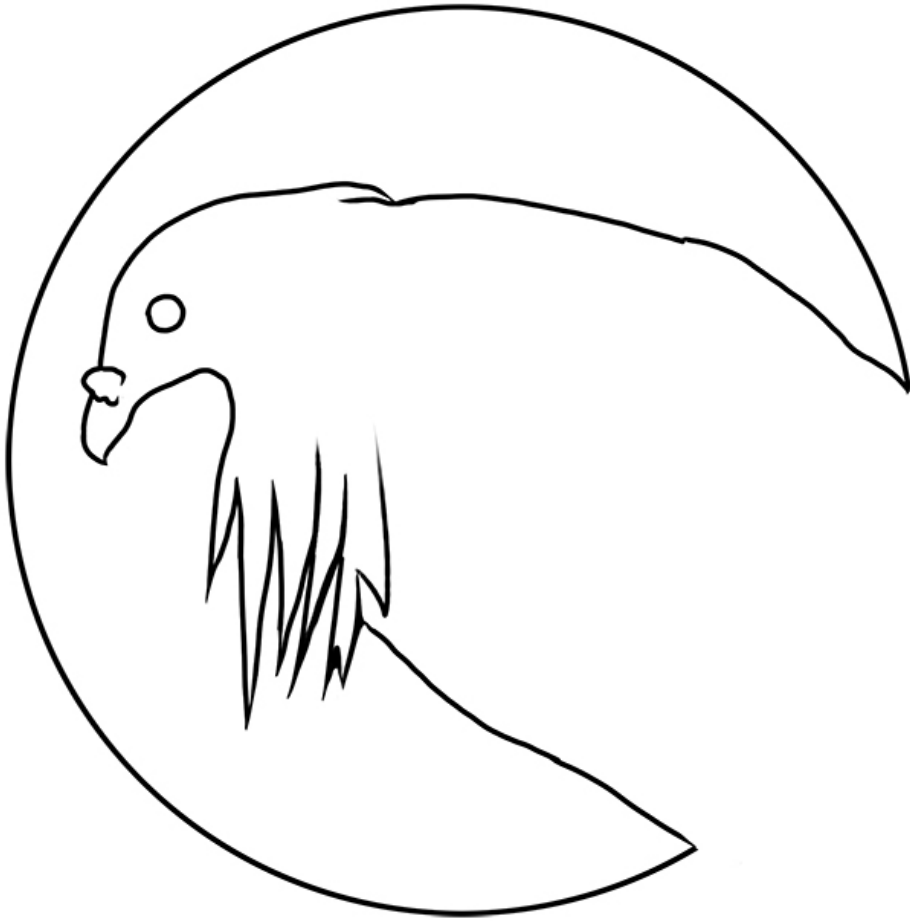
Po tych gestach Murana gwałtownie uderzam go otwartą dłonią w twarz i krzyczę z wyrzutem:

– Wiesz, czym się skończył ten spisek? Czy wiesz?!

– „Czymś strasznym i pięknym zarazem. Tragiczną śmiercią twoich rodziców, co jest niewybacalne i tak, mam ich krew na mych rękach. Jednakże zamach przyczynił się również do powstania nadziei na przyszłość dla naszego ludu i naszym spotkaniem, zaowocował miłością”.

– Ty... – Już zamierzam wymierzyć Muranowi kolejny policzek, ale cofam dłoń. Właśnie wyznaje mi on miłość, ale też to, że sam ją między nami sprowokował, siejąc wcześniej zniszczenie oraz śmierć i to również w łonie mej rodziny.

Tyle się nagle wydarza, aż nazbyt wiele i nie są to rzeczy proste do jednoznacznego zaakceptowania. Przez to wychodzę z namiotu, aby w samotności odetchnąć po dniu przesyconym intensywnymi wrażeniami, z których część sprawia mi prawdziwą radość, niektóre przyczyniają się do zwątpienia, a jeszcze inne przynoszą szczery ból.



## V. SZPIEG

Ciemnoskóra kobieta w długiej, żółtej sukni z odsłoniętym łonem i srebrnym pasem wokół talii siedzi na krześle w białym, murowanym budynku. Znajduje się ona w pokoju będącym w surowym stylu, gdzie wszystkie ściany naznaczone są prawie wyłącznie osaczającą zewsząd bielą. Kobieta naprzeciw siebie ma biurko zasłane dokumentami, za nim ubranego w granatowy mundur oficera z piórem w dłoni i głową zwieszoną nad częściowo zapisaną kartką papieru. Ponadto za plecami postaci w uniformie, na ścianie powyżej, wisi wielki obraz przedstawiający starszego mężczyznę w czerwonym mundurze ze złotymi naramiennikami i niezliczoną ilością medali na materiale ubioru. Do tego jegomość z portretu ma podwinięte do góry płowe wąsy i kwadratową czapkę na głowie, spod której nie widać włosów.

Czarnowłosa kobieta przygląda się z nieskrywanym zainteresowaniem osobie na ściennym wizerunku, rozwierając z wrażenie pełne, ciemne usta. Aż w pewnym momencie znieczepiony jej zachowaniem oficer za biurkiem, który do złudzenia przypomina skromniejszą wersję postaci z obrazu, przywołuje bezczelnego gościa do porządku:

– Proszę patrzeć na mnie, wyłącznie na mnie, ty ciemnoskóra diablico! Zapewniam, że nie ma w tym pomieszczeniu nikogo ważniejszego ode mnie... – cedzi przez zęby z pewną irytacją w głosie. A gdy dopomina się wreszcie o pełnię uwagi, spogląda na zapisane na papierze słowa i zgrzytliwie oznajmia: – Więc podsumujmy, co do tej pory zdołaliśmy ustalić, panno Laszki...

– Pani Lakszi – poprawia młoda kobieta. Na co oficer obrzuca ją wzgardliwym spojrzeniem i zawzięcie kreśli znaki na kartce papieru. Następnie ociera obfity pot z czoła wywołany parnym gorącem i smętnie kontynuuje:

– Zatem jest pani zbiegiem z obecnego... Królestwa Czarnego Piasku i w zamian za opiekę oraz kosztowności pragnie pani donieść... że wysłana do tłumienia rebelii armia komendanta Horna spotka się na miejscu, nie inaczej, tylko z oporem w postaci... – Mierzy kobietę podejrzliwym wzrokiem i drwiąco kończy: – Słoni... spotka się z wrogą armią słoni... – powtarza lekceważąco, przymrużając jedno oko, co obfituje bogatą kolekcją zmarszczek na połowie twarzy. A zaraz cynicznie zapytuje: – A gdyby tak za te rewelacje... to jest wielce niedorzeczne informacje, za zapłatę czekał na ciebie tuzin batów, kobiecino, oraz zsyłka do kopalni żelaza, hę...? Co ty na to, ciemna diablico...? – W odpowiedzi Lakszi tylko wzrusza rezolutnie ramionami, zupełnie jakby wspomniane kary była to dla niej zwykła powszedniość. – Z kolei oficer kręci z niezadowoleniem głową, rozczarowany, że najwyraźniej nie zdołał przestraszyć swej rozmówczynie. Gdy naraz rozlega się pukanie we framugę otwartych drzwi. – Zapraszam! – krzyczy oficer za biurkiem, który ponownie spogląda na zapisaną kartkę i nawet nie raczy spojrzeć, z kim ma teraz przyjemność. Zaś ten ktoś w postaci młodego chłopaka, gońca, patrząc podejrzliwie na Lakszi, szepce mu coś do ucha. I w miarę jak cicho wypowiedane słowa płyną do oficera, ten robi coraz bardziej zdumioną minę i sam z pewnym zainteresowaniem spogląda na kobietę naprzeciw. Aż otrzymawszy całość informacji, kiwa z wielką powagą głową i z wyraźną pretensją przemawia do ciemnoskórej kobiety: – Gdybyś była tak łaskawa, diablico, i przedstawiła mi swe rewelacje o tych... słoniach... wcześniej, być może uniknęlibyśmy największej kompromitacji w dziejach dominium Akros. Ponad dziewięć tysięcy ofiar stratowanych lub zadźganych dzidami na polu jęczmienia jednego dnia przez bandę dzikusów, co za koszmar... – Otwarta dłoń oficera z płaskim ląduje na jego przepoconej, nalanej twarzy. Następnie ściąga sobie powoli lepką rękę z lica i tym samym ponownie ukazuje mu się oblicze kobiety na krześle. Lecz tym razem jej wizerunek znaczy szelmowski uśmieszek: – Jak śmiesz! – Wygraża jej pięścią starszy mężczyzna. – W odpowiedzi frywolny grymas w jednej chwili gaśnie z kobiecej twarzy i zastępuje go permanentna obojętność. – Ta... – mruczy na to niczym stary kocur oficer. Wydaje się przez pewien czas zbierać myśli i jednocześnie wyjmuje z szuflady biurka cały plik białych kartek. Macza pióro w kałamarzu i patrząc ponuro w blat stołu, rzuca do swej rozmówczynie: – Zatrzymana zostaniesz w pokoju przesłuchań. Ale nie lękaj

się, nie będziesz u nas więźniem, wręcz przeciwnie. W obecnych okolicznościach wiąże z tobą dalekosiężne plany. Mianowicie przydzielę ci oficera prowadzącego. I... Czy nie chciałabyś zostać naszym sowicie opłacanym szpiegiem, panno Laszki? – Naraz starszy mężczyzna obdarza kobietę wymuszonym, przesadnie szerokim uśmiechem. Na co wspomniana z przekręconego imienia postać również sztucznie się uśmiecha, szczerząc dwa rzędy nieco krzywych, śnieżnobiałych zębów i szybko kiwa głową na zgodę. – Doskonale... – kwituje ponownie grobowym tonem oficer, po czym już na dobre zagłębia się w dokumentach i widać, iż darzy je wielką estymą, zdecydowanie większą niż ludzi. Wkrótce zaś, pisząc zawzięcie, sam do siebie pod nosem mamrocze: – Do wszystkich obywateli sławetnego Akros na ziemiach kontynentu Nelorum... Spieszmy niezwłocznie zdementować żalosne pogłoski o rzekomym zwycięstwie władztwa czarnego piasku nad niezwyciężoną armią dominium. Nic takiego nie miało się prawa wydarzyć i zapewniamy naszych obywateli, aby byli spokojni, bowiem zaiste się nie wydarzyło... Tak więc trwajmy zgodnie w naszym pracowitym, uczciwym żywocie w pokoju i ku chwale najwspanialszego dominatora naszych czasów, wielkiego Aborradosa. Podpisano... gubernator piątego dystryktu... Komendant Kreks.

\*

Mamy nieskrywaną nadzieję, że nasze wspaniałe zwycięstwo lotem błyskawicy rozniesie się po całym kontynencie Nelorum. W konsekwencji szeregi naszej armii szybko zasilą nieprzeliczone zastępy białych ludzi, dawnych przybyszy z okupowanych krain kontynentu Nelorum zarówno z południa, jak i północy oraz zachodu.

W oczekiwaniu na posiłki pozostajemy na pograniczu w zdobyczym obozie, ponieważ przejmujemy tutaj liczne zapasy. Mamy tu więc i schronienie w postaci ponad tysiąca namiotów, jak i żywność, a do tego w pobliżu rzekę, źródło wody. Dodatkowo pragniemy pochować naszych poległych. Natomiast trupami obcych przybyszy karmimy do przesytu krokodyle oraz inne, drapieżne zwierzęta z dżungli.

Taką decyzję podejmuje nasz głównodowodzący, Muran. Prawdziwy innowator w sztuce wojennej tej części świata i godny przeciwnik samego dominium Akros. Zresztą to nie tylko wspaniały przywódca i wojownik.



Dla mnie osobiście także mój drogi małżonek, do którego nie jestem w stanie żywić długo urazy i szybko przebaczam mu jego winy.

Tak oto od naszego wspianego zwycięstwa oraz pierwszego razu w granatowym namiocie dni spędzam z Muranem na treningu walki i doglądaniu naszych oddziałów. Natomiast nocami kochamy się na różne sposoby. I choć z naszej obecnej miłości nie zrodzi się dziecko, to oboje należycie dbamy o to, by nawzajem obdarowywać się zarówno czułością, jak i pełną, cielesną rozkoszą.

\*

Ciemnoskóra kobieta i biały mężczyzna jadą konno tuż koło siebie. Odpowiednio na karym i białym rumaku. Piaszczysta droga na odludziu, gdzie po dwóch stronach usytuowane są pola uprawne, wiedzie na wschód do Królestwa Czarnego Pisaku. Dzień, jak to w tej części świata bywa, tradycyjnie jest gorący i parny. W pewnym momencie, wachlując się podarkiem od mężczyzny, kobieta wznawia przerwana niedawno rozmowę:

– Wachlarz to doprawdy zręczne narzędzie i niesie prawdziwą ulgę w taki skwar. Zatem czemu pan, panie Otto, nie ulży sobie w podobny sposób w taką spiekotę?

– Panno Lakszi... Jestem mężczyzną i nie wypada mi używać wachlarza. To przedmiot zastrzeżony wyłącznie dla dam.

– Więc w twych oczach, panie, jestem damą...? – pyta frywolnie ciemnoskóra kobieta. Na co mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna uśmiecha się uprzejmie i w tym samym tonie oznajmia:

– Płeć piękną niezmiennie darzę takim samym szacunkiem. Zatem tak... zwykle otaczają mnie damy...

– Mimo wszystko przyjmuję to za komplement – podchwytuje z dumą Lakszi i z zadowoleniem stwierdza: – Tak więc w pańskich oczach kobieta szpieg to również dama.

– Jak najbardziej... – mówi naraz ściszym głosem mężczyzna i zapobiegawczo rozgląda się naokoło. Z kolei kobieta kwituje jego obawy drwiącym uśmiechem i oświadcza:

– Spokojnie. W tych rejonach mogą nas podsłuchać co najwyżej węże i skorpiony. One zaś nie zwykły sprzedawać swych tajemnic. No, chyba że z

wysączanym śmiertelnym jadem – kończy z udawaną wrogością Lakszi.

– Doprawdy czuję się wielce uspokojony... – Otto, przystojny, postawny brunet, po wspomnieniu o morderczych gadach i skorupiakach w okolicy przełyka z trudem ślinę i kieruje uwagę pod kopyta swego rumaka.

– Od dawna jest pan na kontynencie Nelorum...? – zagaduje ponownie kobieta.

– Nelorum, tak... – powtarza mężczyzna, zupełnie jakby dopiero teraz uświadamiał sobie, gdzie się tak naprawdę znajduje. I po chwili namysłu mówi: – Wolno mi rzec tyle, że tutejsze regiony są dla mnie swoistą nowością. Do tej pory służyłem dominium swymi umiejętnościami w innych regionach świata i zwykle z niezwykłą wręcz skutecznością.

– Jako szpieg! – rzuca z uśmiechem na ustach kobieta. Na co Otto przybiera karzący wyraz twarzy i czyni Lakszi pewne wyrzuty:

– Jesteś, droga damo, w tym fachu nowa. Ale wiedz, że możliwa dyskrecja to podstawa sukcesu każdego przedsięwzięcia. Dlatego przede wszystkim nastawiaj ucha, a mniej mów. Zaglądaj, gdzie możesz, lecz sama pozostawaj możliwie niezauważona. Gdy musisz, to zabij, ale nie zostając nawet zranioną.

– Pan mi imponuje, panie Otto, nauczycielu! – Lakszi przyklaskuje ochoczo w dłonie i puszcza mężczyźnie całusa. Ten kiwa jej z lekka głową na zgodę i z powagą dodaje:

– Przypominam, abyśmy przede wszystkim ćwiczyli się w naszych obecnych rolach i jak najrzadziej z nich wychodzili. To nam pomoże ustrzec się w przyszłości od kłopotów. A zatem kim na ten czas dla pani jestem...?

Na te słowa kobieta krzyżuje dłonie na piersi i z udawanym przejęciem recytuje:

– Tyś moim wybawcą, zauroczonym wielkim mym urokiem, który to uwalniasz mnie z więzienia w dominium. Czynisz to, ponieważ gołębie masz serce, panie, i nie możesz dłużej beczynnie patrzeć na niedolę ciemzonego przez Akros ciemnoskórego ludu. Przeto szlachetnie przystajesz do Ostatnich z Walczących!

– Dokładnie... – mówi z pewną satysfakcją Otto. Jednak Lakszi na tym bynajmniej nie kończy wypowiedzi:

– Lecz tak naprawdę jesteś moim oficerem prowadzącym, który ma się wkupić w łaski mej pani, słodkiej Anrei. I zaiste pomogę w tym podłym knowaniu. Jednakże przypominam, iż nieodzownym warunkiem jest, że kiedy rebelia czarnego piasku zostanie ostatecznie stłumiona, mej pani ma nie spaść choćby jeden rudy włos z jej precudnej i mądrej głowy, zrozumiano?!

– Ta... – potwierdza Otto i mimochodem dodaje: – A nie zapomniałaś, pani, przypadkiem o wynagrodzeniu dla własnej osoby...?

– A tak – rzuca nonszalancko Lakszi. – Za wykonane z sukcesem zadanie zostanę majątną panią, prawdziwą damą, że tak powiem... – Uśmiecha się zalotnie do oficera. – Przecież dopuszczam się zdrady i zostaję szpiegiem dominium jedynie z powodu chciwości i żądzy zysku, byłabym zapomniąła.

– Właśnie... – mruczy bez przekonania oficer, spoglądając podejrzliwie na ciemnoskórą kobietę. Następnie przenosi wzrok na samotną skałę górującą na bliskim horyzoncie i jakby raptem dostrzegł coś istotnego, zwraca się z nową energią do kobiety: – Uprzejmie proszę tu na mnie poczekać. Muszę się na moment oddalić za... pilną potrzebą! – Nie czekając na reakcję Lakszi, pogania ochoczo rumaka wprost za wysoką skałę. Niebawem chowa się za nią i dość szybko wyłania z powrotem, po czym powraca do rozmówczyni. Ta kręci z dezaprobatą głową i w podobnym tonie zapytuje:

– Ładnie to tak zostawiać damę samotną na pastwę losu na tych niebezpiecznych pustkowiach?!

– Damę...? – Przybyły mężczyzna spogląda na kobietę zdziwiony, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy i machając niedbale ręką, lekceważąco rzuca: – Ruszaj, ino chyżo, służebna dziewczko, abym nie musiał cię wybatożyć. Nie traćmy czasu.

\*

Mijają kolejne naznaczone upałem dni. Jednak o dziwo nikt z białych ludzi, dawnych przybyszy na nasz kontynent, nie kwapi się, aby zasilić nasze szeregi. Można wręcz odnieść wrażenie, że wieści o naszym wielkim

zwycięstwie nad dominium w ogóle nie rozchodzą się po świecie i świadomi jego jesteśmy wyłącznie my sami we własnym obozie.

Nie tak to planowaliśmy, nie zamierzaliśmy tak długo pozostawać w jednym miejscu, przez co nasza liczna, niemal czterdziestotysięczna armia zaczyna mieć kłopoty z zaopatrzeniem. Ściągamy z królestwa prowiant, ale ten jest niewystarczający. Do tego ktoś najwyraźniej zatrzał wodę w górze rzeki, ponieważ od jej picia coraz częściej chorują nasi ludzie

Tak oto z Muranem stajemy przed trudnymi faktami i w ich obliczu musimy podjąć ważką decyzję. Dlatego w naszym zdobycznym, granatowym namiocie zbieramy się wspólnie nad mapą i staramy uzgodnić dalszy plan działań.

Osobiście wychodzę z inicjatywą, aby wycofać się na uprzednie pozycje. Poczekać aż podrośnie więcej słoni bojowych i zostaną odpowiednio wyszkolone. Pragnę także, by przeszkolić naszych żołnierzy w posługiwaniu się zdobyczną bronią palną. Do tego zorganizowalibyśmy mocniejszą sieć zaopatrzenia i zgromadzili dostateczne zapasy, przez co nie bylibyśmy uzależnieni na obcej ziemi wyłącznie od zmiennego losu i tego, czy ktoś jeszcze zechce nam sprzyjać.

Jednakże na moje słowa Muran czyni kwaśny wyraz twarzy, a jego gesty wskazują na zupełnie odmienną wizję. Jest on przekonany, że jeżeli damy dominium zbyt wiele czasu, to jego komendanci przygotowują odpowiednią taktykę przeciw naszej nowej strategii oraz wyślą na nas o wiele liczniejszą armię. Dlatego widzi on szansę na sukces jedynie w błyskawicznej inwazji, która miałaby się zakończyć zdobyciem stolicy dominium na tym kontynencie zwanej Nowe Akros, a usytuowanej daleko na zachodnim wybrzeżu.

W ten sposób nasze spojrzenia na prowadzenie dalszej kampanii wojennej są diametralnie odmienne. Lecz nie ścieramy się ze sobą, a podobnie ja legendarni Nail oraz Nelorum zawieramy kompromis. Mianowicie godzę się na opcję proponowaną przez Murana i natychmiast ogłaszamy wymarsz w głąb ziem kontrolowanych przez dominium. Jednak w zamian otrzymuję zapewnienie małżonka, iż w przypadku następnej, istotnej różnicy zdań, to on przychyli się do mej woli.

Tak oto, pogodzeni, szykujemy się do drogi, zwijając obóz, a ja nie omieszkam w tym czasie odwiedzić mej słońicy, Nail, która wiernie stoi koło swego partnera, Nelorum. Jak zwykle mam dla niej smakołyki w postaci soczystych owoców, które po prostu uwielbia. Ja zaś uwielbieniem darzę oglądanie, jak zręczne chwyta pożywienie w trąbę i wkłada sobie do pyska. I te oczy, w które mogłabym patrzeć całymi dniami. Jest w nich wielki spokój oraz siła, które i na mnie zdają się promieniować. Zatem Muran ma prawo być wręcz zazdrosny.

Aż w pewnym momencie, kiedy kończę już karmić Nail przed daleką podróżą i klepię ją z uczuciem po trąbie, podchodzi do mnie sługa i prawi o tym, że z wyprawy powraca Lakszi. Lecz co znamienne nie sama, a w obecności mężczyzny, sądząc po ubiorze, z samego dominium.

Wobec tego żegnam się z ulubioną słońicą, bowiem bez pożegnania rozstać się nam tradycyjnie nie wypada i instruuję sługę, aby skierował mą przybyłą służkę do mego namiotu. Sama tam właśnie się udaję.

Na miejscu czekam niezbyt długo, aż rozchylają się poły namiotu i w mych objęciach mam już moją Lakszi, która skacze na mnie niemal jak dzikie zwierzę. Tuli mnie mocno i całuje po policzkach z nieschodzącym jej z twarzy beztróskim uśmiechem. Stąd domyślam się, że wieńczy swą misję skutecznie. Ona oczywiście nie omieszka podzielić się wrażeniami, w pośpiechu opowiadając:

– Tak, tak, moja najśłodsza ze słodczy, wszystko, co mi przykazałaś, wypełniam, co do joty. Przekazałam obcym przybyszom, że zostaną zaatakowani słońiami, robiąc to odpowiednio późno, czyli zgodnie ze wskazaniami, zbyt późno. Zasłyszałam też, że rozgromiliście wroga!

– Więc chociaż ty o tym słyszałaś, o naszym zwycięstwie... – mówię nieco markotnie, spoglądając w iskrzące się oczy Lakszi i w dość wisielczym nastroju zapytuję: – Może masz jakiś pomysł, dlaczego wieści o naszej wygranej nie rozprzestrzeniły się po kontynencie? A może jednak jest to już powszechna wiedza i na nikim nie robi to wrażenia, bowiem nikt z dawnych, białych przybyszy nie garnie się już, by walczyć z dominium...?

– Aaa... – Lakszi grozi mi wskazującym palcem i z wyższością w głosie mówi: – Zgodnie z twoją wolą robiłam, co mogę, aby wkupić się w łaski

wroga i oto udało mi się zasłyszeć, że wieści o waszym zwycięstwie stara się on skrzątnie zatuszować tak, jakby go w ogóle nie było!

– Teraz rozumiem... – kwituję te rewelacje, wydychając z płuc resztkę powietrza, po czym trochę podejrzliwie kontynuuję: – Spisałaś się, Lakszi, ale powiedz mi... Tak cię po prostu wypuszczono i czemu towarzyszy ci obcy przybysz, zdaje się, z dominium...? – Na te słowa ciemnoskóra kobieta poważnieje i zdaje się wpadać w lekką zadumę, jakby coś rachując w umyśle. – Lakszi...? Zadałam ci pytanie... – Staram się przywołać do porządku służkę, która jak zwykle wiele sobie pozwala. Ona raptem zakwita przesadnie szerokim uśmiechem i gestykulując niedbale rękoma, nonszalancko wypala:

– Dominium pragnęło mnie zatrzymać na dłużej, ale uciekłam! To jest, pomógł mi w ucieczce pewien szlachetny mężczyzna, ten obcy, szlachetny przybysz!

– Lakszi... – Mrozę ją srogim wzrokiem, a potem wręcz niemal nim spaliam, czując, że coś ukrywa. Na co ona wierci się w miejscu i miota, aż popiskuje:

– No dobrze, już dobrze... – Przytula się do mnie i z najbliższej odległości mówi o tym, że została zwerbowana na szpiega. Zaś towarzyszący jej przybysz jest również szpiegiem dominium, tylko prawdziwym i chyba wypadaloby wziąć go na tortury.

Po wysłuchaniu tych wieści kręcę z dezaprobatą głową, spoglądając na moją wierną służkę, która z zupełnie niezrozumiałych dla mnie przyczyn miała pierwotnie opory, by podzielić się ze mną prawdą. O ile jest to prawda... – zastanawiam się naraz nieco zafrasowana. Ale moje troski przykrywam słodkim uśmiechem i każę Lakszi wezwać do mnie wspomnianego przybysza, żeby rozmówić się z nim osobiście oraz na osobności.

I wkrótce chyba już wiem skąd to lawirowanie mej służki. Niejaki pan Otto okazuje się bowiem wielce przystojnym mężczyzną, dystyngowanym i mającym coś przyciągającego w swej osobie. Lecz moje serce należy do kogo innego i sama niewątpliwie nie dam się uwieść. Zatem w opanowany sposób przechodzę do tradycyjnego powitania, łagodnie mówiąc:

– Witam w naszych szeregach i zaprawdę składam wielkie podziękowanie za uratowanie mej służki niczym zbłąkanej owcy z podłych łap okrutnego dominium. To doprawdy... – zamierzam dalej prawić nic nieznaczące frazesy, obserwując bacznie zachowanie mężczyzny. Ten jednak czyni zniecierpliwioną minę i bezczelnie podchodzi do mapy na stole. Następnie równie bezczelnie, co przed chwilą dłuższy czas spogląda na nią, zamiast na mnie, władczynię, aż raptem zdecydowanie i niespodziewanie zarazem wypala:

– Wspomniana dziewczka nie została uratowana, to kpina. Natomiast mnie osobiście przydzielono tu jako doświadczonego szpiega dominium. Lecz dość mam już służby w sprawie złoczyńców. I chociaż zapewne nie dane mi będzie pomóc wam tak, że wygracie tę wojnę, to raczej nie jest możliwe... jednakże zrobię, co w mej mocy, by służyć wam wiedzą i wsparciem. Zatem zaklinam, wycofajcie się przynajmniej o sto mil na wschód do serca swych ziem. – Stuka palcem we fragment mapy.

Sama przyglądam się mężczyźnie z narastającym zaciekawieniem i naprędce zastanawiam czy mówi prawdę, czy jest tak dobrym i ryzykownym graczem. Na podstawie niedostatecznej wiedzy nie mogę tego zweryfikować, dlatego podejmuję tę grę, oznajmiając:

– Tu, na miejscu, czyli na granicy królestwa jest naszej armii całkiem komfortowo. Poczyniliśmy obwarowania, z głębi władztwa ściągamy zapasy żywności i napływają do nas nowi rekruci. Ponadto mamy tu rzekę, która zaopatruje wojsko w wodę.

– Woda w górze rzeki jest stale zatrutowana, a to dopiero początek. Z Nowego Akros już jadą wozy z bardziej toksycznymi chemikaliami.

– Z czym...? – zapytuje, nie znając użytego określenia.

– Z trucizną... – tłumaczy Otto. – Ponadto z wiarygodnego źródła jest mi wiadomo, że macie niedostatki w zaopatrzeniu i nie ściągacie więcej wojska, którego nie będziecie w stanie sami utrzymać. Poza tym, jeżeli zostanieie zbyt długo w tym miejscu, to ani się obejrzycie, a zostanieie okrążeni! – Otto z irytacją uderza pięścią w stół. Ja z kolei nabieram dla niego coraz większego respektu. Dzieli się bowiem ze mną wiedzą między innymi o zatrutowaniu rzeki, ale w sumie niewnoszącą niczego nowego ponad to, co już w zasadzie wiem. Czy nie używa więc przypadkiem

fortelu, który sama zleciłam Lakszi, przekazywania tylko z pozoru ważnych wieści? Mimo pewnego ryzyka decyduję się odkryć część swoich kart i zauważam:

– Być może skorzystamy ze światłej rady i przesuniemy wojska... Ale być może uczynimy to nie w głąb naszego władztwa, a na tereny kontrolowane przez dominium...

– Gdzie?! – pyta już wręcz zbulwersowany mężczyzna. I teraz zapewne powinnam podać mu fałszywą wiedzę. Aczkolwiek postanawiam całkiem zaryzykować i powiedzieć prawdę w nadziei, iż Otto pomyśli, że go okłamuję. Doprawdy to starcie umysłów przyprawia mnie o zawrót głowy. Ale zgodnie z pierwotną myślą podchodzę do mapy i pokazuję na bliskie nam ziemie dawnego, centralnego władztwa Viglum. – Tylko nie tam! – wypala na tę sugestię szpieg z dominium.

– A czemuż to nie...? – zapytuję niewinnie.

– Te ziemie są usłane wzgórzami i gęstymi lasami. – Mężczyzna stuka zawzięcie palcem we fragment mapy. – To idealne miejsca na zasadzkę, a przede wszystkim w razie bitwy w żaden sposób nie rozwinięcie tam szyku słoni bojowych, to samobójstwo! – Wygraża pięścią. Na co czynię nieco zafrasowaną minę, albowiem oto doznaję olśnienia, że niejaki Otto ma w swych sugestiach świętą rację. Wobec tego delikatnie go podpytuję:

– Gdzie zatem według pana powinniśmy się udać, aby kontynuować marsz do serca kontynentu, a nie cofać się, jak tchórze...?

– Naprawdę nie możecie wykazać się rozsądkiem i zawrócić...? – mówiąc to, mężczyzna wyraża, wydawałoby się, szczerą boleść na twarzy. Na co ostro ucinam:

– Nie.

Otto dłuższy czas głęboko posapuje, wpatrując się w mapę i opierając rękoma o blat stołu. Aż wskazuje południową część mapy i dobitnie stwierdza:

– Idźcie na południowy zachód. W ten sposób ominiecie góry i lasy, a wkroczycie na półpustynne tereny.

– Żeby tam umrzeć z pragnienia... – drwię sobie.



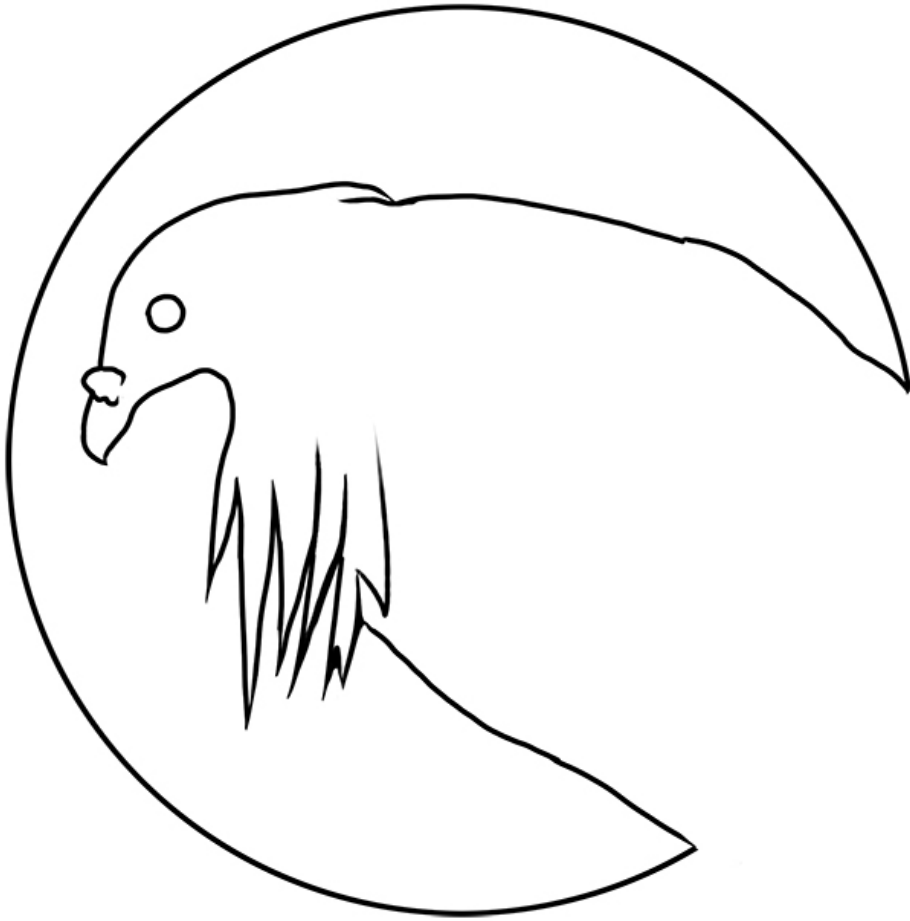
– Nic z tych rzeczy! – Dopiero co rozluźnione dłonie Otto znowu zaciska w pięści, po czym wyciąga wskazujący palec i ciągnie nim po mapie, oznajmiając: – Na pustyni poruszajcie się wzdłuż tej rzeki. Ona da wam wodę i ryby. Przy wodzie znajdziecie także roślinność dla słońi i koni oraz łowną zwierzynę. Natomiast na otwartym terenie bez trudu dostrzeżecie potencjalnego wroga, a wasze słońie bojowe, jedyne, prawdziwy atut, będą mogły w razie zagrożenia potężnie szarżować.

Po tym wywodzie kiwam ze zrozumieniem głową, nie mogąc nie przyznać panu Otto racji. Następnie żegnam się z nim całkiem uprzejmie i zachęcam do pozostania w obozie. On wyraża zgodę, a ja przywołuję kilku strażników, którym nie pozwalam spuszczać go z oka. Potem zapraszam na naradę przy mapie Murana. Przedstawiam mu wizję nowej drogi do serca kontynentu i optuję za jej obraniem. Jednak i tym razem napotykam opór. Mój najwyraźniej przywykły do władzy absolutnej małżonek nie chce się zgodzić. Wtedy przypominam mu zawarty przez nas dopiero co układ i z pewnym wyrzutem pytam, czy zamierza respektować fakt, iż kolejna istotna decyzja militarna ma być w mej gestii. Wobec takiego przedstawienia sprawy Muran czyni zafrasowaną minę, przeprasza mnie i godzi się na moją decyzję.

Lecz to bynajmniej nie koniec naszej małej potyczki. Mój mąż zaraz stwierdza, że skoro, jak sama uważam, wróg czai się już tuż, tuż, skrycie, to należy posłużyć się ponownie dywersją. Oświadcza więc, że pragnie wysłać najśłabszy oddział przez pierwotnie planowaną drogę, czyli góry i lasy, aby tym samym odciągnąć uwagę przeciwnika od głównych wojsk i zmylić go. Osobiście przystaję na to, skoro teraz to po stronie mego małżonka stoi decyzja, sama jednak nie pozostaję dłużna. Dodaję, iż nie zgadzam się, aby posłać na prawdopodobną rzeź w lesiste wzniesienia znów moich ludzi, którzy są słabsi i gorzej wyszkoleni od żołnierzy Murana. On nie śmie mi się już sprzeciwić. Ale rezolutnie pyta, czy wobec tego słuszne jest skazywanie jego z kolei żołnierzy na prawdopodobną zagładę. Ulegam i zmieniam decyzję, zarządzając losowanie oddziału, który ruszy przez krainę Viglum. Mój małżonek przystaje na to, ale zaznacza, że w takim układzie, by było sprawiedliwie, my również powinniśmy wziąć udział w losowaniu. Na tym ostatecznie staje.

Ruszamy więc główną armią w kierunku rzeki na pustyni prosto na południowy zachód do dawnego władztwa Orienum. Zaś uwagę od nas ma odciągać puszczone przodem oddział tysiąca piechoty.

Plan wydaje się dobry, ale tylko do czasu przeprowadzonego losowania. Ono bowiem, jako uczestnika straceńczej wyprawy wskazuje między innymi mojego Murana! On oczywiście unosi się honorem i na to przystaje. Ale nie ja, absolutnie nie wyrażam na to szaleństwo zgody! Wszak decyzja już zapada i nic nie mogę na to, co się wydarza, poradzić.



## VI. PRZEBUDZENIE DUCHA

Upływają trzy dni odkąd Muran wyrusza z tysiącem żołnierzy przez drogę wiodącą prosto na zachód pomiędzy górami oraz lasami. I jeżeli przestrogi Otta okażą się tylko cczą gadaniną, wówczas zadaniem mego małżonka będzie werbować miejscowych, białych toporników, którzy zostali kilkadziesiąt lat temu ostatecznie podbici przez dominium, stłamszeni, odarci ze swej kultury i powinni żądać rewanzu. Zaś o alternatywie, to jest zasadzce dominium i rozbiciu oddziału mego męża nawet nie chcę myśleć. Lecz nie ma co się oszukiwać, myślę o tym nieustannie i się zadręczam.

Jednocześnie na czele głównej kolumny naszych wojsk obejmuję konno przewodnictwo. Kierujemy się na południowy zachód i w przeciągu tygodnia zamierzamy osiągnąć półpustynne tereny, gdzie także mieszkają przybyli tu niegdyś biali ludzie, choć o skośnych oczach. I oni wpadają swego czasu w jarzmo zniewolenia ze strony dominium i również wśród nich będziemy szukać wsparcia. O ile oczywiście dotrzemy na miejsce szczęśliwie. Na razie jednak nic nie zwiastuje kłopotów i zwiadowcy nie donoszą o żadnych większych ruchach nieprzyjaciela.

Po trzech dniach tej wyprawy kolejny raz rozbijamy obóz na nocleg. Po całodziennym trudzie podróży żołnierze się posilają, a potem kładą spać lub wcześniej grają w grę opartą na przesuwaniu wielobarwnych kamyków w określonych konfiguracjach. Inni z kolei za skromny żołd raczą się towarzystwem dziwek, które coraz tłumniejsz dołączają do naszego obozu i ze względu na swą liczebność zaczynają stanowić niemal dodatkowy oddział.

Osobiście kładę się dość szybko na posłaniu, choć wiem, że z powodu niepokoju w mym sercu nie dane mi będzie zbyt szybko zaznać snu. Zatem leżę tak na macie, przewracając się z boku na bok i wsłuchuję w rwane

rozmowy, rubaszne śmiechy, to wulgarne pokrzykiwania kobiet lekkich obyczajów.

Aż w pewnym momencie w stanie pomiędzy jawą, a snem dzieje się ze mną coś niewytłumaczalnego. Przecież dopiero co spoczywam w namiocie, a teraz nie dość, że jestem poza nim, to spoglądam na obóz z góry.

Zupełnie zaskoczona próbuję przyjrzeć się memu ciału, ale go nie dostrzegam, aktywne są wyłącznie moje zmysły, jakbym była duchem. Czy naprawdę nim nagle jestem, zjawą? A może właśnie zostaję zamordowana i moja dusza wyrywa się z ciała, by zaraz rozpuścić się w nicości? Może jednak... – wspominam słowa mędrca Mitrei oraz doradców Murana o tym, że ponoć jestem Boginią.

I zaraz siłą woli z powrotem jestem w moim namiocie, ale nie w moim ciele. Ono spoczywa spokojnie na macie i nie dostrzegam na nim żadnych widocznych obrażeń. Co więcej, zauważam miarowy oddech, mą wątlą, unoszącą się miarowo pierś.

Nieco uspokojona, choć wciąż z wielkim zaciekawieniem, ponownie udaję się szybować w przestworzach. Przez moment spoglądam z góry na obóz, którego liczne ogniska wyglądają z góry jak zgromadzenie świetlików. Następnie nurkuję pomiędzy namioty i zaglądam do niektórych z nich. Wiedzę śpiących i grających żołnierzy. Aż zastygam zaskoczona, nadziewając się na moją Lakszi w dość nietypowej sytuacji.

Moja służka jest naga i w pozycji na czworakach. Wyciąga do przodu ręce, zapierając się nimi mocno, a z tyłu ma wypięte pośladki, za którymi klęczy poznany przeze mnie Otto. Bierze on mocno mą służkę w miłosnym zespoleniu, a sam biczuje swe plecy, krzycząc, że jest niegodnym istnienia grzesznikiem, łamiącym ślubowania. Lecz bynajmniej nie widzę po nim, aby zamierzał odstąpić od swego grzesznego według niego czynu uciech cielesnych. Zamiast tego coraz dotkliwiej się katuje i coraz mocniej napiera na Lakszi. Ona z kolei także nie wydaje się cierpieć z powodu intensywnego i nietypowego zbliżenia. Sama kołysze obfitymi pośladkami, a jej rozhuśtane, krągłe piersi zderzają się ze sobą miarowo. Do tego popiskuje rozkosznie i rzuca jękliwe wzmianki o tym, że jest ciemną, nieposłuszną diablicą, którą, by ją okiełznać, trzeba należycie ukarać.

Przyglądam się dłuższy czas tej miłości, aż naprowadza mnie ona myślami na mego własnego kochanka. I nawet nie wiem kiedy, a w mej duchowej powłoce porywam się na północny zachód, przemierzając błyskawicznie olbrzymią odległość. Teren pode mną mijam z taką prędkością, że nie jestem w stanie nawet zauważyć czy w mroku nocy lecę akurat nad polami, lasami, a może górami czy dolinami. Zaś moim wyznacznikiem jest jedynie mój ukochany.

I oto jest. Nagle zatrzymuję się tuż przed nim, całym i zdrowym. Choć w tej chwili nie posiadam fizycznego ciała, a jedynie eteryczne, to prócz odczucia radości i ulgi wręcz czuję jakby prawdziwe ciepło. Z lubością patrzę, jak Muran siedzi przy skromnym ognisku i z pietyzmem ostrzy miecz. A zaraz odkłada go na bok i z uśmiechem na ustach przygląda się swemu wisiorowi na szyi, który daje mu w podarku. To niewielki posążek Nail oraz Nelorum w miłosnym zjednoczeniu. I właśnie patrzę, jak mój małżonek go z uczuciem całuje. Ponadto wokół są inni jego kompani, którzy w większości już śpią, a niektórzy stoją na wachcie.

Pilnują bezpieczeństwa obozu – przechodzi mi raptem przez myśl i mój błogi nastrój w jednym momencie znika. Zajmuje go dojmujący niepokój, kiedy to przypominam sobie, czemu ma służyć warta w obozie i przed kim konkretnie chronić.

Zatem znowuż wzlatuję wyżej, po czym nurkuję pomiędzy najbliższe zatopione w mroku nocy korony drzew. Lotem błyskawicy zataczam coraz szersze kręgi wokół obozowiska, poszukując obcych zwiadowców lub większych oddziałów. I raptem, niczym strzała, przesywa mnie nagi strach.

Widzę dwóch uzbrojonych ludzi na drzewie, którzy wskazują sobie obóz Murana. Inni mężczyźni są na ziemi. Nie czekam, tylko porywam się dalej na zachód i szybko nadziewam na zgromadzenie większej ilości mężczyzn w szarych mundurach. Zatrzymuje się nad nim i wyławiam w mroku znienawidzone przeze mnie proporce dominium.

I dalej gnam na zachód, a im głębiej się tam zapuszczam, tym więcej widzę obozujących, obcych wojsk. Rozsiane są po górskich wzniesieniach, a nie napotykam ich w żadnych dolinach. Stąd prosty wniosek, że szykują się do zasadki, osaczając oddział Murana. Zatem ten dziwny mężczyzna,

Otto, miał rację i ja sama wyruszam do spokojnej przystani na pustynię, a mój małżonek kroczy po nieuchronną zgubę!

Wtem mój niepokój wzmagą się wręcz do swego apogeum, kiedy to przypominam sobie sen z niedawnej nocy. W nim tracę na arenie ukochanego imieniem Aves. Czy zatem Muran miałby niebawem podzielić jego straszliwy los – śmierć – i mój zarazem – pozostawionej samotnie kobiety?

Nie wiem, doprawdy nie wiem, jak to się wydarza, ale nagle znowu jestem całą sobą w namiocie i w swoim ciele. Siadam oszołomiona i pragnę się zaklinać, że wszystko, czego dopiero co doświadczam, było jedynie sennym majakiem. Lecz zaraz myślę, iż jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wstaję i pomiędzy ogniskami biegnę ile tchu do namiotu Lakszi. Zatrzymuję się w jego progu, po czym bez ceregieli gwałtownie wchodzę do środka. Niemal w tym samym momencie rozlega się kobiecy krzyk, gdy moja służka zasłania kocem nagość swoją oraz swego kochanka, Otta, w którego ramionach spoczywa.

Na ten widok tak samo zamaszycie zasłanianiu połami namiotu parę kochanków i porywam się do obecnego już nie kapitana, a mego zaufanego generała – Sakkana. W największym pośpiechu mówię mu, że to on obejmuje teraz przewodnictwo wojskiem i ma je szczęśliwie doprowadzić do rzeki na pustyni, gdzie wkrótce do niego dołączę. Sama biorę dziesięciu ludzi i dwa razy tyle rumaków. Następnie jeszcze w nocy gnam ile sił wprost na północ.

Nie wiem dokładnie, jak daleko musimy się udać, by odnaleźć i ostrzec Murana i jego oddział. Bierzymy rumaki na zmianę, co powinno zapewnić nam dodatkową szybkość. Natomiast zapamiętuję z mej niebiańskiej, nocnej wyprawy, że mój małżonek obozował w pobliżu posępnej, skalistej fortecy umiejscowionej na szczycie łysego wzgórza. Ponadto dalej na zachód płynęła okazałych rozmiarów kręta rzeka.

W ten sposób, mając pewne punkty orientacyjne, gdy tylko mogę, pytam mieszkańców o drogę. Ci z ciemną skórą odpowiadają ochoczo i kierują mnie we właściwą stronę, z kolei dawni, biali przybysze, choć koegzystują

z nami od wieków, darzą nas nieufnością, a ja niestety nie mam czasu na jej przełamywanie.

I tak kierowana głównie wskazówkami miejscowych pobratymców, po jednym dniu docieram w rejony, które wydają mi się w jakiś sposób znajome. Odnajdujemy tu także ślady obozowiska. I choć wszystkie nasze wierzchowce są już doprawdy wyczerpane, to nawet nie myślę o postoju. Nie teraz, kiedy Muran jest niewątpliwie mniej niż dzień konnej drogi stąd!

Tak więc ruszamy tropem naszych ludzi. Od zachodu do wschodu słońca przemierzamy szmat drogi, aż każę wstrzymać rumaki na skraju lasu. Tutaj bowiem dochodzą mnie wielce niepokojące odgłosy do złudzenia przypominające wystrzały z broni palnej. Samotnie podjeżdżam na pobliskie wzniesienie i raptem zamiera mi serce, ponieważ w sporej odległości zauważam spowite w porannej mgle zbrojne starcie.

Nie ma zatem chwili do stracenia. Skoro to pułapka, wróg ma niewątpliwie znaczącą przewagę i wszystko, co mogę w tej sytuacji uczynić, to jedynie ratować Murana. Dlatego pozostawiam rumaki bez jeźdźców spętane w lesie i daję sygnał dziesiątce mych ludzi, aby natychmiast dobyli broń i ruszali w ślad za mną. Osobiście poprawiam za pasem moje sierpy, zerkam na oszczepy przy siodle i biorę do ręki włócznię, po czym rozpoczynam szarżę.

Galopuję przez pokrytą poranną mgłą pagórkowatą łąkę. Powietrze jest chłodne, wilgotne i trwa niemal bezwietrzny czas. Lecz tak, jak spokojna wydaje się otaczająca natura, tak mną targa coraz silniejszy niepokój.

I rapem, tuż przede mną, jak spod ziemi wyrasta plecami do mnie piechur z dominium w szarym mundurze, ładujący akurat rusznicę. W największym pośpiechu ustawiam pod odpowiednim kątem włócznię i głęboko wprowadzam ostry grot pomiędzy męskie łopatki. Zaś siła uderzenia wyrywa mi trzonek drzewcowej broni z ręki. Tak więc pozostawiam za sobą mężczyznę z włócznią w plecach i galopuję niemal na oślep tym razem z oszczepem w dłoni. Co pewien czas migają mi po bokach szare sylwetki, a wtedy bez namysłu miotam w tym kierunku mą dystansową bronią. Większość rzutów dochodzi celu i w swym pobliżu słyszę przerażające krzyki okaleczanych ludzi. Te odgłosy są zaraz przykrywane przez coraz gęstszy huk z rusznic.



Aż raptem pod kopytami swego rumaka zauważam martwych ludzi w długich, bordowych strojach. Są to bez wątpienia polegli żołnierze Murana. Przez to z narastającą trwogą zagłębiam się coraz dalej na istne pole śmierci. Za sobą słyszę męskie krzyki. Odwracam się, ale w narastającej mgle nie widzę moich ludzi. Dlatego ponownie koncentruję uwagę na szybkiej jeździe konnej naprzód.

Gdy wtem nadziewam się na rów, a w nim przycupniętych żołnierzy w bordowych uniformach. W ostatnim momencie podrywam rumaka i ten przeskakuje nad dołem. Szczęśliwie ląduję po drugiej stronie i gwałtownie wstrzymuję parskające, zaniepokojone zwierzę. Nawracam wierzchowca w kierunku rowu i donośnie krzyczę do żołnierzy Murana:

– Gdzie wasz król? Gdzie dowódca?!

Niestety jedyną odpowiedzią jest gęsta salwa z rusznic, która pada nie wiadomo skąd, a ja czuję złowrogi świst koło ucha. Naraz dociera do mnie, że nasi wrogowie zlokalizowali mnie we mgle po mym nieroztropnym krzyku, dlatego nie mogę więcej dawać im takich wskazówek. I już zamierzam gnać wzdłuż linii wojsk Królestwa Czarnego Piasku, ale jeden z żołnierzy wymownie wskazuje kierunek za moimi plecami. Czyżby chodziło mu o Murana?

Już chcę się odwrócić, lecz w tym samym momencie z mgły wyłaniają się szare płaszcze uzbrojone w szable i szturmują pozycje obronne w dole. Odruchowo chwytam za jeden z ostatnich oszczepów przy siodle i z najbliższej odległości posyłam go prosto w twarz żołnierza z dominium, zagłębiając mu grot w oczodole. Kolejne me drzewce trafiają w torsy i ramiona atakujących. Aż zza mych pleców przychodzi odsiecz i następni ludzie, tym razem w bordowych strojach, dołączają do walki.

Sama zeskakuję z rumaka, aby nie być dłużej zbyt łatwym celem. Ciągnę konia za uzdę na tyły zajadłej potyczki i w największym pośpiechu przywiązuję go do grubego pniaka, będącego kikutem drzewa. Potem chwytam zza pasa dwa śmiercionośne sierpy i biegnę w sam ogień walki, by zrobić z nich użytek.

Jestem niemal wyższa o głowę od większości walczących, a przez to doskonale widzę wokół siebie, jak przebiega bitwa – zostajemy zalani przytłaczającą falą przeciwników i przegrywamy. Dalej jednak nie analizuję

sytuacji, tylko czynię to, w czym tak długo i mozolnie się szkoliłam oraz czemu według mędrca Mitrei obecnie istnieję – mianowicie zabijam.

Paruję sierpem cios szabłą, a drugim przejeżdżam po szyi wroga, rozcinając ją do połowy. Cofam przed siebie broń, krzyżuję ramiona, po czym gwałtownie je rozpościeram i okaleczam twarze przeciwników po obu moich stronach. A zaraz zamaszystym uderzeniem niemal odcinam ramię uzbrojone w szabłę, aż czuję tępy opór, kiedy ostrze sierpa zatrzymuje się na kości. I dalej wykonuję szybkie i krótkie ruchy mymi uzbrojonymi rękoma, a z powodu zasięgu mych ramion bez trudu dosięgam okolicznych wrogów. W wyniku skutecznych ataków wokół mnie robi się coraz więcej miejsca. Niestety na innych odcinkach ulegamy i jesteśmy już praktycznie wyparci z rowu.

Doprawdy nie wiem, co dalej czynić. Iść na straceńczą śmierć, rozpaczliwie utrzymywać pozycję, cofać się, a może po prostu uciekać? Zaś Muran, co z nim? – myślę tak zdezorientowana, gdy naraz czuję w dole brzucha piekący, przeszywający mnie ból. Chwytam się tam odruchowo dłońmi, po czym spoglądam na nie. Znaczy je moja krew, a ja z powodu doznanej rany raptem się chwieję na nogach. Nie wiem, kto mnie skutecznie zaatakował, bo nie zauważam napastnika, więc moja rana jest zapewne efektem wystrzału z rusznicy.

Nie zmienia to faktu, że naraz słabnę i się zataczam do tyłu, aż przed upadkiem ratują mnie czyjeś ramiona. Spoglądam za siebie, w czyich objęciach jestem i widzę Murana. Z tą chwilą, mimo odniesionej rany, wstępują we mnie nowe siły. Wyswobadzam się z uścisku i pcham ukochanego do tyłu w kierunku, gdzie pozostawiam wierzchowca. I nawet nie próbuję nic krzyczeć, ponieważ w obecnym tłumie i tak nie zostałabym zrozumiana. Na szczęście mój mąż ustępuje i udzielając mi wsparcia ramieniem, sam pomaga mi się przedostać na tyły.

I oto jest, przywiązany do pniaka, próbujący się wyrwać z uwięzi na dobre już spanikowany rumak. Pokazuję go Muranowi wymownie palce, a mężczyzna pomaga mi dosiąść zwierzęcia. Sam odwiązuje go od drzewa i już zamierza zasadzić mu potężnego klapsa w zad, aby dać mi szansę ucieczki, ale chwytam go za dłoń. Ściskam ją z całych sił i kieruję wzrok na miejsce, które pozostawiamy za sobą, gdzie widoczna jest całkowita klęska

naszych żołnierzy. Muran się waha, a ma do wyboru, spróbować uciekać wraz ze mną i być może przeżyć albo honorowo tu polec. Co wybierze?

Chwila ta przeciąga się nieznośnie, aż mój ukochany wzbudza ulgę w moim sercu oraz nieśmiały uśmiech na moim blednącym licu. Wskakuje on bowiem za mną na rumaka. Podaję mu lejce, aby kierował, a sama jedną ręką uciskam swą krwawiącą ranę na brzuchu, podczas gdy w drugiej ściskam sierp.

Wkrótce gnamy już w nieznanym kierunku byle się wyrwać z tej przeklętej pułapki, gdzie obecnie towarzyszy nam już tylko krwawa rzeź. Pogrom naszego wojska jest całkowity, ale my mamy jeszcze szansę wyjść stąd żywi. Dzięki gęstej mgłę i naszej szybkości mijani przez nas żołnierze w szarych płaszczach nie nadążają dobrze przymierzyć ze swych rusznic. Wokół słyszymy strzały, ale wciąż udaje się nam pokonywać kolejne etapy drogi, a z czasem samych wrogów, kiedy obszernymi wymachami sierpem rozkrajam zaskoczonym piechurom karki bądź gardła.

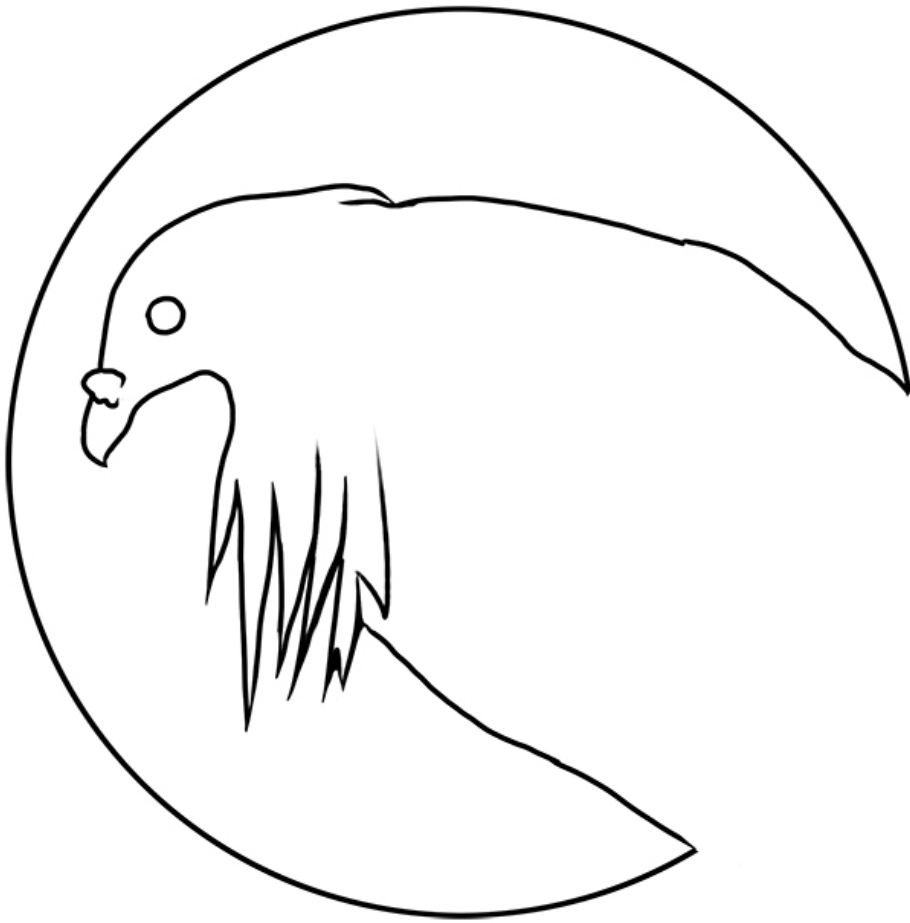
W końcu koszar bitwy wydaje się, że zostawimy za sobą. Przekraczamy konno niewielki strumień i w tym momencie nie dochodzą nas już prawie żadne odgłosy z dość odległego centrum bitwy. Nasz zziębnięty koń wychodzi z wody na drugi brzeg. Lecz wtedy nieoczekiwanie przyniesiona mu zostaje znacząca ulga. Otóż jedno z nas raptem spada z rumaka i pada na wilgotną trawę.

– Aves – wydzieram ze swej piersi trwożliwy, stłumiony jęk, myśląc półprzytomna imię mężczyzny. Odejmuję rękę od mego krwawiącego boku i zeskakuję z wierzchowca. Nogi się pode mną uginają i padam boleśnie na ziemię. Następnie na czworakach, niemal czołgając się, docieram do ukochanego. Ten leży brzuchem na trawie, a w górnej części jego pleców dostrzegam krwawą dziurę – efekt trafienia wystrzeloną kulą.

W moich oczach w jednej chwili stają zły, a me unurzane w czerwieni ręce zaczynają drżeć, także usta, które pragną coś powiedzieć, jakby wyszeptać magiczne zaklęcie, za którego sprawą uratuję mego lubego.

Trzęsącymi się dłońmi z wielkim wysiłkiem ostatkiem sił odwracam na plecy ukochanego mężczyznę. Uśmiecham się przez łzy, widząc, że jeszcze tli się w nim życie. Całuję go mocno w usta i przeczesuję krótkie, ciemne włosy. Potem klękam, zbieram się w sobie i już zamierzam krzyknąć, ile

wystarczy mi tchu, wzywając pomocy, kiedy nagle ktoś zasłania mi dłońią usta. Odwracam się i otrzymuję do tego stopnia silne uderzenie w głowę, że z miejsca tracę przytomność.



## VII. VIGLUM

Powracają do mnie zmysły. Zanim otworzę oczy na świat, odbieram pod palcami miękką, przyjemną powierzchnię. Kieruję dłonie na swe łono i odczuwam tam lepką substancję. Dotykam ją dłuższy czas i doprawdy nie wiem, z czym mam do czynienia. W końcu decyduję się podnieść powieki.

Dostrzegam tuż koło siebie leżącego Murana i z niewypowiedzianą ulgą podążam wzrokiem za jego unoszącą się i opadającą klatką piersiową. Zatem oddycha, żyje – myślę tak, ukojona. Odkrywam zasłaniający mnie koc i spoglądam na swe półnagie ciało poniżej pępka i nieco na prawo. Zauważam okład jakby z gliny i rozgniecionych liści. Więc ktoś nas tu pielęgnuje. Tu, czyli gdzie? – uzmysławiam sobie, że nie wiem, gdzie się znajdujemy i rozglądam po pomieszczeniu.

To pokój w drewnianym domu. Sama spoczywam z Muranem na posłanym łóżku z kocami do przykrycia. Wokół jest trochę prostego sprzętu jak stolik i para taboretów, wszystko wykonane z drewna. Zresztą w samym powietrzu daje się czuć mocny żywiczny zapach, a za oknem pozbawionym szyb poruszają się lekko na wietrze iglaste gałęzie.

Po części uspokojona przytulam się do Murana i wsłuchuję w jego miarowo pracujące serce. W tym momencie to najpiękniejsza dla mnie melodia, jaką mogę sobie wymarzyć, dlatego się uśmiecham. Aż po pewnym czasie i cudzym, donośnym chrząknięciu, dociera do mnie, że nie jesteśmy już sami w pokoju. Odkręcam się więc na drugą stronę i jednocześnie słyszę chrapliwe, ale z troską wypowiedane słowa:

– Ostrożnie, tylko ostrożnie... Wiele pracy kosztowało moją małżonkę wykonanie tego okładu. – Starszy mężczyzna pokazuje na moją ranę. To biały człowiek, ale po brzmieniu głosu rozpoznaję, że należy do nacji dawnych przybyszy, nie nowych najeźdźców. Strój ma prosty, płócienny i szary. Włosy ciemne i długie, rozpuszczone, przyprószone siwizną, do tego

na twarzy dość gęste, brązowe wąsy oraz brodę. Ponadto ma niebieski tatuaż na czole obrazujący wzór ze skomplikowanych znaków. Cała to postać wydaje się na pierwszy rzut oka neutralna. Nie budzi specjalnej sympatii, ale też nie napawa lękiem. Osobiście, zabierając głos, mówię to, co przede wszystkim wypada:

– Dziękuję za... pomoc... – ostatnie słowo więźnie mi jednak w gardle, gdy przypominam sobie niespodziewany cios w głowę, po którym tracę na dłuższy czas przytomność. Na co mężczyzna wzdycha ciężko i kiedy sama masuję się po okazałym guzie na skroni, on oświadcza:

– To również dzieło mojej... zapobiegliwej małżonki. – Pokazuje wypukłość na mojej czaszce. – Wybacz starszej kobiecie, bo wiele w życiu już przeszła i ma prawo do silnych reakcji.

– Wybaczam, oczywiście... – mówię szczerze i ostrożnie zapytuję: – Czy pomożecie nam do końca, czy też... wydacie obcym przybyszom...? Zaręczam, że możemy zapłacić...

Wobec moich słów mężczyzna robi zafrasowaną minę. Jakby dłuższy czas zbiera myśli, aż raczy mnie dłuższą wypowiedzią:

– Od pewnego czasu chodzą plotki, że na pograniczu z obecnym Królestwem Czarnego Piasku doszło do wielkiej bitwy przegranej przez dominium. Sami przedstawiciele Akros zaprzeczają pogłoskom, ale, że tak powiem... czynią to aż nazbyt gorliwie... I oto na pobliskich terenach, gdzie zwykłem polować na dziką zwierzynę, dochodzi do najprawdziwszej bitwy! I rzeczywiście walczą tam, choć niezbyt mężnie... ciemnoskórzy ludzie. Tyle że tutaj z dominium z kretesem przegrywają... Ta... – Pogłębia w tonie głosu zakłopotanie, po czym z pewną nadzieją kontynuuje: – Mimo wszystko to pocieszające, że na tym kontynencie jest jeszcze ktoś, kto ma odwagę podnieść głowę oraz walczyć i jak domniemam, wie, o co walczy. Ja sam bowiem pamiętam jeszcze czas, gdy obecne tu ziemie pod władztwem dominium nie były zwane piątym dystryktem, a nosiły zaszczytne miano Viglum. Mieliśmy tu swoich jarłów oraz czciliśmy boskie i wojownicze, strzegące nas walkirie. – Pokazuje na stół, gdzie stoi drewniana figurka nagiej kobiety z tarczą, włócznią i skrzydłami wyrastającymi z jej skroni. Potem ciągnie dalej: – Również inne krainy białych ludzi miały na kontynencie Nelorum swych władców oraz własne,

boskie istoty. Na południu skośnoocy ludzie zamieszkiwali Orienum, wychwalając tam gniewne demony. Na północy było Sławum z ludźmi w grubych futrach i czczącymi duchy natury, ziemi oraz lasów. Wreszcie na zachodzie leżały Aglum i Romulum, gdzie Bogowie patronowali zaszczytnym cechom charakteru i atrybutom, jak siła, odwaga, czy miłość. Jednakże... wraz z nadejściem dominium to wszystko zostało nam odebrane. Zakazano oddawać cześć dawnym Bogom i narzucono nową religię dziesięciu przykazań, które to prawo, nieprzestrzegane, ściga nas nawet po śmierci. I cóż mogę powiedzieć...

– Możesz wreszcie przestać głądzić! – Gdzieś z wnętrza domu dobywa się pretensjonalny, tubalny, kobiecy głos. Na co starszy mężczyzna drapie się zakłopotany po głowie i wreszcie przechodzi do rzeczy:

– Wiedźcie, że jesteście naszymi gośćmi. I zgodnie ze starymi zwyczajami, którym sam hołubię, czujcie się tutaj, jak u siebie. Kimkolwiek naprawdę jesteście, nawet nie chcę poznawać prawdy. Ale zaopiekujemy się wami należycie i nic wam tu nie grozi. Zapłaty również nie oczekujemy, jakoś radzimy sobie...

– Ot, patrzcie go, bogacz się znalazł! – ryczy gromko ciągle nieukazująca się nam kobieta. Natomiast starszy mężczyzną tym razem drapie się po brodzie i z pewną nieśmiałością dodaje:

– Oczywiście drobnym podarkiem za gościnę byśmy nie wzgardzili. Tak też nakazują stare zwyczaje... A wtedy może i o lepsze lekarstwa byśmy się postarali i bardziej wystawne jadło dla chorych...

W odpowiedzi wyjmuję sobie z uszu złote kolczyki i wręczam starcowi. Ten wybałusza swe szare oczy, a ja składam w jego dłoniach jeszcze drobny naszyjnik z jadeitu zdobiący do tej pory mój dekolt. Na koniec zaś wypinam sobie ze skrzydełka nosa diament i także składam w darze. Jednocześnie dostrzegam prawdziwe wzruszenie w oczach naszego gospodarza. Naraz trzęsą mu się ręce i załamującym głosem w kierunku progu mówi:

– Oslund, najdroższa...

– Tak, stary grzybie?!

– Zarznij jagnię na mięso i parę kur na rosół, tylko tych najbardziej gdakliwych... Waleczne walkirie wreszcie nam pobłogosławiły. Chyba



naprawdę powróciły w te strony i oto będziemy świętować...

\*

Olsund oraz Vigun. To para osób, które dosłownie ratują nam życie i za to będę im dozgonnie wdzięczna. Przez to wręcz z radością pozbywam się swej biżuterii w podzięcie za wszystkie spotkane tu łaskawości, a jest ich wiele. Nikt poza poznanym przez nas starszym mężczyzną nas nie niepokoi, zaś jego żony ciągle nie widzimy z Muranem na oczy. Za to, co raz przygotowuje ona dla nas prawdziwe wspaniałości. I tak jak zwykłam nie spożywać mięsa, tak teraz bez opamiętania objadam się jagnięciną, to pijam tłustym, wspaniale przyprawionym rosołem z drobiu. Raczeni jesteśmy też gotowanymi warzywami z przydomowego ogrodu, kozim mlekiem oraz leśnymi owocami.

Nie, mimo wszystko nie udaje mi się przytyć ani trochę i ciągle posiadam ciało praktycznie pozbawione tłuszczu. Ale za to błyskawicznie powracam do zdrowia, nawet szybciej niż mój małżonek. Choć trzeba oddać, że on otrzymuje w plecy poważniejszą ranę. Jednak jego postrzał, jak i mój, oba zostają dokładnie oczyszczone, zabandażowane i goją się w najlepsze.

Żeby ten proces jeszcze przyspieszyć odpoczywamy, ile się da we wspólnym łóżku. Natomiast nadmiar czasu spędzamy, nie inaczej, tylko na czułych pieszczotach. Coraz częściej przyjmujemy pozycję, gdzie kładę się z głową przy pasie mężczyzny, a on ma twarz poniżej mej talii. I tak potrafimy się raczyć rozkoszą niezmiernie długo, co zapewnia nam mnóstwo przyjemności, a pozwala zachować siły.

Kilka razy nakrywa nas w sytuacji takich intymnych zbliżeń Vigun, ale nic sobie z tego nie robimy. Choć obserwujący nas mężczyzna najwyraźniej tak, bo nieraz słyszymy potem głośne, rozkoszne pojękiwania jego żony z innego pomieszczenia w domu. Zatem radzi jesteśmy, że pod tę strzechę wnosimy trochę gorącej miłości również dla innych osób.

Aż wreszcie jesteśmy już oboje na nogach. Wtedy goszczący nas mężczyzna oznajmia, że jego żona udała się do krewnych i dalej nie ukrywa powodu, dla którego od początku nas unika. Otóż jej syn, niedługo po swym ożenku i narodzinach córki, został zwerbowany przez dominium do wojska. Pewien czas temu wyruszył ponoć do tłumienia buntu w Królestwie

Czarnego Piasku i od tego momentu przestał dawać jakiegokolwiek znaki życia. Ponadto niebawem rozeszły się plotki o przegranej przez dominium bitwie.

Słyszając te wieści, robi mi się więcej niż przykro. Doskonale rozumiem panią Oslund i tym bardziej wybaczam jej cios, który niemal strzaskał mi czaszkę. Wiedząc to, co teraz, samej trudno byłoby mi patrzeć jej w oczy, szczególnie na myśl, że kto wie, być może osobiście uśmierciłam jej syna w bitwie?

To straszne myśli, jak wszystkie związane z wojną. Ta z kolei coraz silniej nas przyzywa. Musimy czym prędzej ruszyć na pustynię do dawnego władztwa Orienum i wywiedzieć się czy nasza armia dociera tam szczęśliwie i jest gotowa kontynuować kampanię wojenną.

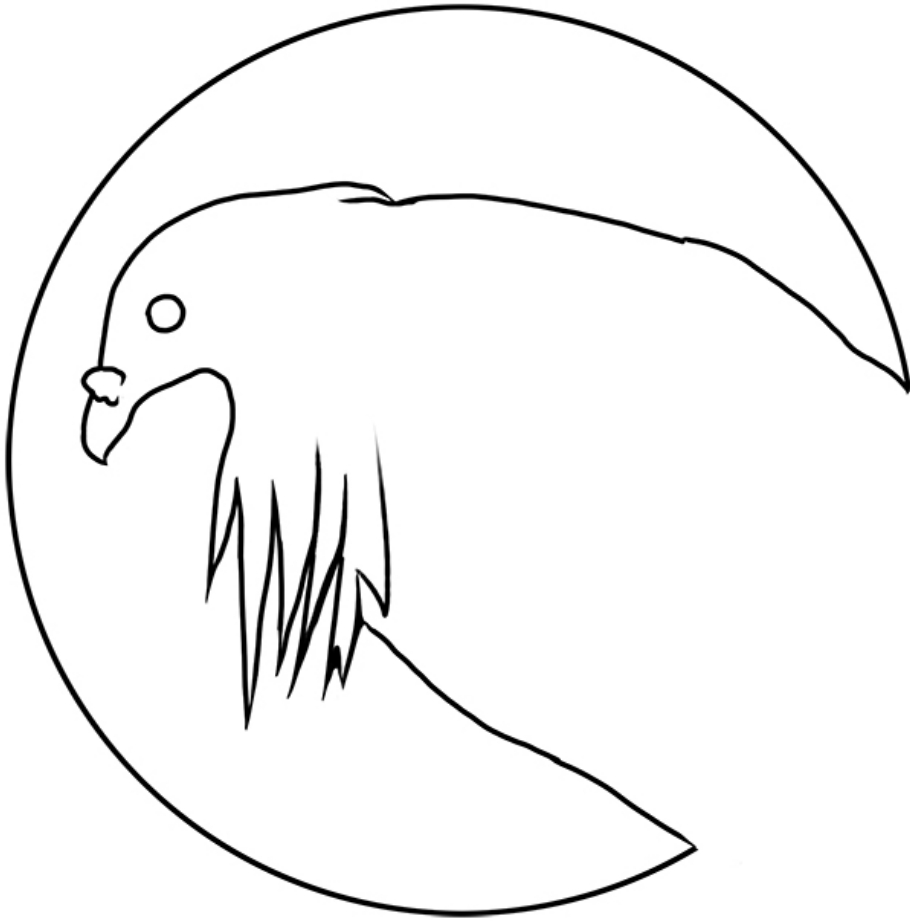
Wcześniej jednak, aby znieść trudy dłuższej podróży na jednym rumaku, podejmujemy lekki trening po tak długim okresie spoczywania niemal bez ruchu. Kiedy wiemy, że nasze rany już się nie otworzą, chadzamy razem nad brzeg strumienia, gdzie trenujemy z czasem coraz intensywniej. Także się kochamy i to namiętnie.

Właśnie kończymy fizyczne ćwiczenia i obmywamy swe ciała w chłodnym strumieniu. I naraz czuję za sobą Murana, który mnie obejmuje i składa dłonie na mych piersiach. Oboje jesteśmy nadzy i jak zwykle złąknieni siebie nawzajem. Dlatego stojąc tyłem do kochanka, unoszę nogę i zaplatam ją na jego udzie. Zaraz robię to samo z drugą, dolą kończyną. Muran przytrzymuje mnie w górze, ściskając za talię i w tej pozycji się kochamy. Aż po pewnym czasie staję na nogi i tym razem również zaplatam je wokół ud mego męża, ale kocham się z nim zwrócona ku niemu przodem. On podtrzymuje mnie za pośladki i rytmicznie unosi je, to opuszcza. Czyni to do czasu, kiedy to wychylam się mocno do tyłu. I czynię to do tego stopnia, aż moje ciało przyjmuje pozycję łuku z głową zwieszoną w dół i rękoma opartymi o brzeg strumienia. Za kolei nogi trzymam splecione wokół pasa kochanka. To bardzo stymulująca pozycja dla nas obojga, a jej efektem jest wielka przyjemność.

Tak spędzamy czas niemal całkowitego powrotu do zdrowia na jedzeniu, odpoczywaniu, ćwiczeniach, spaniu i kochaniu się ze sobą. Jest tak niezwykle i beztrosko niemal jak wówczas, kiedy się poznajemy i bierzemy

ze sobą ślub, nie mając tak naprawdę pojęcia, że okazemy się wręcz stworzeni dla siebie, dosłownie niczym legendarni Nail oraz Nelorum. Cud? Być może.

Jednakże obecnie w końcu opuszczamy nasz azyl, żegnając się wylewnie z naszym gospodarzem. Każemy mu gorąco pozdrowić żonę i obiecujemy wpaść jeszcze w odwiedziny. Naprawdę byśmy tego pragnęli. Ponadto na odchodne wyjawiam Vigunowi kim tak naprawdę jesteśmy, co zamierzamy oraz czego już dokonujemy. Następnie pozostawiamy osłupiałego z wrażenia mężczyznę i odjeżdżamy na jednym rumaku wprost na południe w poszukiwaniu na pustynnych piaskach naszej skierowanej tam armii.



## VIII. ORIENUM

Wraz z dojechaniem konno na półpustynne tereny niegdysiejszego władztwa Orienum z jego skośnookimi mieszkańcami o krągłych twarzach, poszukujemy wskazówek, które zaprowadzą nas do naszego wojska. Dzieje się tak, ponieważ obecnie nie posiadamy ze sobą żadnej mapy. Tutejsi ludzie są do nas nastawieni dość niechętnie, ale nieliczni decydują się wskazać nam drogę, choć nie za darmo. Czynią to za wyplatane z mych włosów złote nici całkiem okazałej wartości.

Dzięki temu docieramy do wspominanej przez pana Otto rzeki, będącej pierwotnym punktem docelowym naszej armii i wtedy ogarnia nas szczere zwątpienie. Albowiem rzeczne koryto jest niemal w całości wyschnięte, wszędzie wokół roznosi się odpychający odór gnicia, a w błocie płasają dogorywające ryby.

Zatem życiodajna rzeka, która miała nas uratować i wyżywić okazuje się okresowa. Czy Otto, domniemany zdrajca swych pracodawców o tym wiedział? W tej chwili sądzę, że tak i prawdopodobnie udało mu się nas łatwo przechytrzyć. Otóż za jego namową sama wydaję rozkaz, mogący się przyczynić praktycznie do unicestwienia mej armii i to bez żadnej bitwy oraz strat po stronie dominium. Nie mamy jednak wyboru i z Muranem jedziemy skrajem wysychającego, rzecznoego koryta, aby naocznie przekonać się, jaki też los spotyka na ten czas nasze wojska.

Po kilku dniach podróży w nieznośnym skwarze nasz rumak niemal już zdycha z wycieńczenia, a skromne zapasy jedzenia i wody szybko się kończą. Wówczas napotykamy na pustynnej otchłani tajemniczy przedmiot. To zawieszony na drewnianym palu ludzki szkielet pomalowany wielobarwną farbą. Zaś zamiast czaszki ma on drewnianą maskę z piórami przedstawiającą wizerunek postaci z płonącymi oczyma i długimi kłami wystającymi z ust.

W pierwszym momencie nie wiemy, co myśleć o tym znalezisku. Jednak zaraz wspominamy słowa Viguna o wierzeniach tutejszych, dawnych przybyszy, czczących chroniące ich demoniczne istoty. Domyślamy się więc, że napotykamy swoiste ostrzeżenie, lecz czemu i do kogo tak naprawdę skierowane? Tego nie wiemy. Jednakże wspólnie podejmujemy decyzję, aby się nie zatrzymywać i sprawdzić to u źródła, jedziemy więc dalej.

W końcu wymarłe już całkiem rzeczne koryto zaprowadza nas prawdziwą drogą śmierci wodnych stworzeń aż do naszej armii, a może raczej tego, co z niej pozostaje? Na skraju przysypanego piaskiem obozu widzimy sterty bielejących w słońcu końskich kości, a dalej szare namioty przywłaszczzone po wygranej bitwie z dominium. Dostrzegamy przy nich siedzących ciemnoskórych ludzi, którzy bynajmniej nie wiwatują na nasz widok. My z kolei oglądamy ich ogorzałe twarze, suche i spękane usta oraz zapadnięte oczy, w których zdaje się nie być wielkiej nadziei, a jedynie zwątpienie i smutek.

W tak ponurej atmosferze docieramy do centrum obozu, gdzie usytuowane są granatowe namioty oficerów. Tutaj wreszcie schodzimy z naszego rumaka i przyzywamy ludzi, aby skierowali nas do Sakkana, któremu przed opuszczeniem armii powierzam główne dowództwo. Niebawem jesteśmy do niego doprowadzeni i w cieniu wnętrza granatowego namiotu, wyrażając szczery smutek, generał samotnie nas wita:

– Niech pozdrowieni będą władcy Królestwa Czarne Piasku. Dobrze was znowu widzieć razem i zdjąć ze swych barków brzemię dowodzenia na tej przeklętej, jałowej ziemi naznaczonej wypalonym, bladym piaskiem.

– Witaj, Sakkanie... – Staję przy mężczyźnie w kwiecie wieku i całuję go w oba zarośnięte policzki. Następnie zapytuję: – Wróciliśmy i widzimy, że sytuacja wygląda naprawdę źle. Ale powiedz mi, drogi przyjacielu, w jak wielkie wpadamy tarapaty?

W odpowiedzi generał się zasepia na dobre i niespiesznie tłumaczy:

– Jak widzicie rzeka, która miała być dla nas darem obfitości i wybawieniem obraca się przeciw nam. Zamiast nas poić i żywić, w ostatnim czasie przynosi jedynie choroby, kiedy spragnieni i głodni ludzie

piją błotnistą ciecz i jedzą padnięte ryby... Dlatego podjąłem trudną decyzję o zabiciu niemal wszystkich koni. Tym sposobem żołnierze dostali świeże mięso do jedzenia, a do picia krew...

– A słońce...? – pytam z pewnym przestachem, choć myśląc głównie o mej słońcy Nail. Na co Sakkana trochę mnie uspokaja, oznajmiając:

– Ostatnie zapasy paszy i wody przeznaczyłem właśnie dla wspomnianych zwierząt. Wiem, że do końca pragnęlibyście je chronić... – Po tych słowach generała ponownie go obejmuję i klepię w podzięce po plecach. Potem od niego odstępuję, a wówczas do Sakkana czyni gesty mój mąż:

– „Czy walczyliście z kimś po drodze? Z dawnymi lub nowymi, białymi przybyszami?” – Oficer zaprzecza, kręcąc głową i smutno dodaje:

– Od początku walczymy jedynie z pragnieniem i głodem, palącym słońcem oraz... upadkiem morale żołnierzy w obliczu rysującej się przed nami klęski...

– Musi być jakiś sposób... – mówię w zadumie. Gdy wtem kątem oka dostrzegam u wejścia do namiotu przyzywającą mnie do siebie Lakszi. To po prostu bezczelne z jej strony przeszkadzać nam w naradzie i jeszcze wypraszać mnie na zewnątrz. Lecz na widok znanej mi, tak lubianej przeze mnie postaci, mimowolnie się uśmiecham. Dlatego przepraszam na chwilę rozmówców i wychodzę z namiotu.

Na zewnątrz dokładnie okrywam głowę pomarańczową chustą, chroniąc się dodatkowo przed promieniami słońca. Z kolej Lakszi wskazuje mi miejsce, które zacienia ściana namiotu. Idziemy tam, a wtedy kobieta rzuca mi się na szyję. Dłuższy czas ściska mnie mocno, aż kiedy luzuje ona uścisk, czyniąc to dość cierpko, sama zabieram głos:

– Wygląda na to, że twój kochanek... Otto, wprowadził nas prosto w matnię, na śmierć... – I ciągnę z narastającym wyrzutem: – Wysłałam cię do oficerów dominium, abyś wkupiła się w ich łaski i zdobyła dla nas jakieś cenne wieści. Lecz zamiast tego przywiódłś do nas mężczyznę niczym wilka do owczego stada i sprowadzasz nas na zgubę. Jestem tobą rozczarowana, Lakszi...

W odpowiedzi na te ganiące słowa kobieta, jakby zniecierpliwiona wywraca oczy do góry i w gorączkowo wyjaśnia:

– Otto nie wiedział, że rzeka wyschnie. Kiedy to się zaczęło dziać, był naprawdę przerażony, ponieważ w jego stronach rzeki nigdy nie wysychają!

– W naszych też nie, ale mimo wszystko... – mówię jęklonie, nie dając się całkiem przekonać, co do niewinności szpiega z dominium. Choć w obecnych okolicznościach ciężko go też jednoznacznie potępić. Z kolei moja służka tylko macha niedbale ręką, zupełnie jakbym poruszała jakiś błahy temat i natychmiast przechodzi do kolejnego:

– Wiedz, moja słodczy, najśłodsza ze słodkich, że tutaj, na tych pustkowiach, bynajmniej nie próżnowałam. Dzień w dzień modliłam się żarliwie do Nail oraz Nelorum, abyś wróciła szczęśliwie, oczywiście z małżonkiem, a do tego, by boskie istoty zesłały mi wiedzę, jak uratować twą armię. I oto powracasz, a ja mam dla ciebie w prezencie wielce pocieszające wieści!

– Jakże to...? – pytam z rezerwą.

– Otóż odwiedziłam pobliską osadę skośnookich, białych ludzi. Początkowo w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać. Ale wówczas zaczęłam im prawić, że nie jestem byle kim, tylko służką samej najjaśniejszej władczyni Królestwa Czarnego Piasku!

– I co dalej...? – Na mej twarzy rysuje się lekkie zaciekawienie.

– I nic, zupełnie nic! – wpala na to bezczelnie kobieta.

– Lakszi... – Kręcę z politowaniem głową. Ale niezrażona służka ma najwyraźniej coś istotnego w zanadru, bowiem nagle niemal świecą jej się oczy i radośnie z siebie wyrzuca:

– Nie dałam się jednak tak łatwo zbyć i wspomniałam skośnookim, że nosisz imię Anrea, jak jakaś Bogini. I że pewnego razu, kiedy spałaś, to twe oczy lśniły najjaśniejszym światłem, chociaż była już całkiem czarna noc. Wtedy ci skośnoocy kazali mi przysiąc na mych Bogów, że głoszę prawdę. To przysięgam, a co, bo głoszę, nieprawdą? I oni na to stwierdzili, że w takim razie pragną się z tobą spotkać i oferują, uwaga... wodę!

– Skąd mają mieć tutaj wodę, jeżeli można wiedzieć...?

– Ich szamani potrafią odnajdywać różdżkami głębinowe studnie pod pustynią!



– Ciekawe... A co chcą w zamian ci skośnoocy, tylko spotkanie...? – wyrażam kolejną wątpliwość.

– Niemal! – Uśmiecha się od ucha do ucha służka i niby od niechcenia dodaje: – Podobno pragną cię skonfrontować, moja słodczy, twą boskość, z jakimiś swoimi demonami, czy czymś takim. Macie razem wypić, czy przelać czyjaś krew, nie pamiętam dokładnie... Ale to chyba drobnostka za wodę, zgadza się?!

– Zaiste, drobnostka... – stwierdzam w głębszej zadumie i już wiem, że nie ma, co zwlekać i czas niezwłocznie się szykować na rychłe spotkanie.

\*

Do wspomnianego obozu tubylców udaję się wieczorem jedynie z Lakszi. Nie widzę sensu, aby dodatkowo niepokoić Murana. Z powodu opłakanego stanu naszej armii ma on obecnie dość własnej zgrzyoty.

Na miejscu w niewielkiej oazie, gdzie nigdzie nie dostrzegam wody, ale jest trochę palm, napotykamy kilkanaście białych jurt w kształcie kopuły. Pomędzy nimi kręci się nieco ludzi o skośnych oczach i ogorzałych twarzach wysmaganych gorącym wiatrem i wysuszonych ostrymi promieniami słońca. Widać też konie oraz wielbłądy. Jednak nie mam czasu dłużej przyjrzeć się obozowisku, ponieważ po zeskoczeniu z rumaków i ich spętaniu Lakszi chwytą mnie mocno za rękę i ciągnie do jednego z przenośnych domostw.

Wewnątrz stoję w półmroku w otoczeniu zapalonych zniczy oraz starych ludzi; mężczyzn i kobiet. Ich niezwykle pomarszczone twarze wydają się wręcz, jak zmumifikowane, a wyciągane ku mnie chude ręce przywodzą na myśl ogrodnicze grabie. Z kolei posyłane mi półuśmiechy są niemal bezzębne, zaś spoglądające oczy wydają się zasnute mgłą. A może te ostatnie wrażenie jest tylko złudzeniem, ponieważ w jurcie unosi się dość gęsty, gryzący dym z tłących się kadzideł?

Tymczasem Lakszi błyskawicznie mnie przedstawia i z tą chwilą dwie starszki w workowatych, biało-szarych szatach poprzesywanych czarnymi zdobieniami, podchodzą do mnie z dwóch stron. Chwytają mnie za ręce i ściągają na ziemię. Siadamy razem, a wówczas każda ze starych kobiet nacina mi dłoń swym szponiastym paznokciem. Na rozciętej skórze

uwidacznia się moja krew, której krople smakują kobiety, wkładając umoczone w czerwonej cieczy palce do swych wysuszonych ust.

Z pewną obawą, ale poddaję się tej nietypowej procedurze pomna tego, po co tu przybywam. Zatem, aby osiągnąć cel, jestem gotowa coś poświęcić, a nawet całkiem wiele. Lecz zaraz się okazuje, że ma ofiara za pomoc ma być znacząco większa niż raptem parę kropel krwi.

Staruchy, które siedzą koło mnie, kiwają z zadowoleniem głowami i porozumiewawczo spoglądają na innych starców w namiocie. Wtedy jeden z nich odkrztusza obrzydliwą flegmę, a zaraz gardłowo do mnie chrypi. Prawi o tym, że w bardzo zamierzchłych czasach przybyła do tutejszej sfery niebiańskiej Bogini o imieniu Anrea. Sprzymierzyła się ona z boskimi istotami, które pragnęły zawładnąć kontynentem Nelorum i narzucić mu swój dekalog. Wtedy rdzenni Bogowie przeprowadzili swój fortel, za którego sprawą zginęli oni sami, lecz także większość obcych, boskich istot. Niektórzy jednak przeżyli, unikając zagłady ze strony śmiertelności promienia. Wśród nich była wspomniana Anrea. Nadal wspierała ona osłabionych, obcych Bogów. I w pewnym momencie, jako wojowniczką zwróciła się przeciw ochronnym demonom strzegącym pustynnych ziem kontynentu Nelorum. Niespodziewanie pokonała najsilniejszego z nich i spętała swą mocą w pustynnych piaskach. Inne, pomniejsze demoniczne siły ukorzyły się wówczas przed potężną Boginią i za łaskę ocalenia oraz wiernej służby wyrzekły się ochrony tych ziem.

Tak przedstawia się podobno dawna historia, której część sama dobrze znam z legendy o Nail oraz Nelorum. Obecnie natomiast, skoro wszystko ponoć wskazuje na to, że ja sama jestem wspomnianą Boginią, Anrea, to według wypowiadającego się starca, jako jedyna mogę uwolnić najpotężniejszego z demonów pustyni, który ponownie roztoczy ochronę nad piaskową częścią kontynentu. Żeby tego dokonać, muszę ofiarować pustynnym piaskom swą boską krew. Tak wiele krwi, ile będzie trzeba do wyzwolenia z okowów demona. A być może nawet wykrwawię się na śmierć. Jednakże starzec z bezzębnym uśmiechem stwierdza, że przecież jestem Boginią, która zapewne jedynie dla kaprysu zeszła na ziemię pomiędzy śmiertelników. Więc swoją ewentualną śmiercią nie powinnam się przejmować, ponieważ niewątpliwie się odrodzę i to szczęśliwiej, a nie jako błakająca po pustyniach królowa. Ostatnia wzmianka ma być chyba

żartem, bo kończąc swą wypowiedź, starzec uderza się pocieszenie w wątlę kolana i szeroko szczyrzy, a przytakują mu inni leciwi bywalcy jurty.

Ja sam rachuję razem to wszystko, co tutaj słyszę, po czym wstaję, okręcam się na pięcie i po prostu zmierzam do wyjścia. Widocznie ten mój ruch jest tu nieoczekiwany, bowiem starcom naraz rzednie mina i to bardzo. Padają na kolana i wyciągają ku mnie pomarszczone ręce w gestach błagalnej prośby.

Lecz ja mam nieprzeparate wrażenie, że podobnie, jak w przypadku Otta jestem świadkiem jakiejś gry, gdzie bynajmniej nie jestem królową, a jedynie pionkiem w tej grze. I wszystko mi podpowiada, że jeżeli pójdę za podszeptem starców, to stanie się coś naprawdę złego. A w najlepszym razie przy ucieście pomarszczonych, pustynnych staruchów wykrwawię się tutaj na śmierć. Aczkolwiek z drugiej strony, jeśli nie uczynię nic, to niechybnie skażę tym samym mych ludzi na śmierć. Dlatego przystaję w progu namiotu i po chwili zadumy rzucam szorstko przez ramię:

– Woda to za mało. Poza jej dostateczną ilością, za udzieloną pomoc, pragnę żywności, koni i waszych wojowników na wojnę przeciw wspólnemu wrogowi, dominium.

W odpowiedzi starcy przeprowadzają pomiędzy sobą naradę, ale nad wyraz szybko dochodzą do konsensusu, godząc się bez targów na wszystko, o co zabiegam. Jakoś niespecjalnie mnie to cieszy, szczególnie gdy niedługo potem jestem poprowadzona na skraj osady w miejsce, gdzie na suchym piasku wyrysowane są różnorodne geometryczne symbole. Jedna z osób wskazuje mi, abym zajęła centralne położenie między znakami. Czynię to, a starcy wyrysowane znaki zalewają krwią, jak twierdzą zwierzęcą, tworząc misterny obraz odznaczający się na jasnym piasku czerwienią. Następnie wręczają mi zwykły nóż i sugerują przecięcie sobie żył w obu rękach.

Zastygam z drewnianym trzonkiem ściskany w dłoni i spoglądam na ostrze, moje żyły, które mam przeciąć, to na dobre przerażoną Lakszi, która klęczy pod palmą, chowając twarz w dłoniach. W końcu przenoszę wzrok na zachodzące na pustyni, jakby tonące w niej krwiste słońce i wykonuję jedno po drugim dwa głębokie nacięcia na przegubach nadgarstków. Rozpościeram ramiona, z których niczym z życiodajnych chmur spada

rzęsisty, czerwony deszcz, zraszając przestrzeń pode mną i stoję tak w znaku krzyża.

Wszyscy przyglądają mi się zastygli w swych pozach. Panuje absolutna cisza i nawet natura wydaje się nie przejawiać nagle żadnego dźwięku. Wszystko jest absolutnie zamarłe i mam wrażenie, że powoli i ja zbliżam się do śmierci. Albowiem z powodu znacznej utraty krwi szybko robi mi się słabo. Zaraz mam już zawroty głowy i zamazuje mi się widzenie. Czuję, że jeszcze chwila, a padnę pozbawiona przytomności. Gdy wtem jakaś siła, jakby porywa mnie w wysoko w przestrzeń.

Nie, nie całą, moje wykrwawiające się ciało pozostaje na dole. Jedynie mój duch zostaje wyrwany w przestworza. Lecz czuję, że nie mam nad nim żadnej kontroli. Przez chwilę zawisam bezwolnie w powietrzu, po czym ta sama siła, co uprzednio raptownie ściąga mnie ku ziemi i dalej w jej głąb w odmęty ciemności i zewsząd osaczających mnie ziaren pisaku, które bez światła słońca wydają się czarne niczym te z mej ojczyzny.

Naraz ruch mej duchowej, ulotnej powłoki ustaje i oto jestem w jakiejś podziemnej grocie. W tym miejscu ponownie doświadczam wrażenia posiadania własnego, kobiecego ciała. Ale tutaj nie jestem już sama, a spoczywam na łonie czegoś bliżej nieokreślonego, choć ze wszech miar mogę nazwać to odrażającym. Moje oczy lśnią teraz wielką jasnością i są przez to niczym para ognistych zniczy, dzięki czemu dostrzegam wokół siebie przelewające się i pulsujące pokryte krwią żywe mięso. Wyłaniają się z niego niezliczone kończyny, a także zarysy ludzkich korpusów, to znowu toną one w mięsnej matni. Spoczywając na tym czymś, czuję, jak wysnuwane ręce mnie obłapiają i wodzą po mym ciele, choć nie czynią mi krzywdy. Za to pozostawiają na mnie krew i śluzowate wydzieliny, przez które szybko cała zostaję oblepiona. Jednocześnie dostrzegam, że ta odrażająca istota spętana jest ciężkimi łańcuchami, zaś w mojej pokrytej śluzową breją i zakrwawionej ręce spoczywa klucz.

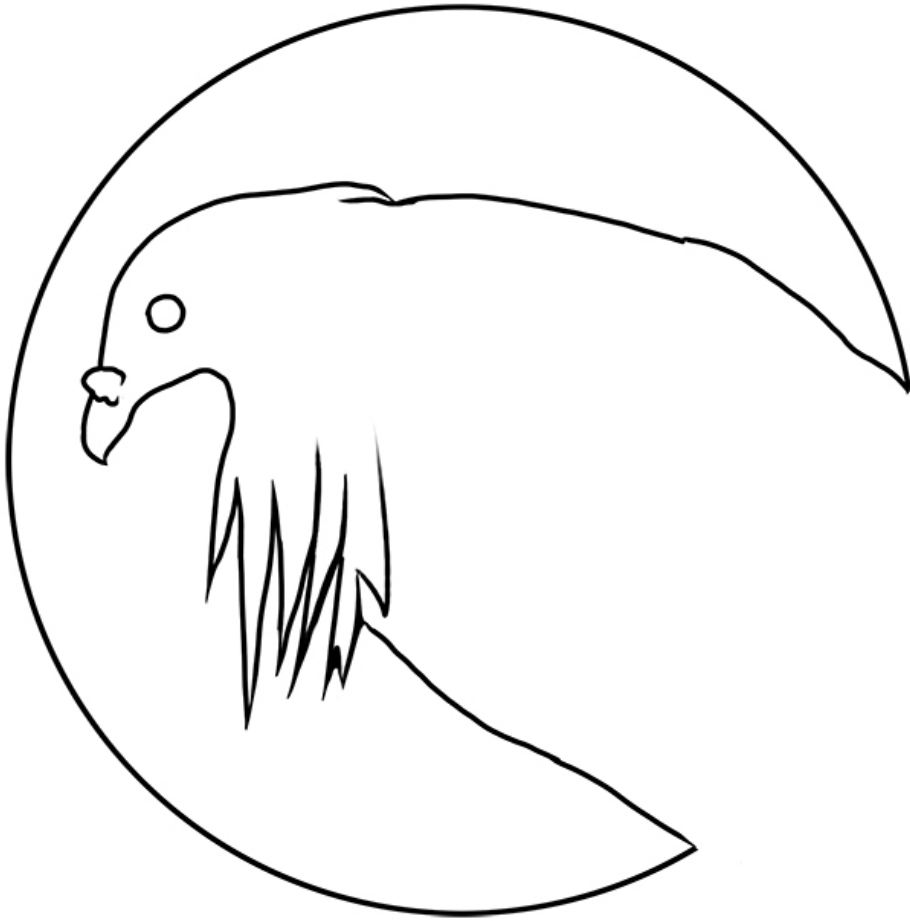
Obecnie jest już całkiem jasne, po co tu jestem i co powinnam uczynić, by spełnić wolę staruchów z pustyni za obietnicę wsparcia w tym przede wszystkim wody. Ciągle czuję, iż mimo wszystko cena jest zbyt wysoka. A jednak doraźny cel przeważa. Tak, ponad wszystko pragnę uratować mych pobratymców. Zatem odnajduję na poprzeplatanych ze sobą łańcuchach

więżący demona zamek i otwieram go, umieszczając w nim posiadany klucz.

\*

Podnoszę powieki, choć te zdają się, jak z ołowiu. Również całe ciało odczuwam, jakby ważyło niebotycznie wiele, bowiem praktycznie nie jestem się w stanie poruszyć. Doprawdy wszystko, na co mnie obecnie stać, to lekki uśmiech na twarzy. Pojawia się on niczym wschodzące słońce, gdy pierwsze, co napotykam wzrokiem to oblicze Murana. Jest ono stroskane, wyrażające szczere udrczenie i ból. Sama chcę coś powiedzieć, cokolwiek, ale bark mi ku temu sił. W tym zadaniu skutecznie wyręcza mnie Lakszi, której, chociaż nie widzę, to słyszę jej charakterystyczny, pospieszny szczebiot:

– Nareszcie się przebudziłaś, o jasna Bogini, słodczy ty moja i zapewne sama krewna Nail oraz Nelorum! I wiedz, że twe poświęcenie nie poszło na marne. Praktycznie umarłaś, wykrwawiając się na śmierć, ale w pewnym momencie jakimś cudem ożyłaś! Zupełnie jakbyś zbuntowała się samej śmierci! Ponadto pustynni szamani w podzięcie za twe działania wskazali nam trzy, trzy miejsca, gdzie mieliśmy wykopać studnie pełne wody. I oto są! Wody ci u nas na ten czas jest dostatek! A wspomniani szamani obiecali przydzielić nam kogoś ze swoich, kto dalej poprowadzi nas przez piaski i nie pozwoli paść z pragnienia, słowem ponownie wskaże, gdzie dokopać się do wody! I jeszcze dostaliśmy w prezencie obiecane stado koni oraz wielbłądów, co za szczodrość! Tylko skośnoocy wojownicy jeszcze do nas nie dołączyli! Szamani zarzekają się, że rozniesienie wieści po pustyni i uzyskanie wsparcia dla naszej sprawy musi trochę potrwać... – kończy rezolutnie moja wierna służka i z tą chwilą powieki same zamykają mi się na oczach. Czuję, że w swe objęcia ponownie chwyci mnie zaraz długi, ciężki sen. Ale to nic, to nic, słyszę, że najważniejsze się dokonuje. Ponadto Lakszi nic nie wspomina o uwolnionej przeze mnie demonicznej istocie. Więc w tym momencie nie muszę się niczym więcej przejmować. Mamy wodę oraz dodatkowe wsparcie i już niebawem wyruszymy w dalszą drogę, aby ponownie stawić czoła naszemu największemu wrogowi w postaci sił dominium. Pojawimy się znienacka na kontrolowanych przez Akros ziemiach dawnej, centralnej krainy Aglum i wcale nie słabsi, bo ciągle ze słoniami, a być może nawet wsparciem sojusznicznych wojsk.



## IX. AGLUM

Przecieram ze zdumienia oczy, kiedy opuszczamy pustynne tereny i na pograniczu z dawnym władztwem Aglum napotykam na drodze przemarszu naszej armii Otta. Nie samego zresztą, a na czele krótkiej kolumny wozów, które zwykle służą do przewożenia mleka w większych ilościach. Teraz jednak najwyraźniej transportują co innego, ponieważ szpieg z dominium wyjeżdża mi konno naprzeciw i jakby nigdy nic, wskazując na wozy, beztrąsko oznajmia:

– Woda, Wasza Wysokość, całkiem znacząca ilość, którą zamierzałem dostarczyć ci aż na pustynię. Ale... – zawiesza głos, widząc moje wojsko w całkiem dobrej kondycji i kończy zdanie: – chyba już mej wody nie potrzebujesz... Za to zwerbowanym do transportu wieśniakom przydałaby się stosowna zapłata za poniesione trudy... – Zerka ukradkiem na woźniców. – I... to oczywiście cudownie znowuż cię widzieć całą oraz zdrową, pani... – Całą tę dziwnie pokorną mowę, jak na Otta przyjmuję z cierpkim wyrazem twarzy i znowu kompletnie nie wiem, co myśleć o tym mężczyźnie. Bowiem albo jest on doskonałym lawirantem i skutecznie ubezpiecza się na każdą możliwą okazję, albo też naprawdę mi sprzyja i chciał nieść pomoc. A jeżeli mam do czynienia z tą drugą sytuacją, to za co miałabym go karać? – Tak, rzeka wyschła, ale tego nie sposób było odczytać na mapach: – mówi, jakby czytając w moich myślach Otto. Jednocześnie na pewno nie zamierzam go całkiem rozgrzeszać, dlatego sama, co następuje, oświadczam:

– Twoja woda jest już dla mnie zbędna. Natomiast za poniesiony trud najęci przez ciebie ludzie mogą zatrzymać swój drogocenny transport. Nic mi po nim.

– Ale! – Otto czyni cierpiętniczy wyraz twarzy, zupełnie jakby ktoś właśnie brał go na okrutne męczarnie. Ja zaś częściowo go uspokajam:

– Pokryję połowę obiecanej przez ciebie zapłaty. Jakoś to twym najętym wieśniakom będzie musiało wystarczyć. To moje ostatnie słowo.

– Może jednak, szlachetna pani, mnie nie doceniasz... – oświadcza z kolei tajemniczo szpieg z dominium i ze sprytnym uśmiechem kontynuuje: – Wiedz, że cały czas szczerze wierzyłem w twój szczęśliwy powrót. W związku z tym w dawnym władztwie Aglum bynajmniej nie próżnowałem. I oto mam dla ciebie, najjaśniejsza, wielce ciekawe wieści... – Kłania mi się nad wyraz nisko.

– Jakie to wieści, waść, niesiesz ze sobą...? – zapytuje nieco zaintrygowana. Otto z pewną siebie miną wyjaśnia:

– Dotarłem do tajnego bractwa tych ziem zwanego Panami Pięciu Cnót. Członkowie tej organizacji potajemnie hołdują tradycjom swych przodków i ciągle dalecy są od zgody na podporządkowanie się władzom z dominium. Opowiedziałem im więc o tobie, pani... Rzecz jasna także o twym zacnym małżonku... – Przenosi na moment wzrok na spokojnie zasiadającego koło mnie na koniu Murana i ciągnie dalej: – Oni jednak, z niewiadomych mi przyczyn, to w tobie, pani, upatrują osobę, z którą pragną negocjować i być może zaoferują nawet znaczącą pomoc, o ile rozmowy przebiegną pomyślnie. A siła i pozycja bractwa, choć skryta, jest zaiste na tych ziemiach znacząca...

Po tym wywodzie ozdabiam swą ciągle bladą twarz po wydarzeniach na pustyni rozczulającym uśmiechem, albowiem wygląda na to, że los znowu nam sprzyja. Spoglądam jeszcze na mego małżonka, a on wymownie kiwa mi głową na zgodę. Zatem decyzja podjęta. Otto, niezależnie od tego, co tak naprawdę knuje, ma tym razem szczęście. Ponieważ w podzięce za jego starania kupuję od wieśniaków i to za wygórowaną cenę całą przytaszczoną przez nich wodę.

Aczkolwiek, zanim udamy się na umówione już przez zapobiegliwego szpiega z dominium miejsce spotkania z bractwem, wcześniej, korzystając z posiadanego obecnie nadmiaru wody, zamierzam zrobić z niej należyty użytek. Dlatego zakupuję jeden z wozów i każę go zdemontować, a rzemieślnicy w moim obozie tworzą z niego olbrzymią balie. Słudzy podgrzewają znaczną ilość wody i napełniają nią skonstruowane naczynie.



W efekcie, kiedy rozbijamy na noc obóz, ja z Muranem, po wielu dniach spędzonych na suchych piaskach pustyni, wreszcie zażywamy długiej kąpieli. W świetle płomieni świec otaczających balię pluskamy się rozkosznie jak dzieci, śmiejąc się i ochlapując siebie nawzajem. Potem, już nasyceni tak dawno niedoświadczanym uczuciem wilgoci na skórze, przytulamy się do siebie przy brzegu napełnionego wodą naczynia.

Osobiście opieram się plecami o tors Murana, zamykam oczy i odczuwając wielką błogość, jestem raczona przez męża zmysłowym, odprężającym masażem. W szczególności niesie mi ukojenie dotyk mych dłoni, jak również pleców, choć i inne części mego ciała doczekują się należytnej uwagi.

I chociaż idziemy na krwawą wojnę, zagłębiając się coraz bardziej we wrogie terytorium, to mając siebie nawzajem, jest nam naprawdę dobrze. Czujemy, że wspólnie możemy osiągnąć doprawdy wiele i wspierając się jeszcze zatknijemy flagę Królestwa Czarnego Piasku na zdobytych przez nas murach Nowego Akros. A po drodze wyzwolimy zniewolone władztwa dawnych przybyszy; Viglum, Orienum, Aglum, Sławum oraz Romulum. Na koniec zaś powrócimy w chwale do ojczyzny, aby żyć tam w dostatku i pokoju w otoczeniu naszej miłości i jej owoców, jakimi będzie gromadka uroczych dzieci.

\*

Terytorium dawnego Aglum jest doprawdy piękną i bogatą krainą. Dominują tu pejzaże dojrzewających zbóż, sadów i pastwisk dla bydła. Teren jest równinny z lekkimi wzniesieniami i nie ma tu zbyt wielu lasów. Dzięki temu nie musimy się kłopotać o potencjalną zasadzkę, bowiem nasi zwiadowcy bez trudu dostrzegliby bardziej liczebnego wroga na znaczącą odległość.

Tak więc nasza armia, do której ciągle nie dołączają ludzie pustyni ani też żadni inni, biali ochotnicy, maszeruje nie niepokojona na północny zachód. Niebawem nasze położenie to już samo serce kontynentu. Miejsce skąd zgodnie z legendą pierwotnie wzbiła się w przestrzeń boska para – Nail oraz Nelorum pod postacią pary ptaków; gołębiczy i zimorodka. Tutaj, zgodnie z zapowiedzią Otta, w starym zamczysku mają nas oczekiwać członkowie tajemnego bractwa.

Będę szczerą, ciągle nie do końca ufam szpiegowi z dominium, dlatego w budzącej respekt, strzelistej budowli spodziewam się potencjalnych kłopotów, a może nawet zamachu na życie. W związku z tym oprócz generała Sakkana i Murana towarzyszy mi liczny oddział oddanych i zaprawionych w walkach żołnierzy. Taki na miejscu stawiam warunek, iż bez mego wsparcia nie przekroczą żelaznych bram za zwodzonym mostem ponad rozległą fosą. Me życzenie zostaje bez przeszkód spełnione i tak jesteśmy wpuszczeni do środka.

Wewnątrz napotykałyśmy strażników w lśniących zbrojach oraz liczne służby w białych koszulach i spodniach. Są to ryszunki oraz stroje bardzo odmienne od tych z moich rodzimych stron. Także wystrój korytarzy przywołuje na myśl zdecydowanie inną kulturę. Od pozbawionych tkanin zimnych murów bije swoista surowość łagodzona jedynie zawieszonymi na ścianach obrazami przedstawiającymi zamożne osoby w wykwintnych szatach i z reguły konno w pełnym uzbrojeniu. Czasem dane jest nam również podziwiać marmurowe popiersia jakichś mężczyzn. Aż docieramy do głównej sali w zamku.

Tutaj wszystko wygląda podobnie, tyle że oddane jest z większym przepychem i bardziej dostojnie. Poza tym oprócz służby i strażników wita nas pięć osób. Każda z nich posiada jakby habit innego koloru i zwierzęcą maskę na twarzy. Są to odpowiednio barwy bieli, srebra, czerwieni, zieleni oraz czerni. A ubrane tak postacie demonstrują kolejno maski psa, łani, lwa, niedźwiedzia oraz ptaka. I skłamałabym, twierdząc, że ten niezwykle widok z niczym mi się nie kojarzy i niczego nie przypomina. Tak, znam odpowiedniki tych postaci z moich snów, choć nie mam pojęcia, kim takim mogą one być.

Jednak mą wiedzę szybko uzupełniają przebrane osoby, objaśniając mi powód mego wezwania w to miejsce, jak i znaczenie ich własnych ubiorów. Dowiaduję się zatem, że z pustynnych terenów dawnego władztwa Orienum rozchodzi się wieść, iż jestem odrodzoną Boginią z kontynentu Pendorum. Tam w zamierzchłej przeszłości z mężem Abezzalem spłodziłam ponoć piątkę boskich dzieci; ludzkich, skrzydlatych postaci z obliczami prezentowanych tu na maskach zwierząt. I los sprawił, że moi półzwierzęcy potomkowie niegdyś odwiedzili właśnie kontynent Nelorum, po czym zaprosili tutejszych przedstawicieli na ziemię własnego

kontynentu w zamian za oddawaną im boską cześć. Wówczas każda z dawnych krain z Nelorum wysłała w wyznaczonym kierunku wielką armadę statków z osadnikami oraz żołnierzami i słuch po nich zaginął.

Jednakże stało się tak, że ten kontynent opuścili wtedy wszyscy podżegacze, bękarci i roszczeniowi arystokraci, czy pretendenci do tronów oraz tytułów. Tym sposobem tutejsze krainy zostały na swój sposób oczyszczone i pamięć o półzwierzęcych Bogach z Pendorum zachowała się tu jako symbol czystości i wyzwolenia. W związku z tym ja sama, jako boska Anrea, matka wspomnianych półzwierzęcych istot, według bractwa zapewne przybywam tu, aby wyzwolić z jarzma pradawne krainy i przegnać stąd wrogie dominium. Przez to oferują mi rozliczne wsparcie, także militarne, ale stawiają jeden zasadniczy warunek. Mianowicie muszę udowodnić, że jestem tego zaszczytu najbardziej godna, czyli mam pokonać innego, boskiego czempiona. Tak oto wszem i wobec ogłoszone mi zostaje, że innym pretendentem do wyzwolenia kontynentu jest nie kto inny, jak Bóg Abezzal, mój boski małżonek.

Od natłoku przytłaczających, spektakularnych wieści dostaję zawrotów głowy, ale wymownie wyjmuję zza pasa parę mych sierpów. Rachunek jest dla mnie bowiem bardzo prosty. Mam pokonać jednego mężczyznę, do którego w tej chwili nic nie czuję, a jego imię nic mi nie mówi. W zamian moja armia otrzyma znaczące wsparcie, a tym samym wielce zwiększę szansę na nasze ostateczne zwycięstwo i uratowanie tysięcy zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Osoby na czele bractwa z maskami zwierząt na twarzach przyjmują moją decyzję z zadowoleniem i się cofają, czyniąc w środku komnaty miejsce. Nie mija chwila, a pozostaję w centrum uzbrojona w oczekiwaniu na przeciwnika. I oto pojawia się on, podobno mój boski małżonek, niejaki Abezzal.

Spoglądam na starszego, białego mężczyznę, który posiada nietypową, potężną zbroję, ale bez hełmu. W pierwszym momencie nie rozpoznaję twarzy postaci, wszak ma ona coś niezwykłego w oczach, pewną świetlistość. To właśnie to spojrzenie pamiętam z mych licznych snów. Tak, to między innymi wzrok skrzydlatej osoby, z którą w moim śnie walczyłam kiedyś w przestworzach, gdzie uśmierciliśmy siebie nawzajem. Potem zaś

potykaliśmy się ze sobą niezliczoną ilość razy, powielając schemat wzajemnego zabójstwa okraszonego bólem i narastającą wrogością.

Wszystko to się powtarzało, ale też w końcu odnalazło swój kres – błędny krąg został przerwany. Przypominam sobie sen z ostatniej nocy, gdzie podczas wielkiej bitwy daruję życie pewnemu człowiekowi w zbroi, a on odwdzięcza się, odstępując od dalszej walki.

Jednak chociaż to były sny, teraz dociera do mnie, że tak naprawdę zawierały w sobie obrazy z przeszłości, jak wizje. Zaś co się wydarzy obecnie? Zaraz będziemy świadkiem dalszego ciągu tej historii... – myślę tak i demonstruję w górze mą śmiertcionośną broń.

Niestety muszę się zmierzyć z przeciwnikiem, który dzierży dwuręczny miecz, a więc oręż o dalekim zasięgu i niezwykle niebezpieczny wobec moich sierpów. Dlatego spoglądam jeszcze z ukosa na Murana. Ten ma śmiertelnie poważną minę i czyni do mnie dokładne gesty obrazujące, jakie wspólnie ćwiczyliśmy sekwencje ruchów przeciw długim ostrzom. Tak pokrzepiona kiwam mu głową na zgodę i aby z miejsca zyskać przewagę, sama niespodziewanie atakuję!

Zanim Abezzal weźmie na mnie zamach, już jestem przy nim i zamaszyście uderzam sierpami na wysokości jego twarzy. Ten gwałtownie uskakuje do tyłu, ale niezdarnie potyka się o własne nogi i pada jak długi na plecy. W mgnieniu oka pochylam się nad nim i hakiem sierpa blokuję ostrze przeciwnika, zaś wypukłe ostrze swej drugiej broni błyskawicznie przykładałam do obcego gardła.

Po komnacie rozchodzą się pomruki uznania wobec mego skutecznego ataku, a mi pozostaje jedynie zwieńczyć dzieło jednym, zdecydowanym cięciem. Zapewne powinnam to uczynić, ale nie robię tego. Zamiast z zimną krwią zabić przeciwnika, odstępuję od niego i wskazuję, by powstał.

Na ten mój gest rozlegają się oklaski i wiwaty na moją cześć. Ja z kolei, z jednej strony mam naraz prawdziwy dylemat, bowiem uświadamiam sobie, że nie pragnę ponownego zabójstwa Abezzala, przecież już nie. Z drugiej strony to droga do silnego sojuszu z bractwem, więc co powinnam uczynić?

Moje wątpliwości szybko i skutecznie rozwiewa miecz przeciwnika, który z zawrotną prędkością zostaje puszczony w ruch w moją stronę. Z

wielkim trudem paruję hakami sierpów przelatujące koło mnie ostrze i teraz to ja jestem w defensywie i to głębokiej. Cofam się i coraz bardziej pochylam, chcąc jakby zmniejszyć swą górującą sylwetkę i tym samym ochronić się przed gradem ciosów.

Aż raptem Abezzal skraca do mnie dystans i już zamierzam przeorać mu twarz ostrzem sierpa, kiedy mężczyzna uderza mnie czołem z byka w pierś i od razu poprawia pięścią w podbródek. Od nagłego wstrząsu moje ciało zostaje odrzucone do tyłu, a głowa podskakuje do góry i nagle za nic nie mogę utrzymać równowagi, czując się jakby zawieszona w powietrzu.

Padając, w ostatniej chwili bezradnie chwytam się postępującego ku mnie przeciwnika, obejmuję go i ściągam razem ze sobą na twardą posadzkę. Ciągłe wiruje mi w głowie i taczam się po podłodze z Abezzalem. Po drodze wypuszczam z dłoni sierpy i otrzymuję ciosy pięściami w potylicę to plecy. Gdy raptem sama otwieram szeroko usta i z całych sił zatapiam zęby w gardle rywala. Ten łapie mnie rozpaczliwie za głowę i ze wszystkich sił próbuje oderwać od swego ciała. Ja zaś czuję metaliczny posmak krwi przeciwnika w ustach i niczym w dzikim zwierzęciu wzmaga to jeszcze we mnie agresję. Dlatego wściekle szarpie zębami, poszerzając ranę. A kiedy wewnątrz mych ust na dobre zalewa krew, luzuję uścisk zębów i klękam już bez zawrotów głowy.

Abezzal chwytą się rozpaczliwie za gardło, próbując zatamować silny krwotok. Ja sama ciężko oddycham i sięgam po leżący na posadzce sierp. Unoszę go nad leżącym i wykrwawiającym się rywalem, po czym po chwili wahania chowam swoją broń za pas. To samo czynię z drugim egzemplarzem mego oręża. Następnie ociężale wstaję i wskazując na rannego Abezzala, rzucam do zastygłej w napięciu widowni:

– Opatrzcie go, szybko, to koniec walki.

Zaraz jest przy mnie Muran z Lakszi i razem z nimi idę do naszych ludzi. I w tym momencie doprawdy nie wiem, co staje się moją wygraną, a co przegrywam. Ponieważ moim miłosierdziem być może właśnie przekreślam szansę na sojusz z bractwem i ostateczne zwycięstwo z dominium. Ale naraz docierają do mnie zupełnie nowe prawdy, które ostatecznie dyktują mi takie, a nie inne postępowanie.

O co bowiem właściwie będę walczyć z dominium, jeżeli po drodze na rozkaz mam kłaść trupem niewinne ofiary? I jaki świat tym samym wywalczę i czym będzie on lepszy od obecnego pod jarzmem wszechwładnego Akros? – myślę tak, idąc bynajmniej nie z opuszczoną głową, ale też jej nie zadzierając. I już zamierzam skierować się w drogę powrotną z zamku, ale obcy strażnicy u wyjścia zagrażają mi drogę halabardami.

Nie chcę tego, lecz jeżeli zostanę sprowokowana, to stoczę kolejną walkę i tym razem nie obiecuję, że kogoś oszczędzę – dochodzę do takiego wniosku, obnażając gniewnie zęby czerwone od krwi. Jednak zaraz się okazuje, że nie o następną konfrontację tu chodzi, a o wyjaśnienia. Te padają zza moich pleców za sprawą czterech męskich i jednego kobiecego głosu:

– Za wzniosłą sprawę podejmujesz się walki na śmierć i życie. To prawdziwa odwaga.

– To przejaw siły pokonać mocnego przeciwnika.

– Honorem jest nie zabić go mimo dwukrotnej okazji.

– To także okazane miłosierdzie.

– Zatem masz świętość Bogini w sercu i łączysz w sobie wszystkie wymagane przez nasz przymioty. Przyjmij więc zaszczyt naszej służby u twego boku. Odtąd jesteśmy ci wierni, dopóki walczyć będziesz o wyzwolenie kontynentu Nelorum.

Z pewną rezerwą patrzę przez ramię na te nieco teatralne przedstawienie i mowy chowających się za maskami postaci. Potem czynię skiniecie głową na znak, że przyjmuję wspomniany zaszczyt.

Dalszy czas w zamku spędzam na ucztach na moją cześć i jednocześnie swoistej, wojennej naradzie. Od czterech mężczyzn i kobiety, którzy już zdejmują z twarzy swe zasłony, dowiaduję się wielu istotnych kwestii. Przede wszystkim tej, że ciągle nie napotykam na swej drodze żadnych sił dominium, ponieważ zbiera ono wielką armię na zachodzie, aby tym razem bezwzględnie mnie zmiażdżyć. Słyszę również o tajemniczej, lepszej broni nowych, obcych przybyszy, która ma im zapewnić skuteczną walkę ze słoniami, a opartą o żywy ogień. Ponadto na kontynent Nelorum przybywają podobno elitarne jednostki z dominium tak zwani Strażnicy

Jedności. Na zakończenie zaś dochodzi do mych uszu, że tutejsze bractwo, choć dysponuje niezbędnymi środkami, aby mi pomóc, to potrzebuje czasu, by je zgromadzić.

Godzę się na to, nie mam wyboru. A zanim podejmę z Muranem decyzję, jaką teraz obierzemy drogę, udaję się jeszcze porozmawiać z Abezzalem. W jakiś sposób czuję, że powinnam to zrobić.

Zastaję go samotnego, spoglądającego w zadumie przez wysokie okno z zamkowego korytarza. Staję koło niego, mężczyzny nieco niższego ode mnie i przez pewien czas wodzę wzrokiem tam, gdzie on, na ziemię, to ku niebiosom i z powrotem. Długo nie wypowiadamy nawet jednego słowa i nie spoglądamy na siebie nawzajem. Aż ciągle podziwiając widoki za oknem, nawiązujemy niespieszną rozmowę.

Abezzal gratuluje mi dotkliwego pogryzienia jego szyi i zaznacza, że nie takie otrzymał już ode mnie rany, a zwykle były one śmiertelne. Przyjmuję te wyrazy uznania z jego strony i winszuję z powodu wybicia mi zęba ciosem pięścią w podbródek. Zaznaczam, że w ostatnim czasie mój niedoszły mąż już się przyczynił do ograniczenia mego użębienia, a teraz to samo zrobił obecny i boski. Napominam, iż wstawię sobie zęby z kości słoniowej, więc nie musi się troszczyć o uszczerbek mojej urody. Następnie bez ogródek proponuję między nami definitywny rozwód. Abezzal wzdycha ciężko, ale czyni to z wyraźną ulgą i ciągle na mnie nie patrząc, gdzie i ja nie spoglądam na niego, się godzi.

Tak oto za obopólną zgodą rozwiązujemy łączącą nas od tysięcy lat więź, wybaczamy sobie ostatecznie nasze winy względem siebie i stajemy się na swój sposób dodatkowo wolni. Jest w tym coś ożywczego i budzącego nadzieję – zamknięcie pewnego rozdziału. Teraz bowiem, możemy otwierać w naszym istnieniu nowe etapy.

Jeżeli o mnie chodzi, to swe istnienie łączę obecnie nieodzownie z kontynentem Nelorum i to jego mieszkańcom pragnę nieść ulgę. Sama natomiast, dla samej siebie, łaknę miłości ze śmiertelnikiem imieniem Muran.

Z kolei Abezzal nie powiadamia mnie, co też dalej zamierza. Jednak najwyraźniej nie życzy mi już źle, ponieważ ostrzega mnie, czyniąc to na kilka sposobów. Opowiada mi między innymi o całym świecie i licznych

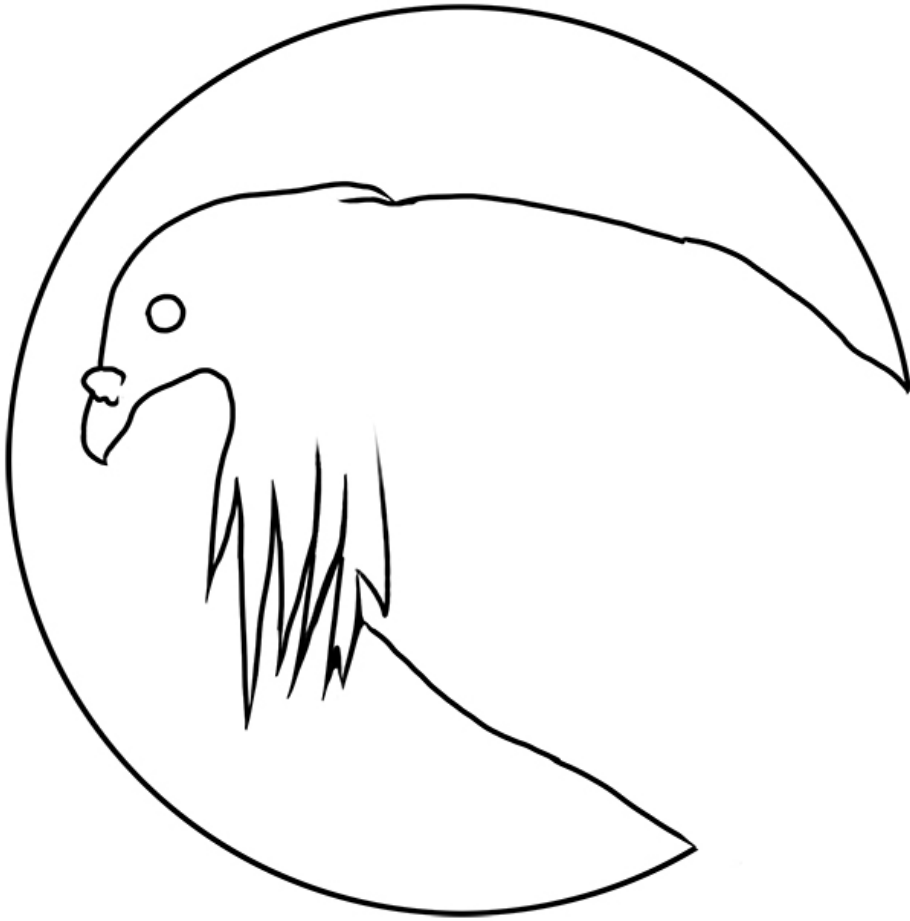
kontynentach, gdzie dominium Akros za sprawą czegoś, co nazywa technologią, opanowuje kolejne krainy i rdzenną ludność poddaje swym prawom, zakazując jej własnych tradycji. Lecz według mego boskiego małżonka, wiele dzieje się również i w świecie Bogów. Otóż stwierdza on, że siła magicznych mocy, jak i boskości na świecie słabnie, a oskarża o to właśnie ludzi z Akros. Zgadza się on z osądem, że osoby z dominium pierwotnie zawierają układ z grupą Bogów, która niegdyś pragnęła zająć kontynent Nelorum, kiedy i ja im sprzyjałam. Jednakże na ten czas władcy Akros urosli podobno do takiej potęgi, iż zrywają dawne, boskie sojusze i przystępują oni do kreowania własnej religii z jednym, najwyższym Bogiem, który to ma definitywnie pozbawić boskości wszystkim dotychczasowych. Nowy Bóg ma się przyczynić w nowo stwarzanym wymiarze do powstania tak zwanego piekła i nieba, gdzie do tego pierwszego trafią na wieczne potępienie wszyscy bez wyjątku grzesznicy i istoty sprzeciwiające się prawom Akros. Z kolei do pośmiertnej, idealnej krainy mieliby być kierowani po swym ziemskim życiu wierni słudzy dominium.

Zaiste to spektakularne wieści, a ich skala zapewne powinna przyprawić mnie o zawrót głowy i to znacząco większy niż po uderzeniu w mój podbródek Abezzala. Ja jednak, choć już wierzę swą boskość i sprawy z nią związane, to bynajmniej nie czuję się Boginią, wcale. W przeciwieństwie do Abezzala nie pamiętam zbyt dobrze swych przeszłych żywotów, a ich wyrywki kojarzę jedynie ze snów. Od zawsze za to utożsamiam się z byciem ciemnoskórą kobietą, jedną z przedstawicielek ludu czarnego piasku i to temu ludowi pragnę przede wszystkim przynieść ukojenie i o jego przyszłość się należycie zatroszczyć. Zaś każdą przeszkodę, jaka pojawi mi się na drodze, w tym wszechwładne dominium Akros, zamierzam bez wahania pokonać.

Aczkolwiek teraz, zanim moi nowi sojusznicy z Orienum i Aglum zewrą szeregi, aby mnie wspomóc, nie chcę jeszcze przystępować do walnej bitwy z wrogiem, który jak słyszę, znacząco urasta w siłę. Moją postawę podziela tym razem Muran i tak udajemy się dalej nie na zachód, a prosto na północ, gdzie czasem pojawia się coś niezwykłego zwanego śniegiem. I właśnie tam, w chłodnej krainie zwanej niegdyś Sławum, pragniemy poszukać



kolejnych ludzi, którzy wesprą naszą zbrojną kampanię i zostaną naszymi następnymi sprzymierzeńcami.



## X. SLAWUM

Wkraczamy na tereny północy, gdzie roślinność jest uboższa i niższa zarazem. Lecz dopóki nie brniemy w śniegu, jestem spokojna o paszę dla słońi oraz wierzchowców. Mimo wszystko nie jestem przyzwyczajona do dojmującego chłodu i dodatkowych koców oraz futer w swym ubiorze. Czuję się przez to w tej krainie dość nieswojo. Dlatego cieszę się z szybkiego powrotu Otta z głębi dawnego władztwa Slawum. I niezmiernie ciekawa wieści od niego natychmiast przyzywam go do siebie.

Podjeżdża na koniu do mnie, która obok Murana, także zasiadam na rumaku i przewodzę naszej wielotysięcznej armii. Wtedy zwracam się do szpiega rodem z dominium, choć jak mam nadzieję obecnie, zgodnie z jego zapowiedziami, służącego już mi samej:

– Odnalazłeś przychylnych nam ludzi? – wypalam bez ogródek. Na co Otto wydycha z płuc więcej powietrza, co owocuje na chłodzie gęstą parą przed jego ustami i wskazując na poszarzałe niebo, wyjątkowo zrzędlawie oznajmia:

– Dziękuję za troskę... Po drodze szczęśliwie unikałem pożarcia przez niedźwiedzia, przeżyłem kąpiel w lodowatym strumieniu po zarwaniu się pode mną leciwego mostu. Wreszcie opady gradu wielkości kurzych jaj nabiły mi raptem tylko parę guzów...

– Panie Otto... – mówię naraz przepraszająco i dobrotliwie, ponieważ w subtelny sposób wytknięto mi brak manier. Lecz jednocześnie niepokoi mnie to, jak zręcznie przybyły mężczyzna znów zmienia swój charakter, zupełnie jakby co raz jawił mi się inną osobą z odmiennym usposobieniem. W obecnych okolicznościach te niespodzianki nie są przeze mnie mile widziane, bowiem doświadczam wrażenia, iż co raz wchodzę w kontakt z samym kameleonem i nie wiem tak naprawdę, co ostatecznie skrywa pod swą zmienną powłoką. Jednakże po jego dotychczasowych wskazówkach

doprawdy trudno mi jest powierzyć misję w odległych krainach komu innemu. Więc pomimo targających mną wątpliwości zdaję się właśnie na Otta. I po chwili ciszy ponownie go podpytuję:

– Czy kurtuazyjne powitanie możemy uznać już za zakończone i przejść do sedna sprawy...?

– Sprawa i jej sedno, oczywiście... – powtarza urażony mężczyzna i zaraz całkiem rzeczowo, choć z wyższością, mówi: – Pomimo czynionych przez administrację dominium usilnych starań, twa sława, o pani, a przede wszystkim wieści o twej armii przemierzającej kontynent, rozprzestrzeniają się do najdalszych zakątków Nelorum. W związku z tym i tutaj jesteś już oczekiwana. I nie inaczej, nie tylko jako wyzwolicielka, lecz również Bogini. – Kłania się z dystansem mężczyzna.

– Dziękuję za te słowa. – Cechują mnie tym razem nienaganne maniery i zaraz dodają: – Czy tutejsi mieszkańcy skłonni będą zaoferować mi poza podziwem konkretną pomoc? A jeżeli tak, to jaką stawiają cenę?

– Cena i pomoc... Oczywiście... – powtarza znowu Otto, który jakby uciekł gdzieś na moment myślami. Następnie podchwytuje on właściwy wątek i śledząc z uwagą lisa, który pojawia się na skraju iglastego zagajnika, spokojnie prawi:

– Oferowani ci są, pani, znamienici wojowie, jak również dobra w postaci futer i dary z krzemienia oraz bursztynu. Całkiem cenne wśród koneserów tego typu ozdób. W zamian miejscowi szamani oczekują jedynie, że jako świetlista Bogini przebłagasz tutejsze duchy natury. One, cóż powiedzieć, ponoć odwróciły się od rdzennych mieszkańców, kiedy z nakazów dominium przestały otrzymywać należne im ofiary. Zatem, pani, powinnaś sprawić, że dawne duchy ponownie będą sprzyjać krainie Sławum, co ma zapoczątkować jej odrodzenie w dawnej tradycji...

– Jakże miałabym to uczynić...? – pytam swobodnie, choć z pewną obawą na wspomnienie mej osoby wykrwawiającej się na piaskach pustyni w Orienum. Zaś krwawa potyczka z Abezzalem także nie należała do najłatwiejszych przejść. I rzeczywiście zaraz się okazuje, że bynajmniej w tej oto krainie również nie czeka mnie sama sielanka:

– Tutejsze duchy natury czują się odtrącone, zatem od wyjątkowej istoty będą pożądać wyjątkowych darów. Ale jakich...? – Otto wymownie

rozkłada ręce w geście niewiedzy. Wobec tego kiwam ze zrozumieniem głową i spoglądam pytająco na Murana. Ten gestykuje do szpiega z dominium:

– „Czy podczas spotkania z duchami natury może towarzyszyć Anrei zbrojna obstawa? Bo musi jej ktoś strzec”.

– Niestety nie będzie takiej możliwości. Jeżeli powstanie za duży tłok, to duchy się spłoszą... – wyjaśnia markotnie Otto, ale mój mążzonek nie ustępuje:

– „Tak więc jedynie ja będę jej towarzyszył”.

Na to wyznanie nasz rozmówca wpada w dłuższą zadumę, aż oznajmia:

– Myślę, że może tak być. Chociaż jeżeli jesteś, panie, zwykłym śmiertelnikiem, to tego spotkania zapewne nie przeżyjesz...

– A czemuż to? – powracam do rozmowy poruszona wyznaniem Otta. Ten nieco pokrętnie tłumaczy:

– Mówimy o duchach natury, ale zarazem ich zbuntowanych obecnie przedstawicielach pełnych urazy. Czyli takich istotach, które zamiast do dobrostanu mogą na ten czas przyczynić się do klęski urodzaju. Miast dbać o zasobność ryb w wodzie, prowokują niszczycielską powódź. Co za tym idzie, sami sobie odpowiedzcie, co zrobią ze zwykłym śmiertelnikiem, kiedy stanie im taki na drodze...

– Mój mąż nie jest taki znowu zwykły, liczy się ze słowami... – Lekko się uśmiecham, by rozładować trochę napiętą atmosferę, po czym ubiegam pozostałych uczestników dyskusji, z siłą w głosie oświadczając: – Skoro duchy natury to właśnie ze mną pragną wejść w kontakt i uzyskać stosowne dary, to na spotkanie z nimi nie widzę potrzeby kogokolwiek innego zapraszać. Ponieważ to z jednej strony ryzyko dla życia tej istoty, a z drugiej być może rozsierzilibyśmy tutejsze duchowe siły i cała misja zakończyłaby się fiaskiem. Dlatego nie ma sensu bardziej ryzykować i wyruszam sama, postanowione. Muran nie przyjmuje tych słów chętnie, a Otto raczy mnie wyniosłą obojętnością. Jednak kolejne argumenty w dyskusji już nie padają i tak oto stawiam na swoim.

Po kilku dniach docieram z armią do wioski przed rozległe bagna. To właśnie na nich w pełni księżycyca mam się spotkać ze wspomnianymi

duchami natury i uzyskać od nich przebaczenie dla tej krainy. Lecz wcześniej prowadzę handel wymienny z tubylcami. Zanim bowiem będę miała szansę otrzymać od nich dary, to wcześniej niezwłocznie potrzebuję uzupełnić zaopatrzenie. I tak za własne monety oraz takowe w postaci prezentu od bractwa z Aglum, otrzymuję paszę dla zwierząt oraz futra dla mych marznących ludzi. Dostajemy także pozwolenie na rozbicie namiotów przy jeziorze, gdzie znajdujemy wielką obfitość ryb.

Tym sposobem sprawy aprowizacyjne są skutecznie załatwione już na samym początku i spokojnie oczekuję czasu do pełni księżyca. Natomiast ten czas umilam sobie w dużej mierze zabawą. Co noc zgodnie z tutejszą modą ubrana w spódnicę, a nie suknię, ponadto naga od pasa w górę, tańczę z Muranem przy świetle ogniska, kręcąc piruety z innymi parami przy skocznych dźwiękach nieznanymi mi instrumentów. Z kolei we dnie bawię się głównie z dziećmi, które jak to małe pociechy na całym świecie łakną przede wszystkim wszelakich dziwów oraz nowości. Dlatego są najszczęśliwsze, gdy wożę je w koszu na mej słońcy Nail. Oczywiście w podzięce malcy karmią moją ulubienicę miejscowymi warzywami. Taki zawieramy ze sobą układ, który owocuje dobrze przekarmioną Nail oraz szerokimi uśmiechami zarysowującym się na naszych ustach. Aż wreszcie nastaje pełnia.

\*

Tej nocy jest bezchmurnie i wyjątkowo zimno. W górze towarzyszy mi tajemnicza tarcza księżyca i rozświetlone gwiazdy na czarnym niebie. Pod stopami mam grząski grunt wypełniony błotnistymi kałużami, które po części znaczy zamrznięty lód kruszący się pod moimi trzewikami. Natomiast mnie samą otula czerń nocy i omszałe pniaki próchniejących drzew, które co raz stają mi na drodze, pochylając się ku ziemi niczym leciwi starcy. W takiej scenerii poruszam się samotnie i niemal po omacku, mając na swe tradycyjne ubranie narzucone futro z niedźwiedzia.

Aż nagle doznaję wrażenia, że ktoś chwyta mnie za rękę, czyniąc to iście lodowatą dłonią. Pomna mej misji na tych bagnistych terenach przewyciężam pierwotny strach i daję się poprowadzić istocie, która ciągnie mnie za sobą, a której wyławiam w mroku jedynie zarys ludzkiej sylwetki.

I naraz wkraczamy w miejsce, gdzie pośród morza czerni mieni się blade światło. Nie dostrzegam jego źródła i wydaje się ono magicznego pochodzenia. Teraz jednak widzę wyraźnie, że stoję w grzędawisku po kostki w zimnej wodzie, a tuż koło mnie jest postać, która właśnie puszcza moją dłoń i kuca przy mnie. Jest ona niczym człowiek, kobieta, ale pozbawiona ubrania i skóra tej istoty jest całkiem biała oraz bez włosów na ciele, nawet rzęs. Na głowie ma wianek z ciernistych pnączy z zeschniętymi kwiatami. Do tego zamiast paznokci niebotyczne szpony, które wydają się niezwykle ostre. Postać ta zachowuje niezmienną powagę i tylko przygląda mi się z dołu żółtymi ślepiami, to lustruje okolicę, która zanurzona jest w rozrzedzonej mgłę. Aż w pewnej chwili szarpie ona okrywające mnie futro, potem pozostałe ubranie i odrzuca je daleko za siebie.

Z tą chwilą jestem naga i me ciało otula lodowaty chłód, a jednocześnie w przestrzeni przede mną daje się słyszeć donośny, miarowy plusk, jakby ciężko stawianych gigantycznych stóp. I raptem z mgły wyłania się człowiecza postać, której skóra jest korą drzewa, a ramiona rozłożystymi konarami w wielkiej liczbie. Twarz jest gęsto zarośnięta liśćmi i widać jedynie wielkie, żółto-zielone oczy. Ponadto postać ta znacząco góruje nade mną wzrostem. A zaraz, pochylając się, chwyta mnie drzewiastą dłonią za włosy i mocno szarpie, sprawiając mi dotkliwy ból. Wrywa mi pukiel rudych włosów i wplata sobie pomiędzy konary. Następnie wydaje pomruk, jakby zadowolenia i odchodzi.

Nie mija wiele czasu, a zdaję sobie sprawę, że me ciało oplata istota przypominająca węża, lecz nie z gadzią, a ludzką głową. Choć z ust wysuwa jej się długi, rozdwojony język. Dotyka nim mojej twarzy, szeroko ukazując rozwarte usta, gdzie wyraźnie odznaczają się dwa kły jadowe. Z ich ostrych zwieńczeń skapuje zielona wydzielina.

I raptem ta postać obejmuje zębami me ramię. Jednak w tym samym momencie naga, biała istota u mych stóp gwałtownie rani szponami gadzi tułów dziwnego stwora. Ten szybko odchyła głowę i posykuje groźnie. Lecz zaraz pokornieje. Swym rozdwojonym jęzorem sięga mych ust i przeciska go do mego języka, jakby w pocałunku czerpiąc mej śliny. Potem odwija się ode mnie wirowym ruchem i znika pod powierzchnią wody.

Sama, oszołomiona, spoglądam na dół i napotykam uspokajający wzrok przykucniętej przy mnie, białej istoty, która jak się okazuje, jest tu kimś w

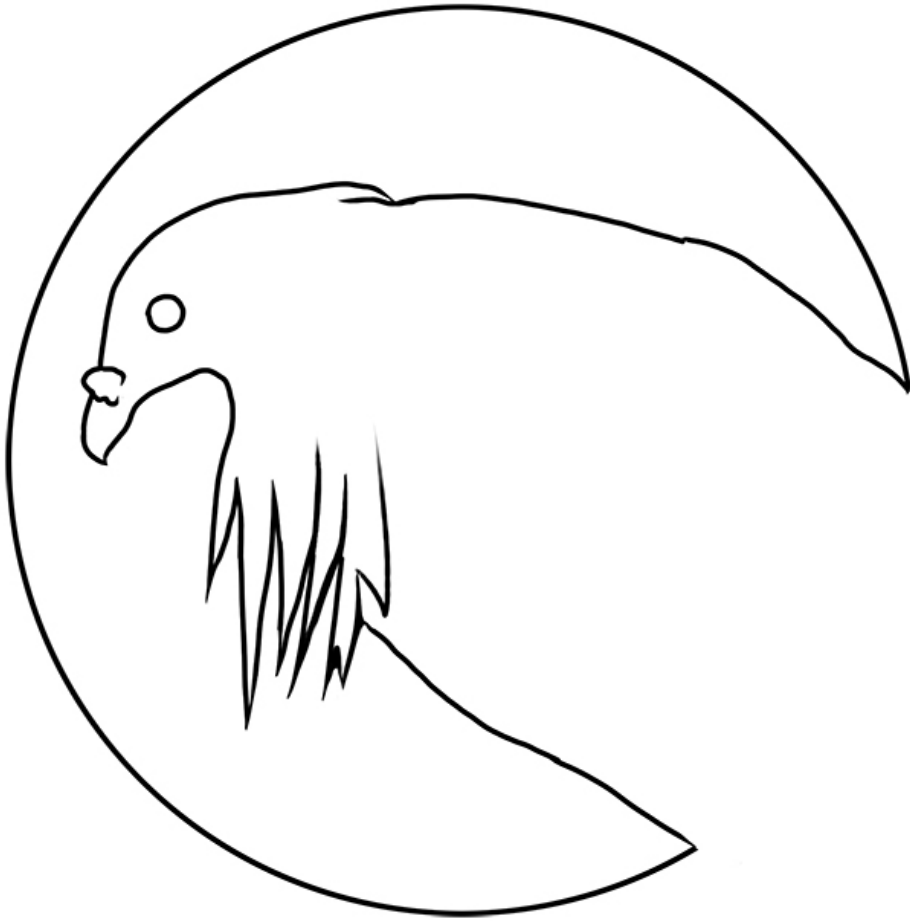
rodzaju strażnika i zapewne nie da mnie skrzywdzić. Zatem pokrzepiona jestem gotowa na kolejne spotkanie.

I oto jest, choć tego kogoś nie widzę, bo zachodzi mnie od tyłu. Kładzie liczne pary rąk na mym ciele, gdzie jedne są ludzkie, inne przypominają macki ośmiornicy, a jeszcze inne szpony drapieżnego ptaka. Te ostatnie rozrywają mi skórę i zadają rany na łonie, macki parzą piersi, a ludzkie kończyny zagłębiają mi się do ust, skąd wyrywają zdrowy ząb. Przewyciężam dojmujący ból oraz odczucie strachu i odrazy, a za plecami słyszę odgłosy krótkiej, jakby zwierzęcej, gwałtownej walki. To najwyraźniej efekt działania mego strażnika, aby duch natury, który mnie oplata ramionami, nie pozwalał sobie na aż tak wiele. I rzeczywiście, istota ta zabiera ze mnie trzy pary swoich kończyn, po czym pochrapując nisko, odchodzi.

W dalszej części nocy cały czas mogę liczyć na ochronę ze strony strzegącego mnie białego strażnika podczas licznych spotkań przedziwnych duchów natury, z których każdy pragnie czegoś z mego ciała. Pojawiają się więc skrzydlate, przezroczyste upiory, jak i półzwierzęce postacie. Takie, które przypominają rośliny, jak i ożywione, kamienne potwory. Ja zaś tracę ze swego ciała jeszcze dwa wyrwane paznokcie, czubek języka i kawałek małżowiny usznej, jak również część skóry na plecach. Zraniony zostaje mój prawy sutek oraz złamany mały palec u lewej dłoni.

To wszystko są ponoć stosowne ofiary, które czynię, aby przebłagać duchy natury i zyskać przychylność dla ludu Sławum tej ziemi. Co ma przynieść mu wyzwolenie, a mi, otoczonej sojusznikami wojowniczej królowej, dać ostateczne zwycięstwo nad dominium. Czy tak się zastanie? Żywię głęboką nadzieję, iż me poświęcenie nie pójdzie na marne.





## XI. PIEKŁO NIEBO

Choć w ogóle nie pamiętam, abym szła spać, budzę się otępiała i z obolałym ciałem. Lecz czy aby na pewno się budzę? Widzę bowiem, że jestem zamknięta w drewnianej klatce na wozie ciągniętym przez parę koni. Coś mi to jakby przypomina. Dlatego rozglądam się uważnie wokół.

Niestety zaraz zdaję sobie sprawę, iż doświadczam jawy, a nie mirażu, albowiem dostrzegam liczną eskortę konnych strażników w szarych mundurach i z rusznicami na plecach. Ponadto otacza mnie ten sam zimny i jałowy krajobraz, jaki ostatnio zapamiętuję, mianowicie z ziem Sławum.

Nagle odczuwam dojmującą niepewność i zrezygnowanie, kiedy dodatkowo dochodzi do mnie wielce znajomy, tym razem dla odmiany radosny głos Otta:

– Pomyślności!

Spoglądam z ukosa na jadącego konno koło wozu mężczyznę i zamierzającym głosem z pretensją oraz smutkiem zapytuję:

– Dlaczego...?

– Co, dlaczego? – Mężczyzna ponownie wydaje się prezentować zupełnie inną osobowość niż ostatnio. I zaraz odkrywczco dodaje: – Aaaa, chodzi ślicznej, ciemnej panience, o podstępne uwięzienie, czyż nie?! Cóż... – Nadyma się z dumy i pompatycznie, niczym na wystąpieniu w teatrze, oświadcza: – To wszystko ku chwale wielkiego dominium, niezwyciężonego dominium, rzecz jasna! Ku chwale wielkiego Akros i przyszłego Boga Jedności!

– Dlaczego... Dlaczego mi tak wiele pomogłeś, zanim zdecydowałeś się ostatecznie zdradzić... – precyzuję.

– Ja? Czy aby na pewno byłem to ja...?! – Mężczyzna tajemniczo puszcza mi oko. Na co smutno potwierdzam:

- Tak, ty... Chyba że masz brata bliźniaka, lub tuzin takowych braci.
- Ciepło ciepło, ciemna panienko... – droczy się mój rozmówca, uśmiechając z przekąsem. – Oto zwracasz się do jednego z Braci Jedności! – dodaje.
- Czyli...? Kogo takiego...? – dopytuję.
- Jam jest Otto Trzeci! – wypala gromko.
- Więc... naprawdę wcześniej rozmawiałam z twoimi bliźniakami...? – Jakoś nie mogę w to uwierzyć.
- Oj nie, śliczna panienko, nie z bliźniakami, choć z braćmi! – zaznacza radośnie Otto Trzeci i nonszalancko kontynuuje: – Ale proszę sobie już tym nie zaprzętać swej cudnej, ciemnoskórej i rudej głowy. Bo kiedy tylko dotrzemy do Nowego Akros! Cóż... ta piękna głowa spadnie panience z karku, ha!
- Bardzo zabawne... – kwituję bezczelne zachowanie rubasznego mężczyzny. Następnie spoglądam na swe opatrzone rany na ciele, jakie otrzymuję ostatniej nocy za sprawą duchów natury i smętnie mówię:
  - Ty, czy też twoi bracia, mogliście mnie już dawno porwać lub wyeliminować w inny sposób...
  - Słuszna uwaga!
  - Zatem czemu tak długo zwlekaliście...?
  - Ha! To sprawka Otta Pierwszego. W końcu to on przewodzi Braciom Jedności!
  - Czy go poznałam...?
  - Raczej nie sądzę, bowiem spotkać jednego z pierwszych to zaiste prawdziwy zaszczyt! – Mężczyzna spogląda na mnie raptem z dezaprobatą, jak na kogoś niegodnego poznania wspomnianej osoby. Kręci z niezadowoleniem głową, cmokając ustami i udziela wyjaśnień odnośnie do mego uprzedniego pytania: – Otóż... Otto Pierwszy jest nieco inny od nas, pozostałych Braci... Słowem jest bardzo zaangażowany w projekt prac nad naszym Bogiem Jedności, który to strąci z piedestału wszystkich innych, pomniejszych Bożków w ostateczny niebyt, gdzie ich miejsce! I, jakby to powiedzieć, Otto Pierwszy ufa niezmiennie, że nasz nowy Bóg będzie jedynym naprawdę dobrym i sprawiedliwym Bogiem. W konsekwencji

nasz przewodnik już teraz stara się działać według jego zasad. I to dlatego Otto Pierwszy nie chciał pierwotnie kierować waszej armii do Viglum, aby uniknąć tam wielkiej bitwy, ofiar i przelewu krwi tysięcy niewinnych ludzi!

– Zacie to z jego strony... – wtrącam ciągle tak samo zrezygnowana.

– Nie inaczej! – podchwytuje Otto Trzeci i ciągnie dalej: – Nasz przewodnik skierował was zatem na pustynię, gdzie wszyscy mieliście zdechnąć z pragnienia i głodu ku chwale wielkiego dominium! A wiadomo, to byłyby tylko połowa ofiar w ludziach i tylko po jednej, właściwej stronie, ciemnej stronie.

– Świetny rachmistrz z waszego przewodnika... – zauważam.

– Zgadza się! Lecz dowiedział się on, że cudem uciekliście z potrzasku! A skoro tak, to użył on twej osoby, ciemna panienko, do zdemaskowania tajnego zgromadzenia w Aglum. Kto powinien, został już tam aresztowany i publicznie stracony!

– Pyszenie... – mówię i uświadamiam sobie, że cały czas byłam tylko marionetką.

– A jak! Nawet bardzo pyszenie, zdrajcy dominium zostali bowiem należycie ukarani! Natomiast w obecnej tu krainie, Sławum, nasz przewodnik postanowił za twą sprawą, ciemna panienko, najpierw przynieść ulgę mieszkańcom. To z tego powodu wysłał cię z misją, byś przebłagała sobą duchy natury. Teraz kraina odetchnie w duchu dobroci naszego przyszłego, jedyne Boga. Duchy natury przyniosą ulgę tubylcom. Oczywiście jedynie do czasu aż nasz wielki nowy Bóg Jedności ich wszystkich nie połknie, ha!

– Prawdziwy smakosz z niego...

– Nie zaprzeczę! Albowiem będzie on posiadał wszelakie najlepsze przymioty!

– Powiedz mi jeszcze tylko jedno... – mówię na dobre zamierającym głosem. Dla odmiany Otto Trzeci wciąż tryska wręcz wyśmienitym humorem, oznajmiając:

– Do usług! Powiem, co tylko śliczna, niedługo martwa, ciemna panienko, sobie życzy! Oczywiście w granicach rozsądku. Choć jednemu z

nas najwyraźniej go brakuje! Porwać się na potęgę niezwycięzonego dominium Akros?! Dobrze sobie!

– Powiedz mi... Czy Lakszi brała udział w spisku waszego przewodnika...?

– Lakszi? Jaka Lakszi...? Pierwszy słyszę! – odpowiada entuzjastycznie Otto Trzeci i pogania do przodu rumaka, a ja zostaję ze swymi smętnymi myślami zupełnie sama. Choć na nikłą osłodę mam nadzieję, że jak słyszę, być może przynajmniej nie zostałam przez moją służkę zdradzona. Jednakże wszystkie pozostałe aspekty mojej obecnej sytuacji jawią mi się, jako ma całkowita klęska, doprawdy istnym koszmarem.

W nadchodzące dni nikt nie raczy mnie zaszczyścić żadną rozmową. Nieustannie przemierzamy tę samą, jałową przestrzeń, a ja nawet nie wiem, w którym kierunku, ponieważ słońce ciągle jest skryte za ciężkimi chmurami i na niebie mogę podziwiać jedynie ptaki, skąd inąd piękny widok.

Tak jak one, ja również mogłabym poszybować swym wyzwolonym duchem w przestworzach. Potrafiłabym już świadomie rozświecić oczy i tak właśnie zrobić, odlecieć stąd w ulotnej formie. Lecz nie chcę tego, bo wiem, gdzie bym podążyła. Zakotwiczyłabym swego ducha przy Muranie i tam już pozostała, zapewne będąc stałą towarzyszką jego smutku i niedoli. Ten widok złamałby mi całkiem serce, przez to wolę już przebywać tu, w tym wozie, w oczekiwaniu na ostateczne w mym żywocie przeznaczenie, które według słów mędrca Mitrei do końca zaznaczyć ma krew. Czyżby moja własna? To się wkrótce okaże.

Tymczasem obecnego dnia, wyjątkowo pochmurnego, kiedy to siąpi na mnie zimny deszcz, dojeżdżamy do miasta, którego wszak nie okalają żadne mury. Mijamy najpierw niewielkie, prostokątne domy z czerwonej cegły. Potem domostwa stają się coraz wyższe i bardziej okazałe, a ulice szersze oraz wypełnione miejskim gwarem. Ludzie o białym kolorycie skóry poruszają się pieszo przy skrajach budynków, to jadą środkiem drogi w delikatnych powozach, mając za woźniców z reguły ciemnoskóre osoby. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni prezentują zupełnie nieznaną mi modę. W kobiecym ubiorze przeważają niezwykle obszerne suknie zwężane w pasie i z falbanami, ale odkrytym dekoltem. Natomiast mężczyźni noszą

ciasne stroje, zupełnie niczym wojskowe uniformy. Choć te obserwowane tutaj są zwykle ciemne, nie szare, bardziej eleganckie, a męskie głowy wieńczą wysokie i owalne nakrycia.

Na mnie samą, która jadę środkiem drogi zamknięta w klatce, nikt z mieszkańców nie zwraca większej uwagi, jedynie od czasu do czasu pokazują mnie sobie placami. Aż przekraczam bramę wysokiego, murowanego ogrodzenia i zajeżdżam na plac, gdzie zebrana jest grupa gapiów przed ustawionymi w szeregu szubienicami. Na podeście jest także kilka krwawych pniaków drewna, gdzie kat, ku uciesze widzów, właśnie dekapituje swoją ofiarę.

Wśród wiwatów i okrzyków radości gawiedzi odwracam wzrok od tego okropnego widowiska. Zaś już niebawem jestem siłą wytaszczona z wozu przez strażników i poprowadzona bez ceregieli do wnętrza wysokiego, ciemnego budynku.

Wewnątrz szybko trafiam do usytuowanej na wyższych kondygnacjach ponurej celi. Jestem tu zupełnie sama przykuta łańcuchami do zimnej ściany za ręce oraz nogi i tak pozostawiona. Jedynie zza niewielkiego, zakratowanego okna co pewien czas dochodzą mnie gromkie wybuchy radości z placu, który miałam wątpliwą przyjemność przemierzyć.

Następnie wydaje się, jakby wszyscy tu o mnie zapomnieli. W końcu bowiem nadchodzi noc i zaznaję męczącego snu, zwisając na łańcuchach w pozycji stojącej. Potem w miejsce mroku nastaje dzień i ten także mija bez żadnych odwiedzin w celi. Tak upływają kolejne dni, a me ciało z powodu odwodnienia dręczy coraz większe pragnienie i narastająca gorączka. Siły błyskawicznie ze mnie uciekają, a wraz z nimi resztki pogody ducha.

Umęczona wręcz przyzywam do siebie zapowiedzianą mi śmierć, bowiem egzystencja w takim stanie jest dla mnie czystym, bezsensownym cierpieniem. Dlatego też, co pewien czas wydzieram ze swej piersi krzyk, aby zawołać tu kogoś, kogokolwiek, chociażby kata, aby ten skrócił me męki.

Wreszcie me życzenie wydaje się spełniać, ponieważ pewnego wieczoru drzwi się otwierają. W odpowiedzi rzucam się na łańcuchach, ale tylko raz i nieznacznie. Jestem bowiem już tak wycieńczona, że następnie tylko

zwieszam się na więzących mnie żelaznych obręczach i pochylam nisko głowę.

Przed sobą słyszę niespiesznie stawiane kroki, które się przybliżają. Aż kiedy przybyła postać jest już przede mną, odgłosy stóp ustają, a zastępuje je znany mi męski głos Otta. Tym razem jest on niezwykle głęboki i jakby zjadliwy, wyraźnie czuć w nim nutę pogardy, którą wyraża również treść:

– Suka... Ciemna, głupia, suka, która porwała się na coś, co ją przerasta... Jednak ta upadła Bogini teraz utraci nie tylko swój kolejny, żalony żywot, ale też nieśmiertelną, boską duszę... Ta zostanie z niej wyrwana i posłuży do konstrukcji Boga Jedności... – Naraz czuję siarczyste splunięcie na twarz. Lecz jestem tak spragniona, że przyjmuję tę obelgę niemal z wdzięcznością i wysuwam z ust zdrtwiałą język, aby zlizywać nim ze swej brody krople cudzej śliny. Ta okazuje się obrzydliwie gorzka, przez co staram się ją wypluć. Niestety nie mam dość wilgoci w ustach, by to uczynić. W efekcie charczę, duszę się i zanoszę suchym kaszlem. W tym samym momencie postać naprzeciw łapie mnie za włosy i gwałtownie ciągnie za nie do góry, abym na nią spojrzała swymi zaropiałymi oczyma. Czynię to i widzę dokładnie zakapturzoną osobę w czarnym habicie. Jej twarz jest skryta tak, że zasnuwa ją mrok. Widoczne są jedynie dwa czerwone ogniki w miejscach oczu. I ten zapach jakby zgnilizny oraz płomieni, od którego pragnie się uciec byle dalej. Lecz ja nie jestem w stanie się niemal nawet poruszyć. Więc nie dość, że o ucieczce nie ma mowy, to muszę słuchać budzącej grozę postaci przed sobą. Szepcze mi ona teraz do ucha, a jej sączone słowa dosłownie palą mi twarz i wpełzają do mego wnętrza niczym jadowite skorpiony, insekty i węże: – Za swe plugawe grzechy na przestrzeni nieprzeliczonych żywotów nigdy już nie dane ci się będzie odrodzić, ty suko... Co nie znaczy, że tak po prostu przestaniesz istnieć, o nie. Szykuj się zatem na piekło i wieczne potępienie. Wiedz, iż to, czego doświadczasz od kilku dni, stanie się twoim udziałem już po wieczność. Choć osobiście zadbam, aby było to dopiero preludium do twego cierpienia... – Po tych słowach Otto gwałtownie zrywa ze mnie ubranie, a jego ostre paznokcie zadają mi na ciele rany. Następnie dyszy nade mną gorącem jakby z żądzą. Chwyta moją dłoń i przyciąga do swej twarzy, której ciągle nie widzę. Zaraz czuję za to jakby oślizgłego węża oplatającego się wokół mego małego palca. Potem doświadczam na nim

uczucia rzędu sztyletów i te nagle przesywają mój palec na wskroś! Pragnę wydobyć z siebie opętańczy wrzask, ale Otto zasłania mi dłonią usta i czeka tak długo, aż opanuję drzenie i spazmy. Dopiero wtedy wypływa mi prosto w twarz mój własny, odgryziony palec, odejmuje rękę od mych ust i niespiesznie odchodzi.

Pozostawia mnie przerażoną i okaleczoną, z zapowiedzią wiecznych męczarni oraz tortur. I dlaczego? Cóż takiego straszego uczyniłam?! Zwieszam się zupełnie bezradnie na łańcuchach i gorzko płaczę nad samą sobą. Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem skali koszmaru, który się wokół mnie właśnie ziszcza.

Aż raptem czuję kojący dotyk na mej okaleczonej dłoni i w jednej chwili ból ode mnie odstępuje. Jednocześnie ktoś ociera mi z policzka łzy. Wzdrygam się tylko i spoglądam z prawdziwym przestachem na nową postać przede mną. Ta ma biało-niebieski habit także z kapturem skrywającym twarz, lecz oczy są świetliste, a nie czerwone. I zaraz również słyszę głos Otta, ale ten jest miły niczym miłosa pieśń i pełen współczucia, jak balsam na duszę:

– Witaj, Bogini Matko z odległej krainy... Wiedz, iż sam cierpię, widząc cię w takim stanie i jestem tu tylko z jednego powodu. Mianowicie, aby ulżyć w twojej niedoli i cię ocalić... – Z tą chwilą podaje mi do picia płyn z pucharu. Ja zaś piję tak łapczywie, jakbym po raz pierwszy w życiu miała w ustach krople wody. Gdy wreszcie się nasycam, udręczona spoglądam w lśniące oczy przede mną prawie z miłością i wielkim oddaniem. Natomiast ich właściciel gładzi mnie z czułością po włosach i z nadzieją mówi: – Wiele, doprawdy wiele złego uczyniłaś w swym długim istnieniu i niestety musisz za swe grzechy odpokutować. Jednak nasz Bóg Jedności jest zarazem wielkim miłosierdziem, dlatego nie musisz spłacać swych grzechów cierpieniem, a możesz wierną służbą. Pytanie tylko, czy jesteś na to gotowa...?

– Na co...? – pytam tak słabym głosem, że sama nie rozpoznaję go, jako własnego. Zaś Otto wyjaśnia:

– Przede wszystkim musisz wyrazić skruchę... Musisz przyznać, że jesteś grzesznicą i wyrzec się własnej osoby. Musisz przejrzeć na oczy, iż wszystko, co czyniłaś z własnych pobudek, było z gruntu złe i fałszywe.



Spójrz bowiem tylko choćby na swe obecne życie... Ojciec i matka urodzili cię po to, byś była ich ukochaną córką, prawdziwą pociechą. Ty jednak ściągnęłaś na swych rodziców hańbę i śmierć... Spójrz też na swe przeszłe istnienie... Przez tysiące lat nie ustawałaś w wysiłkach, aby scalić w jedność twój ukochany kontynent Pendorum. Obecnie zaś zaprzeczasz szlachetnej idei jedności i już niemal zjednoczony kontynent Nelorum chcesz podzielić na liczne części. Cóż za sprzeczność i niekonsekwencja w działaniu, które przynoszą jedynie cierpienie, śmierć i zmaganie się bez końca. A gdzie ma to swe źródło? Wiedz, że w twojej grzesznej, rozpustnej duszy, która ulega wiecznym złudzeniom i nie ma prawdziwego drogowskazu w postaci oddanej służby jednemu, prawdziwemu Bogu...

– Tak, to prawda... To wszystko prawda... – cedzę złamana i ronię łzy.

– Tak, to najwyższa prawda – zgadza się Otto. – Możesz bowiem wygrać niezliczoną ilość bitew, ale ostateczne i tak przegrasz wojnę, bo toczysz ją w złej sprawie. A jej zepsutymi owocami są jedynie wspomniane cierpienie i śmierć... Tak więc pokonujesz w bitwie wojsko dominium. Ale co tak naprawdę zyskujesz? Odpowiem ci. To śmierć tysięcy niewinnych ludzi, żołnierzy, a sama zabijasz w walce syna Oslund i Viguna. Ludzi, którzy ratują ci życie. Czyż nie jest to okrutne i podłe z twojej strony...?

– Jest... to prawda... – przyznaję ze szczerą pokorą.

– Lecz najwyraźniej ze śmiercią ci do twarzy, Bogini Matko, jak prawi demon Mitrea... Ponieważ śmierć zanosisz także do krainy Orienum, gdzie podczas rytuału z twym udziałem znaki na piasku zalano krwią dziesięciu zamordowanych w tym celu dziewic. Następnie za twoją sprawą umierają ludzie z Aglum, ci z Bractwa. Na szczęście w Sławum nie zabawiłaś dość długo, aby i tam siać zniszczenie. Jednakże gdybyśmy ci nie przeszkodzili, nakłoniłabyś tamtejszych ludzi, by walczyli po twojej stronie i ginęli na marne, albowiem dominium Akros nie można pokonać, podobnie jak nie można zwyciężyć Jedynego Boga...

– To prawda, jestem zwodnicza, jestem marnością... to wszystko prawda... – Po policzkach ciągle płyną mi perliste łzy. A w sercu odczuwam coraz większe wyrzuty sumienia i żal za swe nieprawę czyny. – Pragnę się ukorzyć, pragnę oczyszczenia, wyrażam skruchę... Nie chcę cierpienia swego i innych... – skamle płaczącym tonem.

– Dobrze, już dobrze... To właściwa postawa, me dziecko... – Otto jeszcze czulej głaska mnie po włosach i ciągnie dalej: – Oddaj się zatem pod naszą opiekę, czyli uczyni to, co było ci przeznaczone przez twych rodziców. Mianowicie rozwiąż swą armię, wyrzeknij się Murana i nakłoń go, aby się poddał. W zamian za to zarówno ty, jak i twój dotychczasowy małżonek uniknięcie cierpienia w życiu, jak i po śmierci. Zostaniecie wżenieni w arystokratyczne rody z dominium, a wasze władztwa będą wasalne w stosunku do Akros. Zachowacie więc namiastkę władzy, choć do swych siedzib nigdy już nie powrócicie. Będziecie za to żyć tutaj, w pierwszym dystrykcie i ręczę, że niczego nie będzie wam zbywać. To oczywiście nie wszystko. Jeżeli w należynej służbie i pokorze przeżyjesz swe obecne istnienie, dane ci będzie odkupienie, na jakie zasłużysz. Wówczas twa nieśmiertelność zostanie przy tobie zachowana i w wiecznej przyszłości będziesz służką, aniołem, naszego Jedynego Boga... – Otto kończy ze słodyczą w głosie, a jego oczy lśnią teraz prawdziwie oślepiającym blaskiem. Ja sama wypowiadam swe słowa bezwiednie, ale z prawdziwą wręcz bezgraniczną wdzięcznością za okazaną wielką łaskę, łkając:

– Błagam pokornie o wybaczenie i zgadzam się na wszystko, zgadzam z radością w sercu... Ja, wierna służebnica dominium Akros i Jedynego Boga...

– Słuszna decyzja... – Nagle słyszę przed sobą ochryple, niczym wypluwane mi w twarz słowa i zamiast jaśniejących oczu dostrzegam przed sobą czerwone w głębi ponownie czarnego habitu. A jednocześnie ból wokół mej niekompletnej dłoni znowu się pojawia i to z niezwykłą siłą. Przeto kulę się w sobie na powrót napełniona lękiem przed Jedyнным Bogiem, gotowa raz jeszcze bez reszty płaszczyć się i błagać o zlitowanie. Ale nic więcej już się tu nie wydarza, ani też nie padają kolejne słowa. Otto, kimkolwiek by nie był naprawdę, niespiesznie wychodzi z komnaty. Po niedługim czasie w jego miejsce pojawiają się służdy. Bandażują mój kikut palca, a przede wszystkim odkuwają od ściany. Potem zapewnione są mi wszelkie wygody. Ja sama z kolei odwdzięczam się tym, co obiecuję...

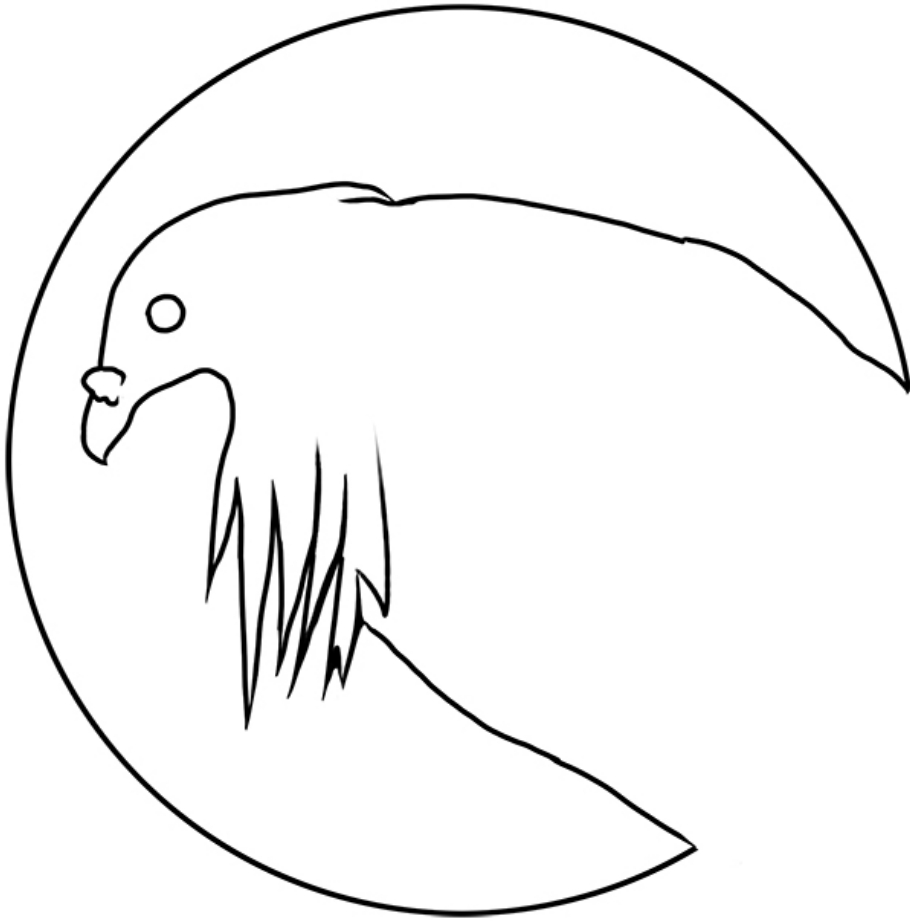
Dalej sprawy toczą się zgodnie z wolą i przewidywaniem Otta. W towarzystwie szarych płaszczy przybywam do obozu mych wojsk. Okazuje się, że ciągle nie uzyskują one wsparcia od żadnego z dawnych władztw

kontynentu Nelorum. To zaś tylko utwierdza mnie w przekonaniu, iż czynię słuszenie, bo osamotniony Muran niewątpliwie przegrałby ostatecznie wojnę i sam zginął.

Zatem wygłaszam doniosłą przemowę, podczas której wychwalam dominium Akros, poprzysięgam mu wierną służbę i wyrzekam się Murana, mówiąc mu to, choć ze łzami w oczach, prosto w twarz. On przyjmuje to na kolanach i tak oto zostaje złamany, jak ja i pokonany bez walki słowami, moimi własnymi słowami. Cała nasza armia zostaje rozwiązana i rozbrojona powraca do macierzy. Z kolei ja oraz Muran mamy być oddzielnie przewiezieni do Nowego Akros na zaślubiny nieznanym nam osób.

Wszak okazuje się, że ofiara z naszych łez zamiast krwi jest o wiele wyższa. Przed wyruszeniem do miasta jesteśmy poprowadzeni do stada naszych stu słoń. Na miejscu widzimy ponad dziewięćdziesiąt uśmierconych już zwierząt z czaszkami przebitymi metalowymi kołkami. Sami jesteśmy świadkami egzekucji słońa Nelorum oraz słońicy Nail.

Za tą ostatnią wyglądam do ostatnich jej chwil w tak bardzo posmutniałe oczy. Potem dochodzi do uderzenia potężnego młota. Tym samym żelazny kołek pozbawia życia zwierzę, z którym byłam bliżej niż z niejednym człowiekiem i sama przywiodłam je na zgubę do tej odległej krainy. Z rozdartym sercem spoglądam z cierpieniem w górę, gdzie na pochmurne niebo wzbijają się dwa spłoszone ptaki.



## XII. PRZYKŁADNA ŻONA, JAK ANIOŁ

I tak się kończy piękny sen o wolności. Następuje przebudzenie w rzeczywistości, która jest, co tu dużo mówić, trywialna, odarta ze wszelakich namiętności oraz wzruszeń. Niby nie powinnam narzekać, w końcu to wszystko mogło się skończyć o wiele gorzej i ostatecznie to mój własny wybór. Tyle że me obecne, spokojne, w pełni dostatnie życie, prowadzę, choć w złotej, to jednak klatce.

Mieszkam w przepięknej rezydencji z pomalowanego na biało drewna oraz kamienia zbudowanej w nieznanym mi stylu architektury. Pałacyk ma trzy kondygnacje i liczne kolumny na obszernym tarasie, a wokół położony jest bardzo rozległy ogród. Lecz to wszystko otoczone jest wysokim murem z pilnującymi go strażnikami, którego nie wolno mi przekraczać. Nie wybieram więc sobie miejsca, gdzie chcę przebywać i tak naprawdę niczym ptak w złotej klatce jestem tu uwięziona.

Podobnie nie wybieram sobie towarzystwa. Choć obok służby, mego nowego męża oraz strażników z dominium mam przy sobie chociaż kochaną Lakszi. Ona dla odmiany wydaje się tu ze wszech miar szczęśliwa. Jednakże w przeciwieństwie do mnie.

Czy cierpię? Jeżeli tak, to tęsknotę za życiem w pełni i rozłąkę z moim ukochanym, Muranem. Ale ostatecznie oboje podejmujemy tę kluczową decyzję. Mianowicie, iż nie dopuścimy do rzezi kolejnych tysięcy ludzi. Na swój sposób poświęcamy się, aby inni mogli przynajmniej istnieć skoro i tak prawdopodobnie w końcu byśmy przegrali bez wsparcia i ze wszechpotężnym wrogiem.

Tą drogą wiodę w rezydencji mego nowego męża smętny żywot, gdzie nie odróżniam od siebie kolejnych dni. Wstaję z łóżka i zakładam jedną z pięknych, przepastnych sukien. Potem jem śniadanie, obiad oraz kolację. Zaś w międzyczasie dane mi jest spacerować z Lakszi po ogrodzie, grywać

z nią w różne gry na świeżym powietrzu i grać na instrumentach, by wypełnić czymś czas aż do snu. Z kolei przed snem, jak na przykładną żonę przystaje, zwykle spełniam swój małżeński obowiązek.

Mój małżonek? Tak, zostaje nim jeden z Grostów. Ponoć przypląwa tu do mnie aż z odległego kontynentu. I nie, bynajmniej nie czyni tego, by w jakiś sposób mścić się na mnie za śmierć swoich krewnych, wręcz przeciwnie. Ten starszy już, łysiejący mężczyzna nawet gratuluje mi zabójstwa seniora Grosta, nazywając go zakałą całego rodu, a mnie, pieśczośliwie, swoją małpeczką. I o dziwo mój nowy mąż darzy mnie całkiem dużym szacunkiem, choć o miłosnym uczuciu między nami oczywiście nie ma mowy. Poczytuje on sobie natomiast za honor spłodzić ze mną gromadkę dzieci. Jak twierdzi, przyświeca mu szczytny cel szerzenia ducha jedności. Osiągnąć go pragnie przez zmieszanie naszej krwi i dla dobra ogółu zbliżenie do siebie ludzi o białej i ciemnej skórze, gdzie nasze dzieci będą mieszańcami.

Cóż, nie mam powodów, aby nie wierzyć w jego dobre intencje, choć podczas fizycznej miłości ze mną odnoszę wrażenie, że nie jest to tylko poświęcenie z jego strony. Nasze zbliżenia odbywają się regularnie w mojej sypialni trzy razy w tygodniu księżycowym o godzinie dwudziestej pierwszej, jak w zegarku, który to przyrząd do odmierzania czasu demonstruje mi mój obecny małżonek.

Sama nasza fizyczna miłość jest dość schematyczna i pozbawiona namiętnych uniesień. Pan Grost zawsze bierze mnie od tyłu, twierdząc, że w ten sposób łatwiej jest o poczęcie dziecka, co ponoć szczególnie odnosi się do ciemnoskórych kobiet. Mnie osobiście ta pozycja nie przeszkadza, bo w niej mam minimalny kontakt z ciałem kochanka, którego dłonie zwykle sięgają jedynie mej wąskiej talii czy płaskich pośladków.

Zazwyczaj pan Grost potrzebuje naprawdę dużo czasu, aby dojść do swego spełnienia i porusza się metodycznie jednostajnym, niespiesznym rytmem. Sama nie czuję w tym czasie niczego specjalnego i podczas zbliżenia często odpływam gdzieś myślami i nawet nie zauważam, kiedy jest już po wszystkim. Jednak przyznaję też, że rzadko, ale czasem zostaję pobudzona.

Tak, trochę się tego wstydzę i wolałabym, aby do tego nie dochodziło. Lecz moja fizyczność zwycięża i kiedy pan Grost po spełnieniu swego obowiązku małżeńskiego pozostawia mnie samą w mym sypialnym pokoju, kładę się na plecach i osobiście zapewniam sobie odpowiednią przyjemność.

Aż pewnego razu podczas mych intymnych pieszczot nakrywa mnie Lakszi. W odpowiedzi służka bez słowa zajmuje pozycję między moimi nogami i od tego czasu to ona prowadzi mnie na szczyty rozkoszy. Przyjmuję to, choć nie składam jej podziękowań, tym bardziej się nie odwdzięczam czułością. Za to od tej pory zwykle spędzam noce z Lakszi, mając dodatkową przyjemność z tulenia się do czyjegoś ciała, które nie jest mi obce. To moja namiastka miłości i urozmaicenie w monotonnej egzystencji kobiety przeznaczonej do zażywania luksusu, aczkolwiek bez wolności i mającej rodzić kolejne dzieci. Jednakże moje łono, pomimo cyklicznie ponawianych prób, ku narastającej frustracji pana Grosta ciągle pozostaje jałowe.

W końcu stwierdza on, że być może potrzebuję jednak dodatkowych bodźców. W związku z tym zdarza się wielce niespodziewany dzień, gdy mój zacny małżonek zapowiada mi, iż zabierze mnie na przyjęcie do swego przyjaciela w pobliskiej rezydencji.

Oczywiście się zgadzam. Zakładam jedną z podarowanych mi opasyłych sukien z falbanami, gdzie u dołu można odnieść wrażenie, że szczycę się monstrualnych rozmiarów udami oraz zadkiem, natomiast u góry widać mi zarys nagich piersi w odsłoniętym dekolcie. Do tego te bufiaste rękawy. Ale czegoż się nie robi, by zaznać choć namiastki wolności, prawda?

Ponadto pan Grost nieco wypycha watą przestrzeń pomiędzy moim łonem, a ubiorem. Wyjaśnia, że nie chce on świecić oczyma przed znajomymi i tłumaczyć im czemu nie jestem jeszcze brzemienna. Zamiast tego proponuje sprawiać pozory mej ciąży. Ja natomiast, jak na usłużną żonę przystaje, ponownie się godzę.

Tak więc jestem już odpowiednio ubrana, a do tego należycie tu i ówdzie opatulona watą, a wtedy pod rezydencję podjeżdża dorożka zaprzęzona w parę białych koni. Lecz zanim wyruszymy, czeka mnie jeszcze z mężem dość długie pozowanie do wspólnego portretu. I oto po doprawdy nie wiem,

jak długim czasie wreszcie opuszczam mury tak dobrze znanej mi już posiadłości.

Po drodze, która jest niestety dość krótka, osłonięta parasolką przyglądam się ciemnoskórym pobratymcom, którzy pracują w palącym słońcu przy zbiorach bawełny. I tak, zanim na dobre się zorientuję i na ten przykład spróbuję wyskoczyć, ot choćby pod koła powozu, a co mi tam, otwierają się kolejne bramy i ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu trafiam do niemal bliźniaczej rezydencji.

Wszystko jest tu podobne, jak w posiadłości pana Grosta. Ludzie o białej skórze obnoszą się z eleganckim ubiorem i prowadzą beztroskie rozmowy. Natomiast ciemnoskóra służba usługuje im w prostych, białych strojach. Lecz przynajmniej wszystkiego jest tutaj więcej, także egzotycznego jedzenia, które z barku ciekawszych rozrywek raczę kosztować.

Gdy wtem pojawia się on, Muran, pod rękę z jakąś starą, mocno upudrowaną kobietą z domalowanymi różowymi rumieńcami i monstrialną, białą peruką na głowie. Me serce na dłuższy moment zamiera – dosłownie przestaje bić niczym popsuty zegar w pokoju mego męża. Ja jednak bynajmniej nie jestem uszkodzona, za to przeżywam nieprzyjemną mieszankę uczuć. Jest we mnie wręcz wyjąca tęsknota, ale i zażenowanie naszym obecnym położeniem. Gdzieś tam w sercu odnajduję ciepłą miłość, ale chyba jedynie jej tłącą się iskierkę przygaszoną goryczą poczucia przegranej.

Mimo to nie odwracam wzroku od Murana, a on ode mnie. Podczas przyjęcia kilka razy krzyżuję jeszcze wzrok z moim dawnym ukochanym, ale nie dane jest nam ze sobą porozmawiać, ponieważ cały czas prowadzeni jesteśmy, niczym psy na smyczy przez poślubione nam osoby. Tak oto kończą Ostatni z Walczących, jako dobrze oswojone istoty nieodstępujące od nogi swych panów.

Wieczorem powracamy z mężem do naszej rezydencji i dalej sprawy toczą się w dawny sposób. Spędzam w towarzystwie Lakszi dzień za dniem, a mój dzielny małżonek co drugą noc wyciska z siebie siódme poty, aby wreszcie uczynić me łono pełnym – ciągle bez pożądanego rezultatu.

Aż pewnego razu, po jeszcze jednym bezowocnym miesiącu księżycowym starania się o potomka znowu dostaję krwawych, kobiecych



dni (co za ulga). Wtedy, gdy już przestają krwawić, mój już na dobre sfrustrowany małżonek po raz pierwszy przemawia do mnie z prawdziwym gniewem w głosie:

– Już postanowiłem, żono – oznajmia wręcz rozdygotany pan Grost, kiedy rozbieram się do naga w mej sypialni, aby spełnić małżeński obowiązek. – Musisz zająć wreszcie w ciążę, bo mnie ośmieszasz! Tak dłużej być nie może! Dlatego wyznaczam ci kochanka w osobie kapitana naszej straży... Wincencie! – krzyczy donośnie mój mąż. Za moment drzwi się otwierają i próg przekracza niezwykle postawny, biały mężczyzna, który w tej rezydencji nie raz wodził już za mną wzrokiem, a ja z nudów posyłałam mu zalotne uśmiechy. Jednocześnie wraz z jego wejściem, stojąc koło łóżka, osłaniam swą nagość rękoma. Na co już zupełnie podirytowany pan Grost szarpie mnie za rękę, zdejmując je z mego ciała i dalej zdziera gardło: – Jesteś moją żoną i masz być mi posłuszna! Jeżeli się sprzeciwisz, to wezwę tuzin strażników, zakują cię w łańcuchy i weźmie cię każdy z nich, po kolei, zatem?!

Spoglądam niepewnie na mego małżonka i z niechęcią odczytuję po jego postawie, że on bynajmniej nie raczy żartować. Co więcej, w jego dłoniach dostrzegam ściskany bat. Dlatego pokornie pochylam głowę, wbijam wzrok w podłogę i równie służalczo zapytuję:

– Co zatem mam czynić, mój mężu, aby cię zadowolić...?

– Nareszcie wykazujesz się jakimś rozumem i posłuszeństwem przede wszystkim, doskonale! – Pan Grost wybuchając nagle świetnym humorem i wyraźnie podekscytowany dodaje: – Stań na czworakach na łóżku w pozycji słońca.

– Słońca...? – pytam nieśmiało, łagodnie unosząc głowę w kierunku małżonka. Ten raczy wyjaśnić:

– Tak, słońca, a raczej słońcy, czyli złącz razem nogi, tylko ciasno. Domniemam bowiem, że was, samice, to jest kobiety... o ciemnej skórze jest w tej pozycji najłatwiej zapłodnić. Ale nie bierz tego do siebie, małpeczko – rzuca swobodnie. Ja zaś, nie widząc innego wyjścia, idę za jego wskazaniem. I już za chwilę czuję na swoich pośladkach ściskające je olbrzymie dłonie Wincenta, a zaraz nie tylko dłonie.

I w tym momencie, gdy przyjmuję w siebie obcego mężczyznę, który, aby być we mnie musi użyć siły, wydaję głośne stęknienie niczym z powodu wymierzonego mi bicia. I tak jak dopiero co myślałam, by być może walczyć, odwrócić się, gryźć oraz drapać, tak teraz, wzięta wbrew swojej woli czuję się na dobre zniewolona, zupełni jakby ktoś zakładał na mnie niewolnicze łańcuchy. Przeto ostatecznie pokorniej, poddaje się i pochylam nisko głowę. Oto czuję, że inni całkowicie przejmują nade mną władanie i mogą teraz zrobić ze mną wszystko, co tylko zechcą, a ja nie mam się prawa przeciwstawić. Bowiem jestem obecnie niewolnicą. I odnajduję w tym coś znanego, jakąś perwersyjną przyjemność w całości i bez żadnych zahamowań się udostępniając. Podobnie jak kiedyś w mym śnie, gdzie kocham się z barbarzyńcą imieniem Otch, choć nie powinnam tego czynić.

– Wyśmienicie! – kwituje zainicjowanie zbliżenia pan Grosz i z uznaniem kontynuuje: – Spośród wszystkich naszych strażników ich kapitan szczyli się najpokaźniejszą męskością, za to jaja ma niczym słoń! I do tego czasu zapłodnił już blisko trzydzieści ciemnoskórych niewolnic z pobliskiej planacji! Więc i z tobą, małpeczko, sobie poradzi. Szybciej! – zachęca stojącego za mymi pośladkami mężczyznę do bardziej energicznych ruchów. Ten czyni je, przez co bezwiednie otwieram usta, robiąc to coraz szerzej, a do tego cicho pojękuję. – Podoba jej się! – Przyklaskuje z kolei mój mąż, który sam wydaje się coraz bardziej podniecony i zaraz dodaje do Wincenta: – Kiedy skończysz, pozostań dłuższy czas w samicy, to jest kobiecie, żeby się tam wszystko, no wiesz... dobrze ułożyło. Słowem masz być jak korek, rozumiesz?! – Nie wiem, czy Wincent rozumie, ale napiera na mnie coraz mocniej swą przytłaczającą masą, a ja z całych sił się zapieram łokciami. – I jak, przyjemną mam żonę? – rzuca ochoczo pan Grosz. Natomiast Wincent postępując, mówi:

– Dziękuję za ten zaszczyt... To prawdziwa chwała i niczego więcej nie pragnę...

– Nawet żołądu? Ha! – parska na to mój małżonek.

– Ta ciemnoskóra, sama królowa, jest jak anioł i warta każdych pieniędzy... – jęczy Wincent i coraz bardziej się na mnie kładzie. Do tego stopnia, że w końcu leżę całkiem brzuchem na łóżku. Z tą chwilą czuję wilgotne usta i język mężczyzny na moich łopatkach i karku.

Czy sprawia mi to przyjemność, cokolwiek, co dzieje się w tej komnacie? Niestety, ale stwierdzam, że tak. Ponieważ po tak długim życiu w marazmie, teraz czuję na sobie młode ciało i mężczyznę, który może i zwierzęco, ale mnie szczerze pożąda i pragnie. Dlatego nagle chcę się odwdzięczyć i wziąć w tym czynny udział, czymś, co kojarzy mi się z pulsującym życiem. Zaczynam więc namiętnie stękać w niewymuszony sposób, a przede wszystkim sama poruszam pośladkami i z całych sił zawęzam mięśnie wnętrza miednicy, czyniąc moje kobiece miejsce ciaśniejszym i bardziej dla mężczyzny stymulującym. Dzięki temu nie mija chwila, a Wincent chrypi nad moją głową:

– Dochodzę... Na najwyższego z Bogów, dochodzę...

Wobec tych słów unoszę nieco klatkę piersiową, aby mężczyzna zagłębiający pode mnie ręce mógł chwycić mój płaski biust. Zaraz ściska me piersi, szczególnie sutki, sprawiając mi ból zmieszany rozkoszą i pojękuje:

– Już prawie...

– To wspaniale, nie żałuj sobie! Ja zaś dopiero teraz wiem, że ta dzikuska wymaga po prostu mocnego wychędożenia, a nie subtelnej miłości, jaką ją zwykłem raczyć, ha! – grzmi mój mąż. – A byłbym zapomniiał, jeszcze kulka płodności! – Wciska mi między rozchylone usta krągłą słodycz, a ja, jak tresowane zwierzę ochoczo połykam. Potem ssam namiętnie pozostawiony w mych ustach palec pana Grosta, obserwuję trzymany przez niego bat i do granic możliwości napinam podrygujące od uderzeń Wincenta pośladki. – Dobra małpeczka, grzeczna, ciemna małpeczka. Od początku tak trzeba było cię tresować – pomrukuje niczym stary lubieżnik mój małżonek, gładząc mnie po policzkach. Natomiast Wincent gwałtownie przyspiesza siłę i prędkość swych ruchów, niemal wgniatając mnie w łóżko i wprawiając me ciało w rozkoszne drzenie. Gdy wtem rozlega się wręcz brutalne dudnienie do drzwi. – Nie wchodzić! – drze się w odpowiedzi pan Grost. Jednak natychmiast powtarza się jeszcze donioślejsze uderzenie we wrota. – Co za ludzie! Prostacy! – wydziera się wniebogłose mój małżonek, po czym surowo zwraca do Wincenta: – Zaraz wracam i skończysz, jak wrócę. Chcę być przy igraszkach naszej ciemnej małpeczki do końca, rozumiesz?!

– Ale... – jęczy niemal płaczącym głosem mój kochanek, prawie osiagający ze mną rozkosz. Lecz pan Grost nie pozostawia mu złudzeń:

– Żadnych ale albo cię wykastrowuję, masz czekać!

– Dobrze... – zgadza się pokornie niczym niewolnik Wincent. Sama spoglądam na niego z ukosa i wiedzę, jak z miną zbitego pas się ze mnie wycofuje. Także mój małżonek się wycofuje, tyle że z mej sypialni. Zatrzaszkuje on za sobą bezceremonialnie drzwi i na pewien czas przepada bez śladu.

W tym momencie budzę się niczym z erotycznego snu i leżę na brzuchu jakby nieżywa. Odczuwam wstyd palący mnie dosłownie jak rozżarzoną żelazem. Wydaje mi się, jakbym właśnie teraz zdradziła nie tylko Murana, ale i samą siebie. I nagle wszystko, czego pragnę to uciec z tego przeklętego miejsca oraz od mej fizyczności. Zaś jedyna droga wiedzie przez pozostawienie tu mego ciała i ucieczkę na zewnątrz, jako czystej duszy. Zatem świadomie rozświetlam oczy, po czym w mej ulotnej formie opuszczam ten pokój.

I oto jestem obecnie duchem błąkającym się bez celu w nocy po tutejszym ogrodzie. Lecz jakaś ciekawość gna mnie wprost przed oblicze mego małżonka i w mgnieniu oka jestem już przy nim. Stoi on zgarbiony w swoim gabinecie nad kartką papieru i studiuje zapisaną tam treść. I coraz bardziej się marszczy na twarzy, czytając:

– „Najwyższa Komendantura Kontynentu Bliskowschodniego przesyła ostrzeżenie dla obywateli dystryktu pierwszego. W większości rejonów zamieszkałych przez rdzenną ludność, jak i dawnych, napływowych przybyszy, dochodzi do zamieszek i buntów na masową skalę. Dlatego zwracamy się do właścicieli posesji na peryferiach miast o niezwłoczne udanie się do większych aglomeracji w celu uzyskania bezpośredniej ochrony ze strony wojsk dominium Akros. Z poważaniem”... – nadawcy listu pan Grost już nie czyta, tylko zawzięcie zgniata kawałek papieru w bezkształtną kulkę i ciska nią do zapalonego kominka. Następnie sprężystym krokiem wychodzi z gabinetu.

Ja sam powracam błyskawicznie do swego ciała i naraz słyszę zza drzwi gniewny głos mego męża, który przyzywa do siebie strażników, w tym wpatrującego się we mnie ze śliną na ustach Wincenta. Siłą narzucony mi

kochanek bierze na wodze pożądanie, ubiera się w pośpiechu i opuszcza sypialnię.

Zostaję sama. Błyskawicznie analizuję treść zasłyszanego listu, po czym raptem porwana jakąś szaloną nadzieją, podrywam się naga z łóżka, otwieram okno i wychodzę na zatopione w mroku nocy podwórze. Skoro bowiem, jak słyszę niemal całe Nelorum jakimś cudem buntuje się przeciw wszechwładzy dominium, to w jaki sposób osobiście mogę dłużej pozostać bierna!? Otóż nie, nie mogę, pomimo wszystko nie mogę. Przecież niegdyś wraz z Muranem tylko na to czekałam! Dlatego gnana nowymi emocjami, otwieram skrzypliwe drzwi do komórki. Po omacku wyszukuję tam parę sierpów, którymi ogrodnik piali na co dzień wysokie trawy i naraz uśmiecham się do siebie, będąc uzbrojona.

Lecz mój uśmiech w jednej chwili gaśnie, gdy słyszę gdzieś w domu gardłowy krzyk mego małżonka. Czyżby już mnie szukali?! – myślę w przestkach i podbiegam z powrotem do okna. Pokój sypialny ciągle jest pusty, więc wspomniany wrzask raczej nie był z mego powodu. Aczkolwiek zanim spróbuję uciec z tej rezydencji, decyduję się powrócić do oświetlonego świecami pokoju, aby założyć ubranie i nie paradować po polach i lasach zupełnie nago.

Dopadam do swej białej sukni, którą nie tak dawno zdejmuję. I już zamierzam ją przywdziać, kiedy tuż za drzwiami dochodzą mnie przybliżające się głosy rozmowy. Wtem otwierają się wrota do sypialni i w tym samym momencie rzucam się naga plecami na łóżko, przykrywając sobą parę rzuconych tam sierpów.

– A ta cały czas sobie czeka rozochocona, zupełnie jakby nic się nie stało! – kwituje moją pozę pan Grost. Zamyka za sobą oraz Wincentym drzwi, po czym władczo oświadcza do postawnego kapitana: – Zanim przyszykujemy się do drogi, dokończ, co trzeba, nie rób kobiecie zawodu: – Wskazuje na mnie.

– Ale... ja... – próbuję się jakoś bronić. Jednak mój mąż ucina jakąkolwiek dyskusję:

– Milcz, małpko i rozkładaj nogi albo dołączysz do swego ciemnego stada w barakach! – krzyczy nad wyraz zajadle, aż spryskuje sobie śliną usta. Po raz pierwszy widzę go w stanie tak wielkiego wzburzenia. Przez to

zastygam niepewna i nie reaguję, kiedy Wincent chwyta mnie na skraju łóżka za nogi i zarzuca je sobie na ramiona. Następnie bierze mnie mocno w tej pozycji niemal z agresją. Trzyma mnie silnie za łydki i posapuje, czyniąc obszerne, niecierpliwe wymachy biodrami, zupełnie jakby się obawiał, że znowu coś mu przerwie planowaną rozkosz.

Osobiście w tej chwili nie czuję już nawet cienia przyjemności, a jedynie do siebie wstręt. Albowiem pragnę walczyć, a równocześnie coś mnie blokuje, kiedy jestem traktowana niczym rzecz. Wspominam też groźby Otta z czerwonymi oczyma dotyczące zarówno mego obecnego życia, jak i straszliwej egzystencji po śmierci, jeżeli nie będę posłuszna. Spoglądam jeszcze na kikut mego małego palca, który skrywam założonym na niego naparstkiem. Przypomina mi się tamten straszliwy ból i cierpienie z nim związane. Wtedy robi mi się naprawdę słabo i nagle umiera we mnie cała ledwie wzniecona wola walki, zwycięża ją nagi strach.

Niech zatem Wincent zrobi swoje, niech da mi dziecko, a potem kolejne – myślę tak z prawdziwą ulgą. – Będę tu żyć spokojnie, bezpieczna i zajmę się wychowywaniem mych pociech, to na nie przeleję wszystkie swe ciepłe uczucia.

Tak postanowiwszy, wyginam ciało w łuk, eksponując zarys piersi, gotowa przyjąć do końca w siebie mężczyznę, którego ogarniają już spazmy rozkoszy. Gdy wtem z jego gardła tryska na mnie cała fontanna krwi, a ja dostrzegam w swym ręku wyjęty z za mych pleców sierp. Wincent nawet nie łapie się za szyję, tylko nadal ściska kurczowo me nogi, w wyniku czego jego krew zalewa me nagie ciało od stóp do głów i dopiero wtedy mój ostatecznie niespełniony kochanek stacza się martwy na podłogę.

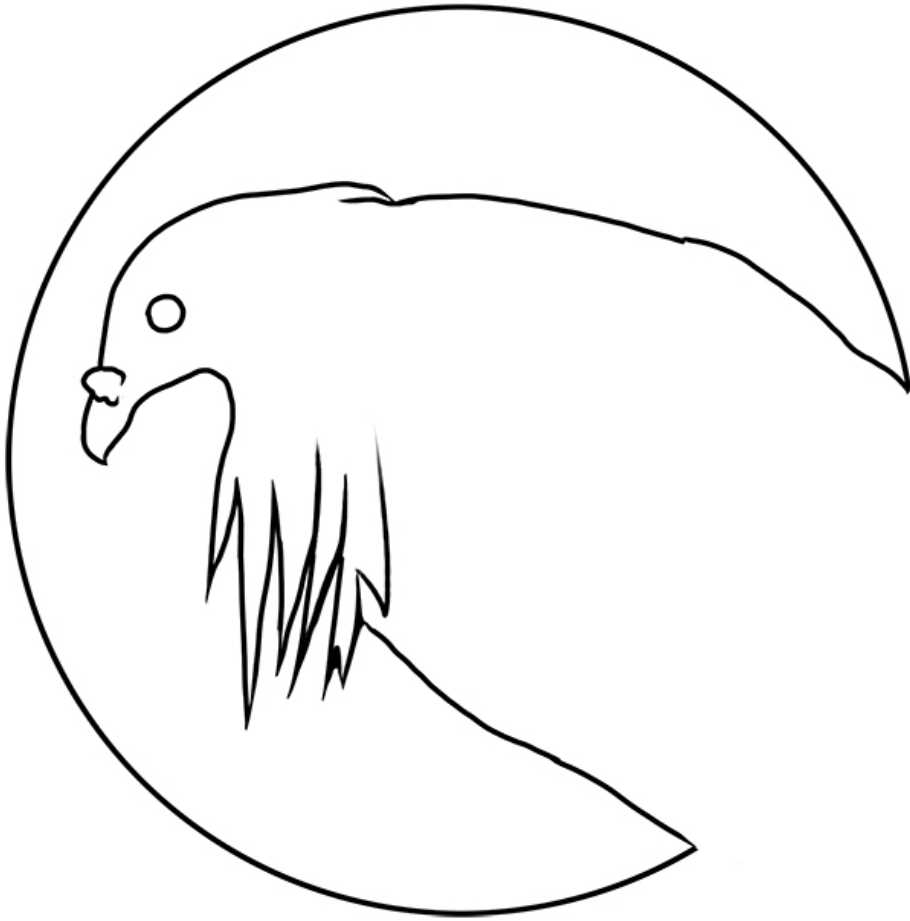
Sama staję powoli na łóżku i cała ociekając krwią, unoszę demonstracyjnie w górze dwa sierpy. Doprawdy nawet nie wiem, kiedy to wszystko się wydarza i jakim cudem odnajduję w sobie niezbędną odwagę. Lecz jest faktem, że wbrew wszystkiemu i przede wszystkim własnej bojaźni, właśnie zabijam. Co więcej, czuję, że to dopiero początek mego wyzwania się z rozlicznych okowów. I uświadamiam sobie z całą siłą, iż wolę już po wsze czasy zdychać w zapowiedzianym mi piekle, niż jeszcze choć przez chwilę prowadzić życie anioła, usłużnej, pokornej żony!

Przeto wbijam lodowate spojrzenie w osłupiałego z przerażenia pana Grosta. Ten wypuszcza z ręki bicz służący do karcenia niewolników i spogląda z ukosa niepewnie na drzwi. Odległość do nich jest znaczna, dlatego mój małżonek wybiera inną drogę ucieczki. Mianowicie pada na podłogę i wijąc się we krwi Wincenta, wpełza rozpaczliwie pod łóżko.

Nawet nie zwracam już uwagi na tego tchórzliwego karalucha, tylko tak, jak stoję, wychodzę z sypialni i uzbrojona w dwa sierpy bez opamiętania zabijam. Moimi ofiarami padają wszyscy strażnicy dominium w rezydencji.

Dopiero wtedy, skoro świt, myję się i przywdziewam ubranie. Następnie podpalam to miejsce i razem z Lakszi opuszczamy dom, który na dobre ogarniają płomienie. Kierujemy się nieprzerwanie na wschód, omijając większe siedliska ludzi i zwykle ich samych. Aż docieramy na ziemię dawnego władztwa Viglum.

Tutaj postanawiam wreszcie zaryzykować i wśród dawnych, białych przybyszy przestaję ukrywać swą prawdziwą tożsamość. W efekcie u większości budzę strach, ale u wielu również szczerzy podziw. I ci ostatni pomagają mi oraz Lakszi dotrzeć do centrum swej krainy, gdzie obóz zakładają przywódcy nowej rewolty. Kim też oni są i jakie mają plany? Oczywiście mogłabym rozświecić swe oczy i zobaczyć to, jako duch. Jednak nie ma już we mnie strachu, a w jego miejsce jedynie niezłomna determinacja. W związku z tym o wszystkim zamierzam się przekonać osobiście i całą sobą.





## XIII. CÓRKA CESARZOWEJ

Na wzniesieniu pokrytym rzadkim lasem zupełnie bez przeszkód, niezatrzymywana, pokonuję zasieki, rowy i zaostrome pale ustawione pod kątem. Następnie jestem już pomiędzy wojskowymi namiotami, jak i zwykłymi szałasami z liściastych gałęzi.

Z żywym zaciekawieniem dostrzegam tu zarówno stada rumaków, jak i wielbłądy. Co jeszcze ciekawsze wśród żołnierzy nie dominuje żaden jednolity ubiór, ten jest bardzo różnorodny. Zauważam więc powłóczyste stroje skośnookich mężczyzn rodem z Orienum, są także odziani w kolczugi wąsaci i brodaci topornicy z dawnego władztwa Viglum. Nie brakuje wojów z północnego Sławum w futrach, jak również rycerzy w zbrojach z Aglum czy z Romulum żołnierzy wyposażonych w wysokie tarcze, włócznie oraz oszczepy. Zaś moim oczom ukazuje się też widok licznych wojowników o ciemnej skórze, półnagich i zdecydowanie najslabiej uzbrojonych w lekkie, owalne tarcze i dzidy.

Naraz zdaję więc sobie sprawę, że oto jestem w obozie, gdzie przeciw wszechwładzy dominium na kontynencie Nelorum zbierają się wszystkie dawne władztwa, co do jednego. Dlatego czym prędzej poszukuję wzrokiem bardziej charakterystycznego namiotu, w którym mam nadzieję spotkać przywódców rewolty.

Wkrótce Lakszi pokazuje na znany mi granatowy namiot. Tak, znany, ponieważ jestem wręcz gotowa przysiąc, że jest to te samo schronienie, które niegdyś sobie przywłaszczam i które służy mi podczas długiej podróży po niemal całym kontynencie. Przez moment nawet przyspieszam kroku, w jakiś sposób mając nadzieję spotkać wewnątrz Murana, z którym przecież dzieliłam ten przybytek. Jednak tuż przed namiotem zastygam nieco zmieszana, bowiem muszę być gotowa na to, że nie spotkam ukochanego już ani tu, ani nigdzie indziej. Lecz mą naiwną nadzieję w sercu doprawdy trudno jest przekonać. W związku z tym przedstawiam się

parze strażników przed wejściem, a gdy ci mnie przepuszczają, wchodzę do środka z krzywym uśmiechem na twarzy.

Zaraz mój uśmiech całkiem niknie i pozostaje na moim licu wyłącznie surowa powaga. Oto mam przed sobą na samym środku znany mi stół i rozłożoną na nim mapę. Wokół natomiast dyskutuje sześciu mężczyzn. Znam tylko jednego z nich i bynajmniej nie jest nim Muran. Ale jest to także bliska mi osoba, a mianowicie generał Sakkan.

Na mój widok porywa się do mnie, pada na kolana i całuje me dłonie. W jego oczach dostrzegam łzy, a są to łzy wzruszenia. Jednakże ja nie uronię z moich oczu ani kropli, bowiem przybywam tu, by walczyć, walczyć do końca, a nie się roztkliwiać. Przez to czynię gest, aby mój generał wstał. Kiedy to robi, zajmuję jego miejsce przy stole. On z kolei, zza moich pleców, do pozostałych uczestników spotkania, dostojnie przemawia:

– Wiedźcie, że oto z wygnania w dominium powraca moja królowa, Anrea, prawowita władczyni Królestwa Czarnego Piasku. Zatem usuwam się w cień i zaklinam wszystkich, iż to ona winna nami teraz przewodzić. Albowiem bez jej działania by nas tutaj razem nie było... – Po tych słowach Sakkan kłania mi się nisko i czyni zdecydowany krok do tyłu, choć nie wychodzi z namiotu. Pozostali mężczyźni, każdy w innym, charakterystycznym ubiorze z danej kultury, przyglądają mi się mniej lub bardziej nieufnie, aż głos zabiera przedstawiciel krainy Viglum:

– Witaj, pani... Zatem wiemy już, kim jesteś. Ty zaś wiedz, że dałaś nam impuls do zjednoczenia się przeciw wspólnemu najeźdźcy i walki. Pokazałaś prawdziwą siłę, ale potem okazałaś słabość i dlatego tutaj twoja przewodnia rola się kończy, wybacz...

Spoglądam pytająco na wypowiadającego się wąsatego i brodatego mężczyznę, ale kontynuuje kolejny w połyskującej zbroi, zatem niewątpliwie rodem z Aglum:

– Ujmę to dosadniej niż mój poprzednik. Mianowicie okrywasz się hańbą, pani, paktując z dominium w niegodny sposób. Oddajesz się za żonę za nikkzemnika i wystawiasz na pastwę swą armię oraz władztwo. To brak honoru, tak się nie godzi i bynajmniej nie usprawiedliwiają cię wystarczająco przeciwności losu.

– Być może kierowała tobą szlachetna miłość do ludzi, by w jakiś sposób ich i siebie ochronić... – mówi w zadumie osoba ze Sławum w grubym futrze i lekceważąco dodaje: – Lecz miłość potrafi zaślepić i sama często bywa ślepa. Zdecydowałaś się chronić swych bliskich, się poddając. W ten sposób ściągnęłaś na siebie także niechęć, a nawet nienawiść w naszych szeregach.

– Tak nie postępuje święta matka z krainy Bogów – dorzuca postać z zarzuconym na plecy brązowym kocem z władztwa Orienum. – Dlatego mimo twego powrotu zgodnie odmawiamy ci przewodniej roli nad nami. Tak wcześniej uradziliśmy we własnym gronie, spodziewając się, że możesz pomiędzy nas zawitać, pani.

– Uciekłaś, więc może i nie brak ci było akurat odwagi – wtrąca z kolei drwiąco ostatni mężczyzna, a więc z Romulum i w tym samym tonie kończy: – Jednakże dałaś nam już dowód, że w chwili prawdziwej próby, kiedy naprawdę trzeba walczyć i się poświęcić, jesteś, o pani, zwykłym tchórzem...

Po tych wypowiedziach następuje niezręczna chwila, gdzie wszyscy poza Sakkanem spoglądają na mnie, jak na niepożądaną tu osobę, a ja wodzę wzrokiem po ich nieczułych obliczach. Gdy wtem między połami namiotu zauważam jeszcze jedną, męską postać. Nie wiem, od jak dawna tu jest, ale nie ma to żadnego znaczenia. Naraz liczy się tylko to, że podbiegam do Murana, ponieważ to on tu przybywa i tulę się do niego ze wszystkich swoich sił. Teraz ważne jest wyłącznie to, że tutaj stoi i sam przyciska mnie mocno do siebie, nie odrzuca, nie odpycha, nie wzgardza mną. W tym momencie już czuję się więcej niż zwycięska i w me serce wlewa się iście gorąca krew, która rozchodzi się po całym moim ciele. Zatem jestem obecnie gotowa walczyć zażarcie, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. I jak się przekonuję, nie tylko ja, bo Muran staje twardo u mego boku. Jeszcze chwilę spogląda na mnie z uczuciem, gładząc po policzku, po czym czyni do zebranych zdecydowane gesty:

– „Nikt z was, tutaj obecnych, nie jest z pokolenia, które walczyło z dominium. Macie jedynie zaszczepioną ideę walki, ale czy naprawdę potraficie poprowadzić wojsko do boju i wygranej”? – wyraża wątpliwość i ciągnie dalej: – „Otóż ja oraz Anrea”. – Obejmuje mnie ramieniem. – „To my jesteśmy Ostatnimi z Walczących, a zarazem pierwszymi, którzy

wskazali właściwą drogę. I nie stchórzyliśmy w obliczu decydującego starcia, jak niektórzy nam zarzucają. Oszczędziliśmy jedynie siebie i naszych pobratymców przed niechybną rzezią, ponieważ nikt z was nie przybył nam na czas z obiecaną odsieczą. Dlatego, zanim kogokolwiek z nas oskarżycie o cokolwiek złego, najpierw spójrzcie na wasze winy i je należycie oceńcie” – kończy z wyrzutem. W odpowiedzi przed szereg przywódców dawnych przybyszy wychodzi przedstawiciel Romulum. Zadziera wysoko głowę i wyzywająco rzuca:

– Do mej krainy nie dotarliście i nie zawieraliśmy z wami paktów, nie składaliśmy obietnic ani też nie wchodziliśmy w żadne układy. Przez to nie wywyższajcie się ponad nas samych! Zaś skoro naprawdę jesteście znowu tacy gotowi do walki, okażcie to, walcząc tu i teraz ze mną oraz moją najlepszą wojowniczką. Pokażcie, że nie boicie się przelać własnej krwi za wolność Nelorum albo też ustąpcie, podporządkujcie się prawdziwym bohaterom i jako generałowie wstąpcie pod moją komendę do mej wyzwolenczej armii. Armii, która nie ulegnie!

Wobec tej deklaracji spoglądamy sobie nawzajem z Muranem w oczy i jak zwykle rozumiemy się bez potrzeby wypowiedzenia słów czy też czynienia gestów. Przecież wiemy, że ci niedoświadczeni w walce ludzie, którzy nigdy nie słyszeli przerażającego grzmotu broni palnej, przegrają, jeżeli sami będą dowodzić. Wobec tego jednocześnie wyjmujemy oręż i tym samym demonstrujemy naszą wspólną decyzję.

– Więc niech i tak będzie... Będziemy walczyć o przywództwo, postanowione... – chrypi mężczyzna z Romulum i wychodzi z namiotu, składając dłoń na rękojeści miecza za pasem. Pozostali przywódcy swych krain kiwają głowami na zgodę.

Już niebawem jesteśmy na otwartej przestrzeni w kręgu żołnierzy ze wszystkich dawnych władztw kontynentu Nelorum. Stoję uzbrojona w sierpy obok Murana z długim mieczem. Naprzeciw nas jest przedstawiciel Romulum z tarczą i buławą w dłoniach. Natomiast koło niego zastajemy kobietę z dwoma krótkimi ostrzami i bardzo nietypowym strojem do walki, jakiego nie dane mi było oglądać nigdzie poza mymi snami.

Tak, rozpoznaję ten zbrojny rynsztunek gladiatrix, jaki sama zakładałam na siebie w poprzednim życiu na arenę, aby tam ku uciesze widzów zabijać.

A skoro tak, to bardzo prawdopodobne, iż mam przed sobą wytrawną wojowniczkę, której krwawe zwycięstwa nie są obce. Jednak i ja po ostatnich przejściach jestem już inną osobą. Ostatecznie porzucam me dawne słabości i maniery pałacowej księżniczki. Oto ściskając dwa śmiercionośne sierpy w dłoniach, jam jest teraz krwawą Boginią istniejącą, aby deptać mych wrogów oraz ich bezwzględnie zabijać. Także, tak jak przepowiedział mi doradca Murana, nieść śmierć potencjalnym sojusznikom, jeśli ci staną mi na drodze. Przez to już dokładnie wiem, co czuła legendarna Nail, kiedy dla wyższego celu zdecydowała się wkroczyć na drogę zniszczenia siebie i innych. Obecnie w pełni się z nią utożsamiam.

Zgodnie z tym odczuciem, jako pierwsza porywam się do walki, atakując zajadłe jasnowłosą, drobną w budowie i niską gladiatrix. Z powodu znaczące przewagi wzrostu natychmiast ustawiam przeciwniczkę w defensywie. Uderzam zewnętrznymi częściami sierpów, odrzucając na boki wymierzane we mnie krótkie ostrza, to wewnętrznymi elementami mej nietypowej broni staram się hakami wyszarpnąć oręż z kobiecych dłoni. Nie daję rady, bowiem przeciwniczka zna się na rzeczy i przeprowadza obronę nader skutecznie. Z kolei ja sama nie skracam zanadto dystansu, bo wiem, że ze względu na swe gabaryty jestem wolniejsza i osoba naprzeciw być może tylko czeka, aby wykonać skuteczny wypad.

Nie ryzykuję więc ponad miarę, a jednocześnie kątem oka obserwuję również walczących już mężczyzn. Próbuję jak najmniej spoglądać w tamtym kierunku, aby nie tracić należytej uwagi. Gdy raptem właśnie z tamtej strony ktoś i oczywiście domyślam się kto, mocno uderza mnie barkiem i to do tego stopnia, że padam jak długa na ziemię.

Zanim spróbuję się podźwignąć, moja przeciwniczka korzysta z okazji i jest już nade mną. Kopie mnie w rękę, wytrącając mi oręż i stawia stopę na moim drugim wciąż uzbrojonym ramieniu. Nagle jestem praktycznie bezbronna, a kobieta przykłada mi dwa ostrza do gardła i jakby nigdy nic, mówi:

– Za moją matkę wyślę cię teraz, suko, do Otchłani, czyli tam, gdzie od zawsze twe miejsce...

Wtem czynię gwałtowny skurcz ciała i z pozycji leżącej uderzam przeciwniczkę w plecy nogami tak, że traci ona równowagę i leci do

przodu. Tym sposobem me wieloletnie ćwiczenia gibkości właśnie ratują mi życie. Natychmiast uzbrajam się w drugi sierp i tym razem pochylam nisko, czekając w gotowości. Skoro bowiem moja przeciwniczka ma ze mną do wyrównania jakieś rachunki, to niewątpliwie sama będzie skłonna zaatakować, a pchnie ją do tego gniew.

I się nie mylę w swoich przewidywaniach. Uzbrojona w krótkie ostrza kobieta czeka dłuższy czas, aż sama zaatakuję, a wobec mojej pasywnej postawy traci cierpliwość i rusza do walki. Następnie z grymasem złości na twarzy zagryza wargi, bo gdy jestem nisko pochylona, dorównuję jej wzrostem, ale przed siebie wyciągam uzbrojone, bardzo długie ramiona. W ten sposób, mimo usilnych prób, wroga gladiatrix nie może się do mnie bezpiecznie zbliżyć.

Aż cofa się ona na pewną odległość, mierzy mnie wzrokiem i pędem biegnie wprost na mnie. Zatem przyjmuję postawę obronną, krzyżując przed sobą sierpy. Kobieta zaś niespodziewanie czyni wślizg, celując jednym z ostrzy w mą pachwinę, a drugim w łydkę. Wobec tego błyskawicznie skaczą do góry, ale drugi cios dochodzi celu i moja stopa w trzewiku zostaje zraniona. Przez to, kiedy spadam na obie nogi, przewracam się z bólu i czynię to wprost na moją przeciwniczkę. W tym momencie puszczam sierpy i staram się chwycić gladiatrix za ramiona, aby ją obezwładnić. On uderza mnie głową w twarz i za nic nie chce puścić swych ostrzy.

Kołujemy się tak razem po ziemi. Aż kobieta podkurcza do siebie nogi, po czym prostuje je gwałtownie, a ja zostaję uderzona w klatkę piersiową i odrzucona do tyłu padam na plecy. Rozczapierzam palce na ziemi i pod dłonią odnajduję drążek mego sierpa. Chwytam go i wykonuję zamaszysty cios przed siebie. Metal zderza się z metalem, którym jest wymierzony we mnie miecz.

Nasza broń pozostaje skrzyżowana ze sobą i siłuję się z kobietą nade mną, która na rękojeści swego ostrza kładzie obie dłonie. Podobnie ja pomagam sobie drugą ręką. Aż korzystając z siły ciężkości swego ciała, przeciwniczka napiera na mnie coraz bardziej, wręcz kładąc się na mnie. Nie mam dość silnych rąk, aby utrzymać ją nad sobą, dlatego ostrza sierpa i miecza coraz bardziej przybliżają się do mego gardła. Wówczas zaplatam nogi wokół tułowia rywalki i silnym skrętem w miednicy ściągam ją z

siebie na bok. Na czworakach odbiegam kawałek z sierpem w dłoni i ciężko dysząc, staję na ugiętych nogach ponownie gotowa do walki.

Jednak o dziwo godna mnie przeciwniczka przyjmuje luźną postawę i zwieszonym nisko ostrzem wskazuje na bok. Odciągam więc swe spojrzenie w sugerowaną stronę i ukazuje mi się klęczący na ziemi przedstawiciel Romulum z wylewającymi mu się z brzucha na ziemię wnętrznościami. Zaś nad nim stoi w zwycięskiej pozie Muran i spogląda srogo na moją rywalkę. Ona odrzuca na ziemię oręż i rezolutnie do mnie przemawia:

– Trzeba wiedzieć, kiedy się przegrywa i nie ma sensu dalej walczyć, bo nie ma już o co. Chyba że koniecznie chcesz zabić córkę matki, którą w swym poprzednim życiu uśmierciłaś.

– Kim ty jesteś... na świętych Nail oraz Nelorum...? – pytam, również opuszczając oręż.

– Nazywam się Atrix i jestem byłą cesarzową władztwa Terraticos z kontynentu Pendorum. Tak, twojego pierwotnego kontynentu, a moją matką była przeklęta dla ciebie i uśmiercona Tira.

– „Koniec walki” – gestykuluje tymczasem Muran do wszystkich zgromadzonym. Następnie wskazuje on medykom, aby opatrzyli moją zranioną mieczem stopę.

Zatem wygrywamy i odbieramy kolejne argumenty tym, którzy śmieli wypominać nam tchórzostwo oraz inne przywary. Choć w toku ponownej dyskusji z przedstawicielami dawnych przybyszy uspokajamy ich, że nie pragniemy władzy absolutnej w obozie. Armia każdej krainy otrzyma dużą autonomię i walczyć będzie jedynie pod dowództwem swych wodzów. Jednak to ja z Muranem stajemy na czele, będziemy koordynować działania oraz podejmować kluczowe decyzje.

Ponadto wzywam do siebie kobietę, z którą dopiero co walczyłam na śmierć i życie. Wcale nie gratuluję tej osobie umiejętności walki, bowiem nie budzi mego podziwu to, że prawie się pozabijałyśmy nawzajem. Natomiast interesuje mnie historia jej samej.

Tak oto dowiaduję się, że w cesarstwie Terraticos na kontynencie Pendorum przejmuje władzę mój syn, Bóg Arezar, skrzydlaty człowiek z głową psa i zaprowadza on niezmiernie okrutne rządy. Zaś sama Atrix

bynajmniej nie jest gladiatrix i nigdy dotąd nie walczyła na arenie, jedynie od dziecka szkolila się w walce w szkole gladiatorów Artusa. Z kolei obecnie w trosce o życie opuszcza ona swe władztwo i szuka schronienia aż tu, na obcej ziemi. Zastrzega, że jest ścigana przez łowców niewolników niejakiej Adory również i tutaj. Stąd współpracuje ona, z kim się da, aby zjednać sobie nowych przyjaciół, a w przyszłości upomnieć o utraconą koronę.

Oznajmiam jej, że wiele nie mogę jej obiecać, ale sugeruję, abyśmy nie żywiły względem siebie urazy. Mówię, iż niezbyt dobrze pamiętam swe przeszłe życie i nie utożsamiam się z moimi przeszłymi czynami. Teraz natomiast chętnie widziałabym doskonałą wojowniczkę, jaką jest Atrix, w moich szeregach. W zamian oferuję wsparcie i ochronę przed wspomnianymi łowcami niewolników Adory, kobiety, którą pamiętam z mych snów, jako zahukaną, pyzatą dziewczynę.

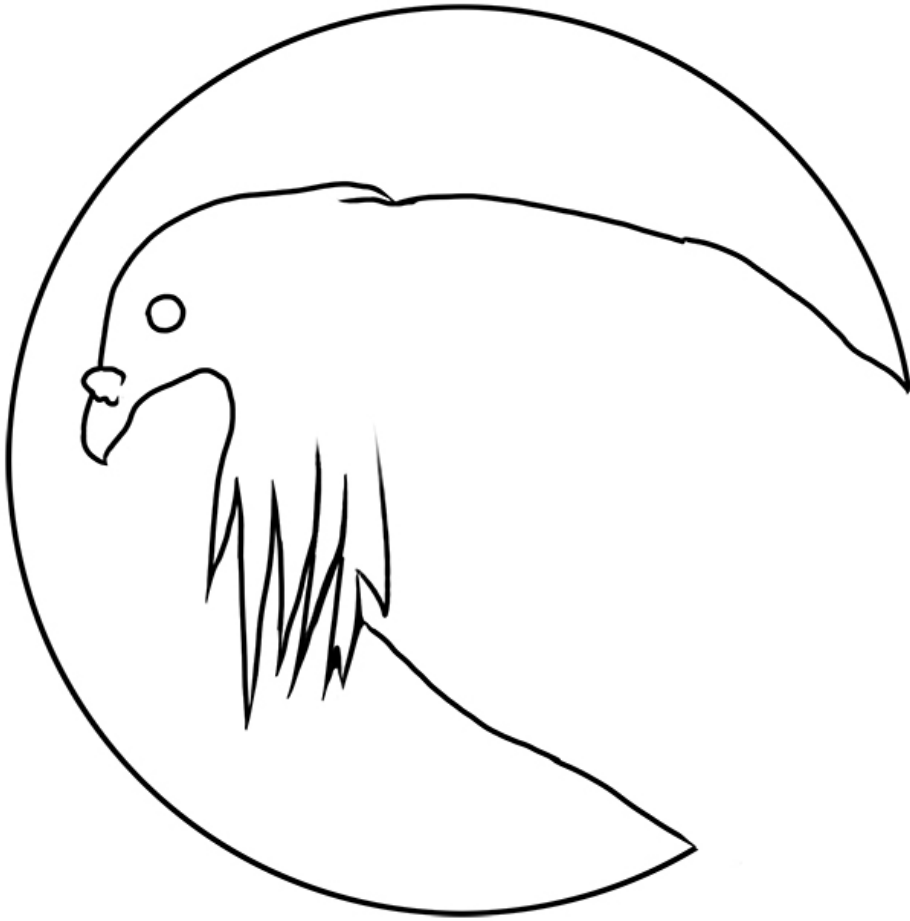
Atrix nie jest zachwycona moją propozycją, ale przyznaje mi pewne racje. Tak oto podajemy sobie dłoń i na jakiś czas była cesarzowa godzi się przystać do mnie. Ja natomiast, po trudnym dniu, wreszcie docieram do granatowego namiotu, który ponownie jest wyłącznie mój oraz Murana. I my jesteśmy wyłącznie dla siebie nawzajem.

To takie niezwykle, ale ciągle w ogóle nie potrzebujemy rozmawiać ze sobą ani o naszym bolesnym rozstaniu, ani o tym, co działo się z nami potem. Jesteśmy znów razem i liczy się tylko to, nic więcej. Nie mamy potrzeby niczego wyjaśniać, przeproszać się czy czegokolwiek wybaczyć. Wiemy kim dla siebie naprawdę jesteśmy oraz, że w głębi serca nigdy się nie zdradziliśmy i nie zdradzimy. Dochodzę też do wniosku, że brak możliwości wypowiedzenia na głos słów wcale nie jest przekleństwem. Słowa czy gesty są bowiem zbędne, kiedy w grę wchodzi prawdziwe uczucie, zaufanie i zrozumienie dla drugiej osoby.

Dlatego nocny czas spędzamy tak, jak niegdyś, to jest kochając się razem do upojenia, tak bardzo spragnieni swej bliskości. Mamy momenty wielkiej czułości, to znowu zbliżamy się do siebie namiętnie wręcz w zwierzęcy sposób. Jest tak cudownie i nie zamieniłabym tego na nic innego na świecie. Przez to będę walczyć o naszą miłość i prawo do miłości oraz życia po swojemu dla wszystkich innych i ze wszystkich sił. Nigdy już nie zagości w moim sercu nawet cień strachu przed przepowiedzianym mi za



nieposłuszeństwo piekłem, unicestwieniem, czy torturami, przenigdy.  
Pozostanę wierna, ale samej sobie i swoim uczuciom, na zawsze ku czci  
świętych Nail oraz Nelorum.



## XIV. WIECZNY SEN

Wkrótce nadchodzi to, co nieuniknione, a mianowicie czas wielkiej bitwy. Na horyzoncie pojawiają się nieprzebrane zastępy wojsk w szarych mundurach, jak donoszą zwiadowcy przeszło pięćdziesiąt tysięcy. Osobiście dysponujemy liczebnie nieco większą siłą, jednak nie ma się co oszukiwać – bez słońi bojowych nasza skuteczność w walce jest o wiele mniejsza. Dlatego wyrównania szans w starciu upatrujemy głównie w zajęciu dogodniejszego terenu i wykorzystaniu po swojej stronie sił natury. W związku z tym na pokrytym lesistymi pagórkami terenie tworzymy liczne umocnienia z piachu, kamieni i drewna. Wykorzystujemy też płynącą tu niezbyt głęboką rzekę, która stanowi naturalną barierę oddzielającą nas od wroga. Ten będzie musiał ją sforsować, a wiemy, że to zrobi. Nasze szeregi zasilają bowiem wciąż nowi ochotnicy, a na tyłach armii posiadamy mocną linię zaopatrzenia. Zatem dominium nie będzie miało wyboru i w najbliższych dniach musi zaatakować, zanim jeszcze bardziej urośniemy w siłę.

Plan bitwy przygotowuje po naszej stronie przede wszystkim Muran, choć sama nie wiem jakim cudem podsuwam mu kilka trafnych spostrzeżeń. W obliczu nadchodzącej batalii wszyscy dowódcy poszczególnych armii w naszym wojsku nie zgłaszają na szczęście sprzeciwu wobec sugestii naszego głównodowodzącego. I tak, jako monolit, zajmujemy wyznaczone pozycje i wyczekujemy wrogiego natarcia, by następnie przeprowadzić skuteczny kontratak. Mijają jednak kolejne noce i dni, nawet cały tydzień księżycowy, a wróg ciągle nie atakuje, zupełnie jakby czegoś oczekiwał. Tak więc i my czekamy uzbrojeni również w cierpliwość.

\*

– Tak, moja słodczy! – mówi z nieskrywanym entuzjazmem Lakszi i wręcza mi niewielkie, szklane naczynie z czerwonym mazidłem w środku.

Następnie wyjaśnia: – Nasi żołnierze zrabowali to z domu wielkiej pani z dominium. Podobno należy nałożyć tę substancję na usta, a wówczas żaden mężczyzna nie oprze się urokowi tak przyozdobionej kobiety! – kończy kusząco służka, wpychając mi w dłonie wspomnianą rzecz. Na co zaintrygowana wkładam palce w czerwoną substancję i rozcieram ją między opuszkami. Oczywiście wiem, że trwa wojna i nie wypada zajmować się takimi głupstwami. Z drugiej strony stare nawyki momentami biorą górę, a z Lakszi swego czasu zajmowałyśmy się jedynie strojami i ich upiększaniem, także własnej urody. Dlatego biorę w ręce zwierciadło i napinam mocno usta, aby nałożyć na nie mazidło. Lecz służka raptownie mi przerywa i najpierw wciska w dłoń buteleczkę z klarownym płynem, oznajmiając: – Uprzednio trzeba odrobinę tego nanieść na wargi, aby czerwona substancja nie zeszła zbyt szybko pod wpływem coraz bardziej namiętych pocałunków! – W odpowiedzi mierzę Lakszi krytycznym wzrokiem, ale czynię wszystko krok po kroku dokładnie z jej wskazaniem. Wówczas służka aż piszczy i uciesznie klaszcze w dłonie, ponaglając mnie, abym czym prędzej zaprezentowała swą poprawioną urodę Muranowi.

Niebawem jestem już w granatowym namiocie i zastaję mego mężczyznę zafrasowanego nad mapą. Widzę, że z powodu brzemienia odpowiedzialności jest naprawdę zmęczony. I po to właśnie przychodzę do niego, wystrojona niczym na nasz ślub, aby choć na chwilę oderwać myśli Murana od wojny i za sprawą swej osoby zanieść mu odrobinę ukojenia.

Przeto staję za nim, opieram się o jego plecy i tulę do męskiego ciała, a ręce zaplatam na klatce piersiowej. Ukochany głaska mnie po dłoni, ale ciągle jest pochylony nad stołem. Dlatego odciągam go nieco w swoją stronę. A kiedy pojawia się przestrzeń przed blatem, siadam na mapie przodem do Murana.

Na mój widok, tak mocno wystrojonej, wreszcie się uśmiecha, czego nie widzę u niego od wielu dni. Następnie wpatrując się w moją twarz, gładzi mnie z uczuciem po policzku. Wreszcie zaintrygowany spogląda na me zwykle ciemne, a teraz czerwone usta, a ja, uśmiechając się, kiwam nieznacznie głową na zachętę. Zatem próbuje on moich warg swoimi raz i długi w delikatnych pocałunkach, po czym całujemy się naprawdę namiętnie. I już za chwilę toniemy we wzajemnych pieścizotach gotowi bez pamięci się kochać choćby na stole przykrytym mapą.

Gdy raptem Muran odstępuje ode mnie na krok. W pierwszym momencie sędzę, że po to, aby samemu zdjąć do końca ubranie. Lecz zaraz widzę, że chwieje się na nogach. Potem z narastającym niepokojem dostrzegam pianę na jego ustach. Aż nagle zwala się niczym kłoda na ziemię.

– Muran! – krzyczę i natychmiast porywam się do niego, by go ocucić. Klękam nad jego bezwładnym ciałem i widzę, jak świadomość mężczyzny błyskawicznie od niego odpływa. Rozdygotana z przerażenia rozkładam szeroko ramiona i rozczapierzam w geście bezradności drżące palce.

A już zaraz stoję w progu namiotu i wniebogłose wzywam pomocy. Pojawiają się medycy, znachorzy, szamani oraz władcy poszczególnych armii w naszym wojsku. Jednak nikt nie wie, co się dzieje z moim ukochanym, a przede wszystkim, jak można mu pomóc! Jemu, który ma mętne oczy i wydaje się już bez życia niczym martwy.

– Muran! – wydzieram ze swej piersi krzyk tym razem okraszony przeszywającym mnie na wskroś bólem.

Wkrótce z wielkim nieszczęściem w postaci tragedii, jaka spada na mego ukochanego, idą kolejne dramaty. W obozie rozlega się bowiem bicie w bębny i trąbienie na alarm. Oto wróg, jakby tylko czekał na wyeliminowanie naszego przywódcy i właśnie rusza do ataku.

W tych okolicznościach szybko zostaję w namiocie sama, ponieważ wszystkich ogarnia naraz prawdziwa panika, niestety nie bojowy duch. Wiem, że powinnam w jakiś sposób spróbować przejąć obowiązki Murana i stanąć na czele armii. Jednak jestem taka bezsilna. W obliczu tragedii ukochanego w moich ramionach ja sama czuję się nagle całkiem martwa, bezwolna i nie jestem w stanie wskrzesić w sobie żadnego działania.

Gdzieś w dali rozlegają się pierwsze wystrzały z broni palnej, słychać też wojenne okrzyki. Bitewna wrzawa szybko narasta i jakby kroczyła wprost do mnie – jest ona coraz bliżej. Ale nic to nie zmienia, nie ruszam się z miejsca, pozostając ze łzami w oczach nad ciałem Murana.

W pewnym momencie wygląda u wejścia do namiotu Lakszi. Obserwuje ona uważnie wnętrze, aż podbiega do mnie, kuca i tuli się do moich kolan, jak to ma w zwyczaju. O dziwo służka nie szarpie mnie, abyśmy uciekały czym prędzej z tego przeklętego miejsca, zanim stanie się ono grobem nas

wszystkich. Zachowuje ona wręcz nienaturalny spokój. W efekcie na moim pękniętym sercu pojawia się kolejna rysa.

– Lakszi...? – pytam podejrzliwie.

– Tak...? – Służka czyni niewinną minę, ale nie śmie spojrzeć mi w oczy.

– Czy ty... Czy ty mnie kochasz...? – zwracam się do niej smutnym tonem.

– Ja nigdy i nikogo na świecie... – szepcze bez namysłu. Na co jeszcze smutniej mówię:

– Zatem skoro mnie kochasz, to pocałuj mnie... – W odpowiedzi Laszki pospiesznie składa mi pocałunek na policzku. Wtedy precyzuję: – W usta, pocałuj mnie w usta... – Wskazuję na swe czerwone wargi. Dopiero wtedy służka patrzy na mnie, ale raptem czyni to z prawdziwym przestraczem. Ja sama chwytam ją silnie, nachylam się nad nią i siłując się z nią, kieruję do jej warg swoje wargi i z już nieskrywanym gniewem powarkuję: – Pocałuj! Pocałuj!

– Błagam... – piszczy naraz przerażona kobieta i stara mi się wyrwać, ale czyni to nieskutecznie. Następnie spogląda mi w oczy i rozpoznaje, że domyślam się już jej wybiegu. Jej oraz niewątpliwie Otta, gdzie moja Lakszi służy zapewne jedynie za naiwne narzędzie. I rzeczywiście. Służka, jak to ona, nie potrafi skrywać przede mną tajemnic i składając ręce na sercu, rozpaczliwie z siebie wyrzuca: – Otto obiecał... Obiecał, że jeżeli uczynię to, co on każe, to wszystko będzie, jak dawniej! Nie zabiją nas za ponowny bunt, który nie może się udać, za to wyślą nas do innej posiadłości Grosta. I wszystko będzie, jak wcześniej, będziemy razem, szczęśliwi!

– Szczęśliwe... – powtarzam lodowatym głosem, a moje dłonie kierują się na szyję służki. – Dla mnie już nie ma na tym świecie szczęścia i nigdy nie będzie, bo właśnie je zabijasz, ty... – Na mej twarzy maluje się nienawistny wyraz, palce zaciskają coraz mocniej na gardle Lakszi, ona zaś z coraz większym trudem charcze:

– To nie tak... nie tak... On, Muran, ciągle żyje, nie zabiłam go... nie zabiłam... przepraszam... – Na te słowa luzuję nieco uścisk i spoglądam w otwarte, mętne oczy mego ukochanego, co jednoznacznie dowodzi, że w

jego ciele nie ma już duszy. Służka podąża rozpaczliwie za moim wzrokiem i w pośpiechu wyjaśnia: – Jego duch został za sprawą magicznej trucizny wysłany wprost do nowego miejsca zwanego piekłem, jakie tworzą obcy przybysze pomiędzy światem ludzi i Bogów! Lecz jego serce tu, na ziemi, ciągle jeszcze bije, musi bić! Taką obietnicę złożył mi Otto, bo postawiłam warunek, że nie uśmiercę Murana, nie mogłabym!

Wobec tych szokujących wieści puszczam Lakszi i błyskawicznie przykładam ucho do klatki piersiowej ukochanego. Słyszę prawie niewyczuwalne, ale miarowe bicie serca i w tym momencie jest to najcudowniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałam i przez załzawioną twarz aż bezwiednie się uśmiecham. Potem dochodzi do mnie inny odgłos, a mianowicie coraz bliższych wystrzałów. Z kolei pomiędzy nimi słyszę wypowiedane, jakby z pewną pretensją słowa stojącej w progu namiotu Atrix:

– Bardzo ciekawa historia... – Spogląda z pogardą na Lakszi i zaraz dodaje: – Bitwa rozgorzała na dobre, ale szybko przekształca się w pogrom. Ta walka jest już przegrana. Dominium atakuje równocześnie z zachodu, północy oraz południa.

– Zatem ruszamy na wschód – odpowiadam nagle ożywiona mimo przygnębiających wieści i mówię w pośpiechu do Atrix: – W prawym skrzydle obozu są wozy z zaopatrzeniem. Weź jeden z nich i przynajmniej jedną parę koni, po czym podjedź tu, jak najszybciej możesz!

– Cóż, chyba mogę... Królowa rozkazująca cesarzowej, ech... – oznajmia rezolutnie kobieta w stroju gladiatrix i znika mi z oczu. Ja sama rzucam gniewnie do Lakszi:

– Pomóż mi z Muranem. Musimy go wynieść z namiotu i położyć na wozie!

Służka kiwa mi głową na zgodę i chwyta mego ukochanego za nogi. Osobiście biorę go pod rękę i z pewnym trudem odrywamy bezwładne ciało od ziemi. Niesiemy Murana poza namiot i tutaj w napięciu czekamy. W tym czasie rozglądam się po nagle opustoszałym obozie, gdzie porzucony niedbale został różnorodny sprzęt i nie widać tu żadnych ludzi. Natomiast od zachodniej strony złowrogo przybliżają się salwy wystrzałów i nie słychać już nic innego.

Wtem jednak dochodzi do nas głośne rżenie koni i oto Atrix zatrzymuje się tuż przed nami z wozem do połowy wypełnionym workami.

– I pomyśleć, że do tej pory powoziłam jedynie rydwanem... – Kobieta w stroju gladiatrix z dezaprobatą taksuje wzrokiem swój środek transportu. Potem zeskakuje na ziemię i pomaga nam z Lakszi wtaszczyć Murana na wóz.

Za moment Atrix ponownie ma lejce w dłoniach i powozi, jadąc szybko na wschód. Natomiast ja ze służką jesteśmy w wozie za jej plecami tuż przy Muranie.

Jasnowłosa kobieta na miejscu woźnicy nie szczędzi bata, dzięki czemu szybko pozostawiamy bitewny zgiełk za sobą. Jednak jak się zaraz okazuje, bynajmniej nie pozostawiamy piętrzących się za nami kłopotów.

W pewnym momencie Lakszi wskazuje ręką za moje plecy. Wtedy odrywam wzrok nieustannie wbity w ukochanego i w oddali dostrzegam kilku gnających ku nam jeźdźców. Ze grozą uświadamiam sobie, że są oni odziani w szare płasze. Następnie osnuwa ich lekka mgiełka, kiedy oddają ku nam pierwsze wystrzały z broni palnej.

W tej samej chwili posykuję z bólu, spoglądając na me draśnięte przedramię. Jednakże nie czuję strachu, a w jego miejsce jedynie niezłomną wolę walki. Lecz tą trudno mi będzie prowadzić, mając na wyposażeniu wyłącznie dwa sierpy za pasem!

I tutaj znów przychodzi mi z pomocą Lakszi, podsuwając wymownie jeden z worków leżących na wozie. Jak się bowiem okazuje płócienny, szary wór zawiera zestaw oszczepów, a my jedziemy z transportem broni.

W odpowiedzi kwaśno się uśmiecham na to zrzędzenie losu i zarzucam sobie oszczepy na plecy. Staję w gotowości na ugiętych nogach i staram się zachować równowagę na jadącym coraz szybciej, chybotliwym wozie. Jednocześnie sprawdzam naślinionym palcem wiatr i orientuję się, że ten mi sprzyja. Zatem nie ma co dłużej zwlekać i już biorę obszerny zamach do pierwszego rzutu.

Gdy wtem kolejna salwa wystrzałów dosięga po części mojej osoby i tym razem zostaję głęboko zraniona w udo. Przez to zagryzam z bólu wargi i przyklękam na jedno kolano. Ale zaraz, krzycząc donośnie, aby dodać sobie animuszu, prostuję się niemal do pionu i zawzięcie ciskam pierwszym



z oszczepów! Sprzyjający wiatr nadaje drzewcowi jeszcze większego pędu i ten wbija się z impetem w tors jeźdźca, wysadzając go z siodła. I nie czekając, sięgam już po drugi oszczep.

Z kolei ścigający nas żołnierze nabierają respektu. Na chwilę zwalniają, po czym strzelają z większej odległości, na szczęście niecelnie i znów przyspieszają, zbliżając się bardziej rozproszoną ławą.

Sama celuję w najbliższego z nich i rzucam. Nie trafiam jeźdźca, ale z rozmysłem w łeb rumaka, który to koń gwałtownie zmienia kierunek biegu, przewraca się i gubi po drodze dosiadającego go mężczyznę. Lecz inni ani myślą ustępować, ale ja także!

Jeszcze jeden mój rzucony oszczep i obecnie chybiam. Jeszcze jedna salwa z broni palnej i przewracam się na wóz z postrzałem prosto w brzuch. Ściskam z boleścią krwawiącą ranę koło pępka, a jednocześnie drugą ręką chwytam za oszczep i kiedy pozostali trzej jeźdźcy są już naprawdę blisko, rzucam drzewcową bronią i przeszywam grotem szyję przeciwnika.

Z tą chwilą zbieram w sobie resztkę sił i zanim z najbliższej odległości padną w moim kierunku dwa wystrzały, staję na nogi i skaczę wprost na jednego z galopujących konno wrogów. Wczepiam się w niego i wspinam po nim na koński grzbiet za jego plecy. Gdy mi się to udaje, wydaję z zapału sierp, zakładam hak na gardło żołnierza i szarpię, rozcinając głęboko szyję.

Trup spada pod końskie kopyta, ja zaś chwytam za lejce i spoglądam po skosie, gdzie celuje wprost w moją twarz ostatni przeciwnik. Nie mam już szans zareagować. Pada strzał, a ja zamykam oczy gotowa na koniec swego żywota. Jednak zaraz podnoszę powieki i widzę, że mój niedoszły oprawca właśnie spada z konia z krwawą dziurą w czole. Natomiast na wozie siedzi z rusznicą Lakszi.

W tym momencie przypominam sobie, że swego czasu zdobyliśmy całkiem sporo broni szarych płaszczy i razem ze służką próbowałyśmy uprawiać się w jej użyciu. Jak widać, te krótkie lekcje ratują mi właśnie życie. Choć z powodu odniesionych ran coraz bardziej słabnę, tracę dużo krwi i nie wiem, jak to się dla mnie ostatecznie skończy.

Tymczasem Atrix się orientuje, że jest już po walce, zwalnia i pozwala mi spocząć na wozie. Lakszi czyni na me ciało opatrunki i zawija mnie w

bandaże. Zaś niebawem wóz nieoczekiwanie całkiem się zatrzymuje, czyniąc to przed mostem. Wspieram się na łokciach, aby zobaczyć, kto stanął nam na drodze i naraz nie mogę uwierzyć własnym oczom.

– Otto... – posyknę na widok znajomej twarzy. Pragnę wstać i podźwigam się nieco z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Chwytam za zraniony brzuch i słyszę niepewnie wypowiedane do mnie słowa Lakszi:

– Nie wstawaj, moja słodyczy, bo zerwiesz szwy i rana znacznie mocniej krwawić. – Po tym ostrzeżeniu służka zeskakuje z wozu i idzie wprost do mężczyzny zagrządzającego przejazd przez most. Jego odległość od nas jest dość znaczna, dlatego nie potrafię wyłowić znaczenia słów właśnie rozgorzałej, burzliwej rozmowy. Przy czym to Lakszi jest tą, która podnosi głos. Aż naraz zwraca się ona w naszą stronę i ile sił krzyczy: – Uciekajcie, to pułapka!

Z tą chwilą moja służka wyciąga zza paska nóż i wbija go w brzuch Otta. Jednocześnie po drugiej stronie mostu wychodzi z drzew kilkunastu żołnierzy w szarych płaszczach z rusznicami w gotowości. W reakcji na tę scenę Atrix gwałtownie nawraca konie zaprzężone do wozu. Natomiast Lakszi skacze z mostu prosto do rzeki.

Następuje ogłuszająca salwa z broni palnej, ale nas najwyraźniej nie dosięga, ponieważ udaje nam się oddalić od żołnierzy. Potem mijamy kolejne rozwidlenia dróg pomiędzy lasami i gubimy potencjalny pościg. Jednak, aby ostatecznie wydostać się z matni, musimy przekroczyć rzekę oddzielającą nas od wschodnich, miejmy nadzieję już bezpiecznych terenów. Dlatego poruszamy się w pobliżu rzecznej koryta, aby spróbować szczęścia na innym moście.

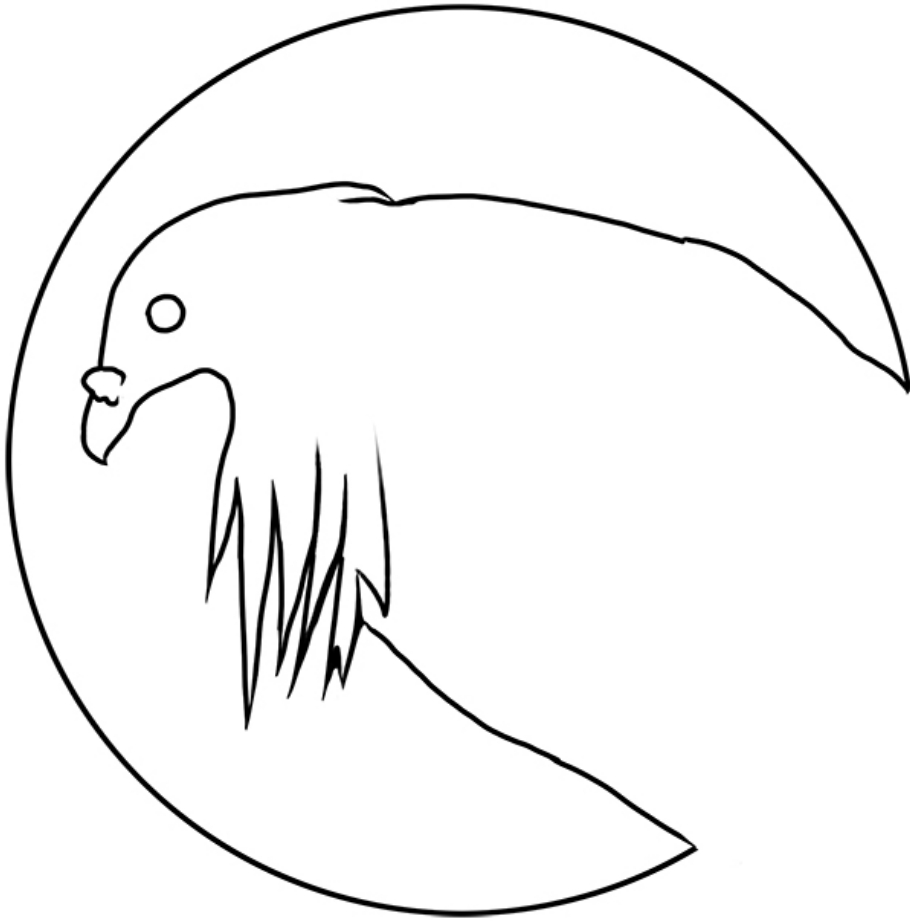
Drugi i trzeci z nich mijamy na pełnym galopie, ponieważ są obstawione przez piechotę w szarych płaszczach. Zaś ja z wielką zgrozą również i tam odnajduję sylwetki Otta.

Zgodnie z mapą w tych okolicach pozostaje nam ostatnia możliwa przeprawa. Podążamy tam z duszą na ramieniu. I niestety, jak się wkrótce okazuje i ten most nie jest opustoszały. Tym razem przejazd zagrządzają nam mężczyźni w nieznanym mi czerwonych strojach. A już za chwilę Artix demaskuje przede mną ich tożsamość:

– To łowcy niewolników Adory, którzy swoją drogą chyba odwalili za nas brudną robotę. – Pokazuje na wodę w rzece, gdzie plecami do góry spływają trupy w szarych mundurach. Następnie jasnowłosa kobieta spogląda na mnie przez ramię i reżolucie oznajmia: – Zaiste burzliwa i wielce nietypowa była ta nasza znajomość, ale obawiam się, że właśnie nadchodzi jej kres. Choć w tym momencie role się odwracają, ponieważ obecnie to ja jestem celem. – Zerka na łowców. – Zatem, królowo, mam nadzieję, że masz dość sił, aby powozić, bo na mnie już czas. – Po tej deklaracji Atrix zeskakuje z wozu i uzbraja się w parę krótkich ostrzy, po czym kroczy swobodnie ku kilkunastu przeciwnikom w gotowości.

Osobiście w moim opłakanym stanie nie dam rady jej wspomóc w walce i wszystko, co mogę uczynić, to postarać się ratować Murana i siebie samą. W związku z tym wlokę się do miejsca dla woźnicy i z trudem na nim zasiadam. Chwytam lejce oraz bat i patrzę przed siebie, widząc osaczaną przez łowców niewolników walczącą z nimi Atrix. Sama gwałtownie poganiam parę rumaków i na pełnym galopie mijam walczących, którzy nie zaprzatają sobie moją osobą uwagi.

Tak oto udaje mi się wyrwać z potrzasku i podejrzewam, że jako jednej z nielicznych. Okazuje się bowiem, że wróg był pod każdym względem doskonale przygotowany do walki i świetnie rozeznany w terenie. Uświadamiam sobie, że nawet z Muranem na czele, nie mielibyśmy zapewne większych szans. Natomiast po jego pozbyciu się, Otto osiąga swój cel, o którym niegdyś wspominał, czyli wygrywa ku chwale dominium Akros za sprawą jak najmniejszej ilości poniesionych ofiar. Ja jednak bynajmniej nie składam broni i jak już sobie wcześniej zapowiadam, zamierzam walczyć do samego końca i wcześniej zginąć niż się poddam!



Spis treści

PROLOG NAIL I NELORUM

I. PRZYGOTOWANIA

II. ZAŚLUBINY

III. PÓŁWYSEP CZARNEGO PIASKU

IV. OSTATNI Z WALCZĄCYCH

V. SZPIEG

VI. PRZEBUDZENIE DUCHA

VII. VIGLUM

VIII. ORIENUM

IX. AGLUM

X. SLAWUM

XI. PIEKŁO NIEBO

XII. PRZYKŁADNA ŻONA, JAK ANIOŁ

XIII. CÓRKA CESARZOWEJ

XIV. WIECZNY SEN